

Juliusz Verne

Tajemniczy rybak

Przełożyła Maria Gąsiorowska

Ilustracje George'a Rouxa

Wydawnictwo M. Arcta, 1911

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I.....	3
Konkurs w Sigmaringen.....	3
ROZDZIAŁ II.....	7
U źródeł Dunaju.....	7
ROZDZIAŁ III.....	12
Pasażer Ilii Brusza.....	12
ROZDZIAŁ IV.....	19
Sergjusz Ladko.....	19
ROZDZIAŁ V.....	24
Karol Dragosz.....	24
ROZDZIAŁ VI.....	28
Niebieskie oczy.....	28
ROZDZIAŁ VII.....	33
Myśliwi i zwierzyna.....	33
ROZDZIAŁ VIII.....	37
Fotografja.....	37
ROZDZIAŁ IX.....	44
Przygoda Dragosza.....	44
ROZDZIAŁ X.....	52
Uwięziony.....	52
ROZDZIAŁ XI.....	56
W mocy wroga.....	56
ROZDZIAŁ XII.....	65
W imię prawa.....	65
ROZDZIAŁ XIII.....	69
Komisja śledcza.....	69
ROZDZIAŁ XIV.....	75
Między niebem a ziemią.....	75
ROZDZIAŁ XV.....	80
U celu.....	80

ROZDZIAŁ XVI.....	84
Dom opustoszony.....	84
ROZDZIAŁ XVII.....	91
Wpław.....	91
ROZDZIAŁ XVIII.....	95
Pilot.....	95
ROZDZIAŁ XIX.....	101
Zakończenie.....	101

ROZDZIAŁ I

Konkurs w Sigmaringen.

W sobotę, piątego sierpnia 1876 r. liczne i hałaśliwe zgromadzenie odbywało się w Sigmaringen, w gospodzie pod znakiem «Spotkanie Rybaków». Śpiewy, okrzyki, brzęk szklanek, oklaski, nawoływania, tworzyły ogłuszającą wrzawę, przerywaną tylko przez donośne toasty «Hoch», które objawia się radość niemiecka, w chwilach najsilniejszego natężenia.

Okna gospody stojącej na samym krańcu ślicznego miasteczka Sigmaringen, wychodziły na Dunaj, którego źródła znajdują się niedaleko. Zebrali się w niej członkowie «Związku rybaków na Dunaju», stowarzyszenia międzynarodowego, do którego należeli ludzie wszystkich narodowości, zamieszkujących pobrzeża tej rzeki.

Żadne zebranie w Niemczech nie może się obejść bez pijatyki, więc i w rybackiej gospodzie popijano obficie doskonale piwo monachijskie i wyborne wino węgierskie, popijano je pełnemi kufłami i szklankami. W wielkiej sali aż ciemno było od dymu tytoniowego, buchającego z niezliczonych fajek, ale zebrani towarzysze, choć twarzą swych nie mogli dojrzeć w kłębach dymu, słyszeli jednak swe głosy, hałaśliwe i donośne.

Zwolennicy łowienia ryb na wędkę z samego charakteru swego zajęcia są spokojni i milczący – ale na zebraniu, gdy odłożą rybackie przybory, przedzierzgamą się chyba w najhałaśliwszych ludzi na świecie. Opowiadania ich o dokonanych połowach dorównują słynnym opowieściom myśliwskim.

Kończyło się właśnie śniadanie, do którego zasiadło stu przeszło biesiadników, rozmówanych w wiosłowaniu, wędce i podrywce. Wybiła trzecia, gdy powstałi od stołu. Niektórzy, o słabszej głowie, chód mieli nieco chwiejny, lecz ogół trzymał się krzepko na nogach.

Wielkim rozgłosem i sławą cieszyły się te konkursy rybackie, odbywające się parę razy do roku. Od granic księstwa Badeńskiego aż do Bułgarii i Bessarabji – wówczas jeszcze tureckich prowincji – napływali ochotnicy, ze wszystkich krajów, położonych nad żółtymi wodami Dunaju, które wyobraźnia poetów przemianowała na «błękitne».

«Związek rybaków na Dunaju» istniał już od lat pięciu; stowarzyszenie to, doskonale prowadzone przez przewodniczącego im Węgra Miklesko, rozkwitało bujnie. Wzrastające zasoby dawały możliwość wyznaczania wysokich nagród na konkursach, a na sztandarze rybackim błyszcząły liczne medale, zdobyte w zapasach z innymi Towarzystwami. Komitet, biegły w prawach o rybołówstwie, umiał bronić swoich członków w zatargach z rządami i prywatnymi mieszkańcami. Konkurs, o którym mowa, był już drugim w ciągu 1876 roku.

O piątej rano uczestnicy wyszli z miasta na lewy brzeg Dunaju, w dół rzeki. Wszyscy ubrani w mundury stowarzyszenia: krótką bluzę, pozostawiającą zupełną swobodę ruchów, spodnie wpuszczone w buty z grubej skóry i na grubych podeszwach, i białe czapki z szerokimi daszkami. Rozumie się, że wszyscy mieli w porządku potrzebne przyrządy: trzciny, drążki, wędziska, wędki, opakowane w pokrowcach irchowych, zapasy ołowiu, sznurki, włosie i stuczne muchy. Co do samego połowu, pozostawiano zupełną swobodę rybakom, każdy mógł się *urządzać* według swojej woli.

Punkt o godzinie szóstej rano dziewięćdziesięciu siedmiu uczestników konkursu stanęło na stanowiskach, z wędkami w ręku, gotowych do zarzucenia przynęty. Na znak dany trąbką, dziewięćdziesiąt siedm wędek jednym ruchem wyprężyło się nad wodą.

Na konkursie ustanowiono kilka nagród: dwie pierwsze, po sto guldenów każda, przeznaczone były dla tego, który złowi największą ilość sztuk i dla tego, który ułowi sztukę najwspanialszą.

Na pięć minut przed jedenastą, odgłos trąbki obwieścił koniec konkursu. Rybołowcy złożyli plon swoich trudów pod sąd ciała sędziowskiego, złożonego z czterech członków stowarzyszenia z Miklesko jako prezydującym. Nikt nie powątpiewał o bezstronności tego «jury», ale należało uzbroić się w wielką cierpliwość, zanim się ujawni wynik żmudnej pracy.

Przyznanie nagród, bądź za wagę złożonych ryb, bądź za piękność pojedynczych okazów, miało pozostać w tajemnicy, aż do chwili wręczenia nagród, po skończonym bankiecie, który zgromadził wszystkich współzawodników przy wspólnej, braterskiej uczcie.

Nadeszła wreszcie chwila uroczysta. Rybacy, nie mówiąc już o ciekawych widzach, przybyłych z Sigmaringen –czekali przed estradą, na której zasiadał prezydujący, na czele «jury». Nie brakowało ławek i taburetów, więc siedzieli wszyscy obecni; nie brakowało też stołów, zaś na stołach kufli z piwem i butelek z winem, ani szklanic i kieliszków.

Prezydujący wstał.

– Bacność! Bacność! – rozległo się naokoło.

Miklesko na początek wychylił kufel piwa i przemówił po niemiecku:

– Kochani towarzysze! Nie spodziewajcie się odemnie krasomówczej przemowy, bo nie po to zebraliśmy się tutaj. Będę mówił do was, jak do braci, o sprawach naszego stowarzyszenia.

Wstęp ten przyjęto z zapalem, różnojęzycznymi okrzykami, a że prezydujący wznosił kufel do góry, zebranie odpowiedziało mu godnie, wychylając do dna swoje kufle.

Miklesko w dalszym ciągu przemowy wysławiał zalety ludzi, uprawiających sport rybołowczy. Chwalił cierpliwość, pomysłowość, zimną krew, wytrwałość, jakich potrzeba w tym zawodzie, który stawiał wyżej od myśliwskich czynów.

– Czy można nawet porównać polowanie z łowieniem ryb na wędkę? – wołał z zapalem.

– Nie! Nie! Nie można! – odpowiedzieli mu z niemniejszym zapalem słuchacze.

I cóż to za sztuka zabić kuropatwę, lub zająca, którego się ma przed sobą i którego pies wytropił! Zwierzynę, wytropioną przez psa, myśliwy widzi, może do niej celować, może marnować dowoli śrut, którego tyle przepada bez korzyści. Ryba zaś, to zupełnie co innego! Nikt jej nie może dojrzeć..., Ryba kryje się w głębiach wodnych. Jakiejże potrzeba zręczności, ile wysiłku umysłowego, jakiej zwinności, ażeby ją przynęcić, wziąć na haczyk i wydobyć z wody uczepioną na końcu wędki, miotającą się i oddającą tem miotaniem hołd zręczności rybaka!...

Grzmot okłasków odpowiedział mówcy. Widocznie wyraził on dobrze uczucia wszystkich obecnych. Popił znowu piwa i nabrawszy tchu, zmierzał ku zakończeniu.

– Mogę tylko winszować obecnym tu i sobie rozwoju naszego stowarzyszenia, które się cieszy zasłużoną sławą w całej środkowej Europie. Mogę śmiało twierdzić, że samo należenie do niego jest już niezaprzeczoną zaszczytem!

Miklesko, wyprostowany jak struna, stanął między sekretarzem a skarbnikiem; każdy z nich ujął w prawą rękę kieliszek szampana, a lewą położył na sercu.

– Piję na cześć «Związku rybaków na Dunaju!» – zawołał gromko prezydujący, tocząc wzrokiem po zebranych.

Wszyscy powstali z miejsc, każdy z kieliszkiem w rękę. Niektórzy, chcąc lepiej widzieć, powchodzili na ławki i stoły, a wszyscy z zapalem wychylili toast, wzniesiony przez prezydującego, w kilku językach.

Na tem zakończył się drugi punkt programu; pozostał jeszcze punkt trzeci: rozdanie przyznanych nagród.

Wszyscy oczekiwali ze wzruszeniem, ponieważ wynik pracy sędziów trzymano dotąd w tajemnicy. Teraz nadeszła chwila wyjaśnienia.

Prezydent zaczął odczytywać listę nagród. Stosownie do przepisów «Związku rybaków», na początek miano ogłosić nagrody mniejszej wartości. Wywoływani kolejno drugorzędni laureaci podchodzili do estrady. Prezydujący witał każdego braterskiem uściśnieniem i wręczał dyplom wraz z pieniężną nagrodą.

Połów składał się z ryb pospolitych w wodach Dunaju: z kielbi, płotek, szczupaków, okoni, linów i innych. Pośród nagrodzonych byli Wołosi, Węgrzy, Badeńczycy, Wirtemberczycy.

Drugą nagrodę przyznano za złowienie siedmdziesięciu siedmiu sztuk Niemcowi Weberowi, którego powitano gorącymi oklaskami, jako znanego już zwycięzcę na wielu poprzednich konkursach: przewidywano też ogólnie, że uzyska on i teraz nawet pierwszą nagrodę.

Ale nie! W jego sieci znalazło się tylko siedmdziesiąt siedm sztuk, gdy drugi współzawodnik, może nie zręczniejszy lecz szczęśliwszy, przyniósł sztuk dziewięćdziesiąt dziewięć.

Tym szczęśliwcem był Węgier Ilia Brusz. Gdy ogłoszono to nazwisko, publiczność zadziwiona nie przyjęła go oklaskami. Nikt go nie znał, bo Ilia Brusz wstąpił świeżo do «Związku rybaków».

Ponieważ nagrodzony nie stawił się osobiście po odbiór stu guldenów, Miklesko, nie tracąc czasu, zabrał się do odczytywania listy zwycięzców, których połów miał największą wagę. Byli wśród nich i Rumuni i Słowianie i Austryjacy. Nazwisko zdobywcy drugiej nagrody powitano także oklaskami; był to znany wszystkim członek Związku, Iwetozar. Ten chlubił się wspaniałą rybą ważącą cztery i pół funta, która niezawodnie wymknęłaby się łowcy, mającemu mniej zimnej krwi i zręczności.

Pozostała już tylko do przyznania pierwsza nagroda tej samej kategorii; serca wszystkich zabiły żywiej, w oczekiwaniu nazwiska nagrodzonego.

Ale jakież było zadziwienie, więcej nawet – osłupienie ogólne – gdy prezydujący oznajmił głosem, którego drżenia nie mógł pohamować:

– Pierwszą nagrodę za wagę, przysądzoną szczupakowi, ważącemu siedmnaście funtów, otrzymuje Węgier – Ilia Brusz.

Nastała cisza. Ręce przygotowane do oklasków – znieruchomiały, usta gotowe do okrzyków na cześć zwycięzcy – zamilkły. Wszyscy siedzieli bez ruchu, zaciekawieni w najwyższym stopniu.

Czy wreszcie ukaże się ten Ilia Brusz? Czy przyjdzie odebrać z rąk prezydującego swoje dyplomy i dwieście guldenów?

Nagły szmer przebiegł po zgromadzeniu.

Jeden bowiem z obecnych, stojący dotąd na uboczu, posunął się ku estradzie.

Był to zwycięzca – Ilia Brusz.

Sądząc z jego twarzy, starannie wygolonej a uwieńczonej gęstą czupryną, czarną jak smoła, Ilia Brusz miał co najwyżej lat trzydzieści. Wzrostu więcej niż średniego, szeroki w ramionach, mocny w nogach, wydawał się bardzo silny, można było nawet dziwić się, że

człowiek takiej siły znajduje przyjemność w zajęciu tak spokojnym jak łowienie ryb na wędkę i że on w nim zdobył tak wielką wprawę, której dał teraz niezaprzeczone dowody.

Jeszcze dziwniejszym zdawało się to, gdyż miał on widocznie jakąś wadę wzroku. Wielkie, ciemne okulary zasłaniały mu oczy, których barwy nie można było odróżnić pod szklami. A jednak dobry wzrok jest jednym z najważniejszych warunków powodzenia w rybołówstwie, gdzie trzeba śledzić najlżejsze drgania wędki i zwalczać rozliczne wybiegi rybiego narodu.

Ale czy kto się dziwił, czy nie, każdy musiał uchylić czoła przed zwycięzcą; nikt nie mógł wątpić o bezstronności sędziów. Ilija Brusz był niezaprzeczenie zwycięzcą, i to podwójnym zwycięzcą, co się jeszcze nigdy dotąd nie trafiło.

Nareszcie zebrani rozpogodzili się i zabrzmiały oklaski na cześć tryumfatora, w chwili, gdy mu prezydujący wręczał dyplom i pieniądze.

Lecz Ilija Brusz, zamiast zejść z estrady, powiedział coś do prezydującego, a potem zwrócił się do publiczności z przemową.

– Panowie i koledzy! – zaczął, – Chciałbym powiedzieć wam parę słów, na co otrzymałem łaskawe pozwolenie pana prezydującego...

Zapanowała taka cisza w hałaśliwej dotąd sali, że możnaby usłyszeć przelatującą muchę. Ilija Brusz po krótkiej przerwie zaczął znowu mówić.

– Pragnę na wstępie podziękować wam za waszą sympatię i oklaski, oraz zapewnić, że powodzenie nie wbiło mnie w pychę, bo więcej zawdzięczam je szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, niż własnej zasłudze. Powodzenie nasunęło mi myśl, którą chcę poddać wam do osądzenia. Ponieważ obecnie wszystkie sporty ustanawiają rekordy, dlaczego my – rybacy – mielibyśmy pozostać w tyle za innymi!

Umilkł a wśród zebranych odezwały się głosy:

– Zapewne!

– Czemu nie?

– Ma słuszność!

Ilija Brusz zabrał głos znowu.

– Mój tytuł, członka «Związku rybaków na Dunaju», nakłada na mnie pewne granice, w których muszę zamknąć moją działalność. Postanowiłem zatem przepłynąć całą długość naszej sławnej rzeki, od jej źródeł aż do morza Czarnego, żywiąc się w czasie tej podróży, na przestrzeni trzech tysięcy kilometrów, wyłącznie z owoców mojego połowu. Mam nadzieję, że szczęście, które mi dotąd sprzyjało, dopisze mi w tej wyprawie, którą zamierzam rozpocząć dziesiątego sierpnia, t. j. w przyszły czwartek, naznaczając panom miejsce spotkania u samych źródeł Dunaju.

Łatwiej sobie wyobrazić niż opisać zapał, jaki wywołało to niespodziewane oznajmienie. Przez pięć minut wrzała istna burza oklasków i okrzyków. Ale prezydujący przerwał ten huragan, powstając z miejsca, z kieliszkiem szampana w ręku.

– Za zdrowie i powodzenie naszego kolegi, Ilii Brusza! – wykrzyknął ze wzruszeniem.

– Niech żyje! – odpowiedział mu huczny okrzyk zebranych, którzy jednym tchem wychylili swe kielichy.

Po tym toaście nastąpiły jeszcze inne i wśród ogólnego rozweselenia zakończył się w sobotę piątego sierpnia 1876 r. słynny konkurs «Związku rybaków na Dunaju», odbyty w ślicznym miasteczku Sigmaringen,

ROZDZIAŁ II

U źródeł Dunaju.

Czy o rozgłos szło Ilii Bruszowi, kiedy oznajmiał związkowym kolegom zamiar przepłynięcia Dunaju w całej długości, z wędką w ręku! Jeżeli tak, to mógł sobie powinszować powodzenia.

Wszystkie dzienniki, wychodzące w miastach położonych nad Dunajem, zajęły się tym projektem i dawały obszerne i szczegółowe sprawozdania, pochlebając zwycięzcy i zwracając uwagę ogółu na jego osobę.

Popołudniu ósmego sierpnia, na dwa dni przed dniem oznaczonym na rozpoczęcie niezwyklej podróży, kilkudziesięciu gości zebrało się w wielkiej sali gospody w Sigmaringen, ale pomimo zbliżającego się dnia uroczystego, nie o bohaterze projektowanej wyprawy rozmawiali ci goście. Ważniejsze jeszcze wypadki stanowiły przedmiot rozmowy mieszkańców Dunajowych wybrzeży.

Bo oto od kilku miesięcy trapiło te wybrzeża nieustanne rozbójnictwo. Trudno zliczyć napadane folwarki, złupione zamki, okradzione wille, a nawet morderstwa spełnione na mieszkańcach, stawiających opór niepochwytnym złoczyńcom.

Sądząc z wielu poszlak, ten szereg zbrodni nie mógł być dziełem pojedynczych zbrodniarzy. Należało przypuszczać istnienie bandy dobrze zorganizowanej i zapewne licznej, oceniając z dokonanych przez nią czynów.

Lecz co było dziwne, że banda ta działała tylko w najbliższym sąsiedztwie Dunaju, w odległości dwóch kilometrów od rzeki złoczyńcy nie dawali już znaku życia. Ale same wybrzeża w granicach państwa austriackiego, węgierskiego, serbskiego czy rumuńskiego, były pustoszone przez bandytów, których nie udawało się nigdy pochwycić na uczynku.

Po dokonaniu zbrodni znikali oni aż do nowego napadu, który zdarzał się nieraz o setki kilometrów od poprzedniego. W przerwach między jednym a drugim przepadały wszelkie ślady zbrodniarzy, jakby się rozplynęli w powietrzu; ulatnieli się razem z łupem, niekiedy bardzo obfitym i ciężkim.

Rządy państw niepokojonych przez te napady zaczęły wreszcie oburzać się ciąglem niepowodzeniem swoich władz policyjnych.

Przeprowadzono nawet w tej sprawie korespondencję dyplomatyczną, a dzienniki doniosły, że państwa zainteresowane utworzyły międzynarodowy oddział policji, rozstawiony na wybrzeżach Dunaju, pod dowództwem jednego naczelnika.

Wybór tego wodza przedstawiał niemałą trudność, ale w końcu zgodzono się na Karola Dragosza, ajenta policji węgierskiej, dobrze znanego w tych okolicach.

Karol Dragosz był rzeczywiście człowiekiem wybitnych zdolności i zasługiwał na to wyróżnienie. Człowiek czterdziestopięcioletni, wzrostu średniego, szczupły, miał więcej siły moralnej niż fizycznej. Posiadał przytem wytrzymałość, konieczną do znoszenia trudów powołania, i dość męstwa, by stawić czoło niebezpieczeństwu. Urzędownie mieszkał w Budapeszcie, lecz najczęściej przebywał w podróży, zajęty śledzeniem jakiej subtelnej sprawy. Znał doskonale wszystkie języki i narzecza południowego wschodu Europy, co mu ułatwiało stosunki z mieszkańcami. Publiczność z zadowoleniem przyjęła wieść o

mianowaniu Dragosza przywódcą wyprawy i w sali pod «Spotkaniem rybaków» rozbrzmiewały jednomyślnie jego pochwały.

– Nie można było uczynić lepszego wyboru! – dowodził Ivetozar, gdy zapalono lampy w sali. – Znam Dragosza, To dzielny człowiek!

– I zręczny – dodał Miklesko.

– Ale będzie miał do czynienia z silnym przeciwnikiem – wyrzekł Weber, kiwając z powątpiewaniem głową. Zobaczmy go zresztą przy robocie.

– Zobaczmy! – powtórzył Ivetozar. – On już z pewnością zaczął robotę; możesz pan być tego pewny.

– Cztery dni temu otrzymał nominację – mówił Miklesko. – Niezawodnie już od trzech dni zabrał się do roboty.

– Ale od czego zacznie? – zagadnął jakiś Rumun.

– Trudno to zgadnąć – odparł żartobliwie jeden z gości. – Może skierował się do Białogrodu, może został w Budapeszcie... a może przyjechał tu, do Sigmaringen, i siedzi z nami w tej sali?...

Przypuszczenie to obudziło ogólną wesołość.

– W tej sali! – powtórzył Rumun. – A pocoby tu przyjeżdżał?

– Poco? – odezwał się Serb, Michał Michaiłowicz. – Choćby po to, żeby pojutrze być obecnym przy wyjeździe Ilii Brusza... Jeżeli tylko – bo i to możliwe! – Ilija Brusz i Karol Dragosz nie są jedną i tą samą osobą!...

Słuchacze zdumieni wpatrywali się w mówiącego.

– Nie! Jeden tylko Michał Michaiłowicz miewa podobne pomysły!

– A może – dodał on zamyślając się – może... Karl Dragosz ma inne podejrzenia...

– Jakże?

– Przypuśćmy, że ten zamiar przepłynięcia całego Dunaju, z wędką w rękę, wyda mu się podejrzanym?...

– Dlaczego?

– No! Bo byłaby to niezła sposobność dla łotra, ukryć się w skórze rybaka i to tak znakomitego rybaka... najbezpieczniejszy sposób zachowania «incognito»... Możliwe bez przeszkody dopuścić się mnóstwa zbrodni, pod warunkiem, ażeby między jedną a drugą dla niepoznaki łowić ryby...

– Tak, ale na to trzeba być rybakim – odezwał się prezydujący. – A rybołówstwo, to zajęcie uczciwych ludzi!

Uwagę tę przyjęto z zapalem. Michał Michaiłowicz skorzystał z chwili i wznosząc w górę szklankę zawołał:

– Zdrowie prezydującego!

– Niech żyje! – zawtórowali chórem obecni.

Siedzący przy bocznym stoliku, samotny gość, który przysłuchiwał się uważnie rozmowie, przyłączył swój głos do tego chóru i również wypił zdrowie prezydującego.

Miklesko ujęty jego uprzejmością, gestem zaprosił go do swego stołu, z czego gość ów nie omieszkał skorzystać i zaraz przysiadł się do prezesa.

– Czy mam zaszczyt mówić z kolegą – rybakim? – zagadnął go Miklesko.

– Z miłośnikiem rybołówstwa tylko – odrzekł skromnie nieznajomy.

– Szkoda! Panie...

– Jeger – odpowiedział nieznajomy.

– Szkoda, panie Jeger, – dodał prezydujący – bo z tego wnoszę, że nie będziemy mieli nigdy zaszczytu zaliczyć pana do naszego stowarzyszenia.

– Kto wie? – odrzekł Jeger – może i ja kiedyś zdecyduję się wziąć do ręki wędkę, a wtedy, znając odpowiednie warunki, zaciągnę się niezawodnie do pańskich szeregów...

– Łatwo to spełnić i teraz, bo warunki są tak proste, że każdy może im zadość uczynić – zawołał Miklesko, ucieszony nadzieją zdobycia nowego członka. – Trzeba tylko opłacić skromną składkę roczną, lubić rybołówstwo i zapisać swoje nazwisko i adres na liście stowarzyszonych. A że już znam pańskie nazwisko, więc gdy otrzymam adres...

– Wiedeń, ulica Lipska 43 – powiedział nieznajomy.

– Więc za cenę dziesięciu guldenów rocznie możesz pan zostać członkiem «Związku rybaków».

Obaj roześmieli się, a nieznajomy dodał:

– Żadnych więcej formalności? Ja zaś sądziłem, że w tym «Związku» wszyscy muszą znać się osobiście...

– Bynajmniej! – objaśnił Miklesko. – Jedni mieszkają tu, w Sigmaringen, inni na wybrzeżu morza Czarnego... Nie ułatwia to znajomości!

– Prawda!

– Naprzykład nasz najświeższy laureat Ilia Brusz. Nikt go nie zna.

– Czy być może?

– Napewno! – potwierdził Miklesko. – Od dwóch tygodni zaledwie został członkiem naszego «Związku». Dla nas wszystkich jego występ by? prawdziwą niespodzianką...

– Jakiejże on jest narodowości?

– Węgier.

– A z której mianowicie strony kraju?

– Z Szalki.

– Gdzież to jest ta Szalka?

– To miescina na prawym brzegu Ipoty, rzeki, która wpada do Dunaju, o kilka mil powyżej Budapesztu.

– Więc pan z nim sąsiadujesz, panie prezesie! – roześmiał się Jeger.

– A raczej będę sąsiadował za jakie dwa lub trzy miesiące – odrzekł równie żartobliwym tonem Miklesko. – Bo tyle czasu zabierze mu zamierzona podróż...

– Jeżeli ją odbędzie! – odezwał się drwiąco Serb, Michał Michaiłowicz, wtrącając się bez ceremonji do rozmowy.

Inni członkowie rybackiego związku także zbliżyli się do prezydującego i nowego znajomego, pana Jegera.

– Co to ma znaczyć? – oburzył się Miklesko. – Masz bardzo bujną wyobraźnię, Michale Michaiłowiczu!

– Prosty żart, nic więcej, panie prezesie – odrzekł zagadnięty. – Ale jeżeli Ilia Brusz, według waszego zdania, nie jest ani złoczyńcą, ani agentem policyjnym, jakż mamy dowód, że nie zdrwił sobie poprostu z nas? Że nas nie wyprowadził w pole?

Miklesko oburzył się na dobre.

– Jesteś skłonny do złośliwych podejrzeń, Michale Michaiłowiczu! – odrzekł. – Ilia Brusz zrobił na mnie wrażenie dzielnego i uczciwego człowieka. Jest przytem członkiem «Związku rybaków na Dunaju». To także coś znaczy!

– Brawo! – wykrzyknęli obecni.

Michał Michaiłowicz, niezmierny wcale uwagą prezesa, z wielką przytomnością umysłu pochwycił sposobność do nowego tematu.

– W takim razie – zawołał, podnosząc szklankę wina – wypijmy zdrowie Ilii Brusza!

– Niech żyje Ilija Brusz! – krzyknęli chórem wszyscy, a z nimi i pan Jeger, który swoją szklankę wychylił sumiennie do ostatniej kropli.

Uwaga Michała Michaiłowicza nie była jednak zupełnie bezpodstawną. Bo Ilija Brusz, oznajmiwszy z wielkim rozgłosem plan swojej podróży, nie pokazał się wcale. Nikt o nim nie miał wiadomości. Nie było to dziwne, że trzymał się tak na uboczu i czy nie można było posądzać, że nadużył łatwowierności swych kolegów? Ale niepewność niedługo już będzie trwała. Za trzydzieści sześć godzin wszystko się wyjaśni.

Ci, których zaciekawiał zamiar Ilii, mieli się udać kilka mil w górę rzeki, za Sigmaringen. Zastaną tam niezawodnie Ilię, jeżeli to jest człowiek poważny i uczciwy, za jakiego uważał go prezes Miklesko.

Ale pozostawała jeszcze jedna trudność. Gdzie właściwie wytrysku ją źródła Dunaju? Czy na mapach oznaczono je dokładnie? A może dążący na spotkanie w jednym miejscu, zminą się z Ilią, który zacznie podróż od innego punktu?

Nie podlega wątpliwości, że Dunaj – zwany w starożytności Ister – ma źródło w wielkim księstwie Badeńskim. Geografowie oznaczają położenie źródła pod szóstym stopniem dziesięciu minutami długości wschodniej i pod czterdziestym siódmym stopniem czterdziestu ośmiu minutami szerokości. Ale to określenie obliczone jest co do minut, lecz nie co do sekund, co może stanowić znaczną różnicę. A tu chodziło o to, by zarzucić wędkę w tym właśnie miejscu, gdzie pierwsza kropla wód Dunaju wytryska z ziemi, dążąc do morza Czarnego.

Według podania, które długi czas uchodziło za pewnik geograficzny, źródło Dunaju ma wytryskać w książęcym ogrodzie Fürstenbergów. Kolebką jego jest marmurowy basen, z którego liczni turyści czerpią kubkami wodę. Może więc tam, przy basenie pełnym zawsze wody, pojawi się Ilija Brusz, rankiem dziesiątego sierpnia?

Ale prawdziwe źródło wielkiej rzeki nie tam właściwie leży. Wiadomo już teraz, że Dunaj powstaje z połączenia dwóch strumyków, zwanych «Breg i Brigach», które spływając z wyniosłości ośmiuset siedmdziesięciu pięciu metrów, płyną przez bory Czarnego Lasu. Wody ich łączą się w Donaueschingen, o kilka mil powyżej Sigmaringen i odtąd już przybierają nazwę Dunaju.

Jeżeliby któremu z tych dwóch strumieni należało przyznać pierwszeństwo, to chyba Bregowi, który jest dłuższy o trzydzieści siedm kilometrów, niż Brigach, a wytryska w Bryzgowji.

Lecz ciekawi widzowie nie wątpili, że Ilija Brusz za punkt początkowy swej wyprawy obierze Donaueschingen i tam też zgromadzili się członkowie Związku, z prezesem swym, Miklesko.

Wczesnym rankiem, dziesiątego sierpnia, rozstawili się na straży na wybrzeżu Bregu, w miejscu gdzie się łączą oba strumienie. Ale mijały godziny, a oczekiwany bohater nie ukazywał się.

– Nie pojawi się wcale – mówili jedni.

– To jakiś oszust – dodawali inni.

– A my wszyscy wyszliśmy na łatwowiernych głupców! – szydził nieubłagany Michał Michaiłowicz.

Jeden tylko Miklesko bronił wytrwale Ilii Brusza.

– Nie! – powtarzał z uporem. – Nie uwierzę nigdy, ażeby członek «Związku rybaków na Dunaju» mógł oszukać i wprowadzić W błąd swoich kolegów! Niezawodnie coś opóźniło wyjazd Ilii Brusza. Bądźmy cierpliwi! Zobaczymy go niezadługo...

Miklesko miał słuszność okazując tak niezachwianą ufność. Bo przed samą dziesiątą rozległ się krzyk w gromadce stojącej w tym miejscu, gdzie Brigach łączy się z Bregiem.

– Płynie! Płynie! – wołano stamtąd.

O dwieście kroków, na zakręcie Bregu ukazała się łódź, popychana wiosłem umieszczonym z tyłu, płynąca blisko brzegu, po za granicami prądu. Jeden tylko człowiek, stojący na tyle łodzi, kierował ją wiosłem.

Był to ten sam człowiek, który przed kilku dniami wystąpił na konkursie Związku, jako zdobywca obu pierwszych nagród, Węgier Ilia Brusz.

Kiedy łódź wypłynęła na połączone już wody dwóch strumieni, zatrzymała się, a wioślarz zarzuciwszy kotwicę, przymocował ją na wybrzeżu. Z łodzi wysiadł Ilia Brusz, którego wnet otoczyli ciekawi. Nie spodziewał się on zapewne zastać tak licznego zgromadzenia, bo wydawał się trochę zmieszany.

Prezes Miklesko przyszedł go witac i podał mu rękę, Ilia Brusz uścisnął ją z uszanowaniem, zdjąwszy z głowy czapkę z futra foki.

– Witaj nam Ilio Brusz! – przemówił Miklesko z wielką godnością – cieszę się, że widzę zwycięzcę z naszego konkursu!

Zwycięzca skłonił się, a Miklesko mówił dalej:

– Spotykając się tu, u źródła naszej międzynarodowej rzeki, wyprowadzamy stąd wniosek, że zamierzasz urzeczywistnić swój zamiar i przepłynąć z wędką w rękę całą długość Dunaju aż do samego ujścia.

– Istotnie, panie prezesie, taki jest mój plan – odrzekł Ilia Brusz.

– I dziś właśnie rozpoczynasz swą podróż?

– Dziś, panie prezesie.

– A w jaki sposób zamierzasz płynąć?

– Poddając się prądowi.

– W tej łodzi?

– Tak, w tej łodzi.

– Bez zatrzymywania się?

– Przeciwnie! Będę się zatrzymywał na noc.

– Ale wiesz chyba, że masz przebyć trzy tysiące kilometrów?

– Płynąc dziesięć mil dziennie, powinienem przebyć tę przestrzeń w ciągu dwóch miesięcy.

– A zatem, szczęśliwej podróży, Ilio!

– Dziękuję z głębi serca, panie prezesie!

Żeglarz skłonił się raz jeszcze zgromadzonemu i wsiadł do łodzi, a tłumy ciekawych tłoczyły się na sam brzeg, ażeby widzieć jak odpłynie.

Ilia wziął wędkę, założył przynętę, położył ją na ławeczce, wciągnął do łodzi kotwicę, silnym uderzeniem odepchnął łódź od brzegu, a potem, usiadłszy w tyle łodzi, zapuścił wędkę.

Po chwili wyciągnął ją z wody. Piękny okoń trzepotał się na końcu wędki. Było to pomyślną wróżbą dla podróży, a gdy Ilia zakręcił łódź i ruszył, zebrani na brzegu zegnali odpływającego laureata pełnemi zapału okrzykami.

ROZDZIAŁ III

Pasażer Ilii Brusza.

Ilia Brusz rozpoczął podróż po wielkiej rzece, podróż, która miała go przeprowadzić przez jedno księstwo – Badeńskie, przez dwa królestwa – Wirtembergję i Bawarię, przez dwa cesarstwa – Austro-Węgry i Turcję, przez trzy państwka – Hohenzollern – Sigmaringen, Serbję i Rumunję.¹

Dziwny ten rybak nie obawiał się zmęczenia podczas tak długiej podróży. Prąd wody poniesie go więcej niż milę na godzinę, do samego ujścia, czyli przecięciowo pięćdziesiąt kilometrów dziennie. Za dwa miesiące stanie u celu podróży, byleby tylko żaden wypadek nie zatrzymał go wśród drogi; a dlaczego miałby go spotkać jaki wypadek?

Łódź jego miała dwanaście stóp długości i płaskie dno, we środku szerokie około czterech stóp. Na przodzie łodzi mieściła się budka, kajuta, w której dwóch ludzi mogłoby znaleźć schronienie; w kajucie dwa jednakowe kufry, ustawione przy wejściu, zawierały w sobie skromny zapas ubrania, a złożone odpowiednio, mogły służyć za łóżko. W głębi stał trzeci kufer do siedzenia, a w jego wnętrzu mieściły się różne naczynia kuchenne.

Nie trzeba dodawać, że w łodzi znajdowały się wszystkie narzędzia i przyrządy, potrzebne dla rybaka. Nie mógł on obejść się bez nich, ponieważ jak oznajmił swym kolegom na konkursie, zamierzał przez cały ciąg podróży żyć wyłącznie z owoców swego połowu, czy to spożywając je w naturze, czy zamieniając na monetę brzęczącą, lub produkty żywnościowe, dla urozmaicenia obiadów, bez zmiany ściśle ułożonego planu podróży.

Ilia postanowił sprzedawać wieczorami złowione w ciągu dnia ryby, a kupców spodziewał się znaleźć łatwo na obu brzegach rzeki, dzięki rozgłosowi, jakiego nabrało jego imię.

Upłynął dzień pierwszy podróży, ale ktoś, coby nie spuszczał z oka Ilii, miałby prawo dziwić się, że laureat konkursu rybackiego tak mało zajmuje się połowem, który jednak stanowił główny cel jego wyprawy. Bo zaledwie wypłynął daleko od ludzkich oczu, porzucił wędkę, brał się do wiosła i wiosłował z całych sił, gorączkowo przyspieszając posuwanie się łodzi. Ale, jeżeli na brzegu ukazali się ludzie, albo łódź mijała jaki statek, Ilia natychmiast chwycił za wędkę i dzięki niepospolitej zręczności, ułowił zawsze piękną rybę, zdobywając tem poklask widzów. Gdy jednak zakręt rzeki zasłonił go znowu od ciekawych, gdy statek, który mijał, znikł w oddaleniu, Ilia brał się zaraz do wiosła i popychał ciężką łódź z większą szybkością, niż prąd wody.

Może miał on jakieś tajemne powody do skracania czasu podróży, do której przecie nikt go nie zmuszał! Jakiegokolwiek były te powody, to pewna, że płynął szybko, niesiony prądem gwałtowniejszym u początków rzeki niż dalej; posługując się przytem wiosłem, ilekroć nadarzyła się sposobność, płynął z szybkością ośmiu kilometrów na godzinę, jeżeli nawet nie więcej.

Minąwszy kilka mniejszych osad, zostawił za sobą Tuttlingen, większe już miasteczko, nie zatrzymując się w niem wcale, pomimo że stojący na brzegu wzywali go znakami do siebie. On zrobił ruch odmowny i popłynął dalej.

Około czwartej popołudniu dopłynął do miasteczka Fridingen, położonego o czterdzieści ośm kilometrów od miejsca, z którego rozpoczął podróż. Byłby je chętnie pominął, tak jak

poprzednie, lecz nie pozwolili mu na to przejści zapałem widzowie. Zaledwie ukazała się jego łódź, od brzegu wypłynęły na środek rzeki liczne czółna i statki, które z okrzykami «hoch!» otoczyły go naokoło.

Musiał się poddać. Zresztą potrzebował nabywców na złowione w czasie podróży ryby, które trzepotały się w sieci przywiązanej do łodzi. Nie mógłby ich sam potrzebować, a amatorów na nie było mnóstwo. Zaledwie zatrzymał łódź, pięćdziesięciu Badeńczyków otoczyło ją, oddając mu honory należne zwycięzcy na konkursie rybackim.

- Jak się masz, Ilia Brusz!
- Wypijemy razem kufel piwa!
- Kupimy twoje ryby, Brusz!
- Dwadzieścia krajcarów za tę sztukę!
- Dam guldena za tego okonia!

Ilia nie wiedział komu wpieryw odpowiadać i w mgnieniu oka zebrał za swoje ryby sporą sumkę. Z tem co otrzymał jako konkursową nagrodę, utworzyłaby się ładna kwota, gdyby taki sam zapał spotykał go do ujścia rzeki.

Ale czemuż zresztą miałby ten zapał ostygnąć? Ludzie ubiegali się o to, by mieć rybę złowioną przez Brusza, jak o zaszczyt. Nie będzie więc rybak potrzebował chodzić po domach ze swoim towarem, bo publiczność rozchwytła wszystko na miejscu, z łodzi. Pomysł sprzedawania ryb okazał się znakomitym.

Owego wieczora, oprócz nabywców na ryby, nie brakło i zaproszeń. Lecz Ilia widocznie nie chciał opuszczać swej łodzi i dlatego odrzucił zaproszenia na kufle piwa i szklanki wina, na które ciągniono go do nadbrzeżnych gospod. Wielbiciele jego musieli się wyrzec tej przyjemności i pożegnali go, obiecując stawić się rano, w chwili wyjazdu.

Ale następnego rana nie zastali już łodzi Brusza, odpłynął przed świtem i korzystając z ciszy i pustki w tak wczesnej porze dnia, wiosłował z zapałem, trzymając się samego środka rzeki, w jednakowej odległości od stromych brzegów. Unosił go wartki prąd, gdy około piątej rano mijał Sigmaringen, przepływając o kilka metrów od gospody pod «Spotkaniem rybaków». Później, w ciągu dnia, przyjdą tam niezawodnie członkowie «Związku» i z balkonu gospody będą upatrywali przybycia towarzysza – zwycięzcę. Ale będą upatrywali na-próżno. Rybak będzie już wtedy daleko!

O kilka kilometrów za Sigmaringen Ilia minął pierwszy dopływ Dunaju, skromny strumień, wpadający doń z lewej strony. Korzystając zaś z rzadkich stosunkowo osad nadbrzeżnych cały dzień wiosłował, łowiąc tylko ryby, niezbędne na posiłek. Gdy noc nadeszła, stanął na nocleg w pustym miejscu, powyżej miasteczka Mundelkingen, którego mieszkańcy nie przypuszczali nawet, że tak blisko nocuje zwycięzca z Sigmaringen.

Po tym drugim dniu żeglugi, nastąpił trzeci, zupełnie podobny. Ilia przepłynął szybko koło Mundelkingen przed wschodem słońca, a wczesnym rankiem minął już duże miasto Echingen. O czwartej skrzyżował się ze znanym dopływem z prawej strony rzeki Iller, a o piątej uwiązał już łódź do żelaznego pierścienia wmurowanego w bulwark nadbrzeżny w Ulmie, największem po stolicy Stuttgardzie, mieście Wirtembergji.

Nie wiadano nic o przybyciu laureata. Spodziewano się go dopiero nazajutrz wieczorem, więc na wybrzeżu nie oczekiwały tłumy. Ilia rad, że może zachować incognito, postanowił wybrać się do miasta.

Nie można jednak twierdzić stanowczo, że na wybrzeżu nie było nikogo. Przechadzał się tam jakiś człowiek, który, jak się zdawało, czekał na Ilię Brusza, bo od chwili ukazania się łodzi, szedł równo z nią wzdłuż brzegu. Lecz gdy Ilia umocował łódź przy bulwarku, nieznajomy nie zbliżył się do niego; zatrzymał się opodal i przyglądał mu się bacznie z oddali, jakby nie chciał być widzianym. Był to człowiek średniego wzrostu, przeszło

czterdziestoletni, z bystremi oczami, szczupły, ubrany w obcisłą kurtkę węgierskim krojem, w rękę niósł niewielką walizkę.

Ilia, nie zwracając nań uwagi, przywiązał mocno łódź, zamknął drzwi kajuty, upewniwszy się, że kłódki przy kufrach są pozamykane, a potem wyskoczył na brzeg i skierował się najbliższą ulicą do miasta.

Nieznajomy podążył za nim, wrzuciwszy z pośpiechem do łodzi skórzaną walizkę, którą dźwigał w rękę.

Ulm, przecięty Dunajem na dwie połowy, na lewym brzegu należy do Wirtembergii; na prawym zaś do Bawarii; lecz obie połowy są miastami czysto niemieckimi. Ilia szedł starożytnymi ulicami, przy których sklepy zaopatrzone są według odwiecznego zwyczaju w okienka. Kupujący nie wchodzi do sklepów, lecz załatwiają sprawunki przed oszkloną wystawą; a gdy wiatr wieje, w całym mieście rozlega się zgrzyt i brzęczenie staroświeckich szyldów, wiszących na długich żelaznych prętach, a przedstawiających niedźwiedzie, jelenie, różne zwierzęta i godła, herby, krzyże i korony.

Dostawszy się do starożytnej dzielnicy, Brusz przebiegł ulice, gdzie rzeźnicy, flaczarze, garbarze mają swoje zakłady, i doszedł do katedry, jednej z najpiękniejszych w Niemczech. Wieża jej miała przewyższyć słynną wieżę w Strasburgu, lecz nie dopięła zamierzonego celu, i wierzchołek jej kończy się na wysokości trzystu trzydziestu siedmiu stóp od ziemi.

Ponieważ Ilia nie należał do rodzaju ludzi wspinających się na wieże, nie poszedł na szczyt, z którego można obejrzeć całe miasto i okolice. Gdyby był poszedł, pociągnąłby tam niezawodnie i nieznajomy, który szedł za Ilią trop w trop, niezauważony dotąd przez niego.

Minęli tak, idąc jeden za drugim, starożytny ratusz, zbudowany jeszcze w dwunastym wieku i zawrócili do rzeki. Lecz po drodze, Brusz przystanął zaciekawiony niezwykłym widokiem gromadki młodzieży, przechadzającej się na wysokich szczydłach. Chodzenie na szczydłach jest ulubionym ćwiczeniem w Ulmie, choć nie zmusza do niego, jak w Tybindze, grunt nierówny i wilgotny, utrudniający piesze wędrówki.

Chcąc się lepiej przypatrzeć wesołemu towarzystwu, złożonemu z dziewcząt, chłopców i dzieci, rozradowanych i śmiejących, Ilia usiadł przed kawiarnią. Nieznajomy nieomieszkał usiąść przy sąsiednim stole i obaj kazali sobie podać słynnego ulmskiego piwa.

Po dziesięciu minutach odpoczynku, wypiwszy piwo poszli dalej, ale w odmiennym porządku. Teraz nieznajomy szedł pierwszy żwawym krokiem, a kiedy Brusz, który na niego nie zwracał uwagi, doszedł do łodzi, zastał w niej usadowionego przybysza, z taką miną, jakby już dawno czekał na właściciela łodzi. Było jeszcze zupełnie widno, gdy Ilia zobaczył zdała natrętnika siedzącego na kufrze z tyłu łodzi i żółtą skórzaną walizkę, leżącą przy jego nogach. Zdziwił się i przyspieszył kroku.

– Przepraszam bardzo, ale pan zapewne się pomylił? – zapytał Ilia grzecznie wchodząc do łodzi.

– Bynajmniej – odrzekł nieznajomy. – Właśnie pragnę rozmówić się z panem.

– Ze mną?

– Tak. Z panem Ilią Bruszem.

– Dlaczego?

Bo chcę panu zaproponować pewien interes.

– Interes? – powtórzył rybak, mocno zdziwiony.

– I nawet doskonały interes – dodał nieznajomy, wskazując Ilii, by usiadł.

Zaproszenie to było trochę dziwne, bo nie jest przyjętym zwyczajem, żeby gość zapraszał gospodarza. Ale człowiek ten przemawiał tak stanowczo i z taką spokojną pewnością siebie, że na Ilii zrobiło to wrażenie. Nic nie mówiąc, usiadł.

– Wiem o pańskim projekcie – zaczął nieznajomy – i wiem naturalnie o tem, że zamierzasz pan przepłynąć całą długość Dunaju, żyjąc wyłącznie z tego, co ci przyniesie połów ryb. Ja zaś jestem zapalonym miłośnikiem rybołówstwa i pragnąłbym bardzo wziąć udział w pańskiej wyprawie.

– A to w jaki sposób?

– Zaraz powiem, ale przedtem pozwól mi pan zadać sobie jedno pytanie. Ile szacujesz tę ilość ryb, jaką możesz złowić w czasie swej podróży?

– To jest, ile może mi przynieść połów?

– Tak. – Liczę tu tylko to, co pan sprzedasz, nie biorąc w rachubę tego, co zużyjesz na swoje pożywienie.

– Może... jakie sto guldenów...

– Ja zaś dam panu za to – pięćset guldenów.

– Pięćset guldenów! – powtórzył Ilija oszołomiony.

– Tak, pięćset guldenów, płatnych z góry.

Ilija popatrzył na autora dziwnej propozycji a spojrzenie jego musiało być wymowne, bo nieznajomy odpowiedział na myśl, której Ilija nie wyraził.

– Bądź pan spokojny, panie Brusz. Jestem przy zupełnie zdrowych zmysłach...

– Więc dlaczego mi pan to proponujesz? – zapytał Ilija nieprzekonany.

– Już powiedziałem – odrzekł nieznajomy. – Pragnę wziąć udział w pańskim popisie i być jego świadkiem. Przytem, wdaję się tu w grę w znaczeniu hazardu. Zaryzykowany na pańskie szczęście pięćset guldenów, będę miał rozrywkę, odbierając od pana pieniądze, otrzymane co wieczór ze sprzedaży pańskiego połowu, za moje wyłożone z góry.

– Co wieczór?! – powtórzył Ilija. – Więc pan chciałbyś płynąć razem ze mną?

– Naturalnie – odrzekł nieznajomy. – Rozumie się, że koszt mojej podróży nie wchodzi do naszej umowy, i że zapłacę za przejazd, drugie pięćset guldenów, czyli razem tysiąc guldenów wypłaconych z góry gotówką.

– Tysiąc guldenów! – powtórzył Ilija, coraz więcej zadziwiony.

Propozycja była ponętna. Ale widocznie rybak cenił wyżej swoją samotność, bo odpowiedział krótko.

– Żałuję niezmiernie, ale... przyjąc pańskiej propozycji nie mogę i... odmawiam.

Po tak stanowczej odpowiedzi, nieznajomy mógł tylko skłonić się i odejść. Ale zapalony zwolennik rybołówstwa był innego zdania.

– Czy mi wolno zapytać dlaczego? – wyrzekł łagodnie.

– Nie potrzebuję tłumaczyć się z powodów. Odmawiam i koniec. Mam do tego prawo, jak sądzę – odparł Brusz, już trochę zniecierpliwiony.

– Niezawodnie! – potwierdził nieznajomy nie wzruszając się wcale. – Ale i ja nie myślę się zrzec mojego prawa, i proszę, zechciej pan wyłuszczyć mi powody swego postanowienia. Moja propozycja nie czyni panu ujemy, a nawet przeciwnie; mam zatem prawo żądać grzeczności i wyjaśnienia.

Nieznajomy wyrzekł te słowa łagodnie lecz tak stanowczo, że zrobił wrażenie na Ilii, któremu szło wprawdzie o samotność, ale więcej jeszcze o unikanie sprzeczek i zatargów. Ustąpił więc, uznając słuszność uczynionej uwagi.

– Masz pan słuszność – wyrzekł już spokojnie. – Powiem więc odrazu, że nie radbym się zgodzić na przedsięwzięcie, które niezawodnie naraziłoby pana na straty.

– To już mnie tylko obchodzi.

– I mnie także, bo nie miałem zamiaru poświęcić więcej niż godzinę dziennie na połów ryb.

- A przez resztę dnia?
- Wiosłuję dla przyspieszenia żeglugi.
- Tak bardzo panu się śpieszy?

Ilia Brusz przygryzł usta.

– Śpieszy się czy nie, mniejsza o to, dość że tak jest – odparł oschłym tonem. – Rozumie pan zatem, że w takich warunkach przyjąć od pana pięćset guldenów, równałoby się prostej kradzieży.

– Wcale nie, jeżeli pan mnie z góry ostrzegasz – odpowiedział nieznajomy z niezachwianym spokojem.

– Byłoby kradzieżą! – powtórzył Ilia stanowczo. – Chyba że zmuszałbym się do łowienia ryb codziennie, choćby przez godzinę. A ja nie zgodzę się nigdy na takie zobowiązanie. Chcę postępować według własnej fantazji, chcę być wolny!

– I będziesz pan wolny – zapewnił nieznajomy. – Będziesz łowił ryby kiedy zechcesz i tylko jeżeli zechcesz, to nawet powiększy przyjemność naszej gry. Zresztą wiem jak jesteś zręczny i sądzę, że dwukrotne lub trzykrotne zarzucenie wędki wystarczy. Uważam, że to dla mnie doskonały interes. Trwam więc przy tem, co powiedziałem: daję panu pięćset guldenów za przejazd i pięćset za złowione w czasie podróży ryby.

– A ja trwam przy swoim postanowieniu i odmawiam.

– W takim razie powtarzam pytanie: dlaczego?

Natarczywość ta była zupełnie niewłaściwa. Ilia, mimo bardzo spokojnego charakteru, zaczął tracić cierpliwość.

– Dlaczego? – powtórzył wzburzony. – Zdaje mi się, że już powiedziałem. A jeżeli pan żądasz koniecznie, to dodam, że nie chcę nikogo na moim pokładzie! Zdaje mi się, że wolno każdemu lubić samotność.

– Rozumie się – odpowiedział nieznajomy, nie ruszając się jednak z ławki, jakby do niej przyszył. – Ale ze mną będziesz pan zupełnie sam. Nie ruszę się z tego miejsca i nie przemówię nawet słowa, jeżeli mi postawisz taki warunek.

– A w nocy? – zapytał Ilia Brusz, już rozgniewany. – Czy pan sądzisz, że dwóch ludzi może się pomieścić wygodnie w kajucie?

– Kajuta jest dostatecznie obszerna na dwóch – dowodził nieznajomy. – Zresztą, za tysiąc guldenów można znieść trochę niewygody.

– Być może! – odciął się Ilia, coraz więcej rozdrażniony. – Ale ja nie chcę! Nie chcę i basta! To już chyba wyraźne, jak sądzę...

– Bardzo wyraźne – przyznał nieznajomy.

– A więc? – zapytał Ilia, czyniąc wymowny ruch ręką i wskazując na bulwark.

Ale zdawało się, że nieznajomy nie zrozumiał tak wyraźnego gestu. Wyjął z kieszeni fajkę i nakładał ją starannie. Jego spokój doprowadził Ilię do ostateczności.

– Czy mam pana wysadzić na ląd? – wykrzyknął z uniesieniem.

Nieznajomy skończył nakładanie fajki i powiedział spokojnie, bez śladu obawy w głosie:

– Zrobiłbyś pan źle, a to dla trzech powodów: Pierwszy, że bójka wywołałaby wdanie się policji i musielibyśmy obaj iść do komisarza, podać swoje imiona i nazwiska i odpowiedzieć na mnóstwo pytań. Nie byłoby mi to przyjemne, wyznaję; a z drugiej strony, taka awantura zapewne nie wpłynęłaby na pośpiech pańskiej podróży, o który panu tak bardzo idzie.

Czy uparty miłośnik rybołówstwa liczył dużo na ten argument? Jeżeli tak, to mógł być zadowolony. Ilia Brusz złagodniał odrazu i gotów był już wysłuchać do końca. Nieznajomy, zajęty wyłącznie fajką, nie zwracał uwagi na wywołane wrażenie.

A kiedy uporawszy się z fajką, zabierał się do dalszego wykładu, ktoś trzeci, kogo dotąd Ilia nie widział, zjawił się na wybrzeżu i wskoczył do łodzi. Przybysz miał na sobie mundur żandarmski.

– Czy pan Ilia Brusz? – zapytał.

– Ja sam – odrzekł zapytany.

– Proszę o pańskie dowody.

Słowa te padły jak kamień rzucony w stojącą wodę. Ili Brusz zmieszał się widocznie.

– Moje dowody? – wyjąkał. – Ja nie mam żadnych dowodów, oprócz adresu na listach i kwitu za opłatę dzierżawy domu, w którym mieszkam w mieście Szalka. Czy to wystarcza?

– To nie są żadne dowody – odrzekł żandarm wzgardliwie. – Metryka chrztu, pasport książeczka robotnicza, to są dowody! Czy pan masz coś w tym rodzaju?

– Nic zupełnie – zawołał Ili z rozpaczą.

– Bardzo to dla pana nieprzyjemne – mruknął żandarm, markotny, że będzie musiał postąpić surowo.

– Dla mnie?! – zawołał rybak. – Ależ ja jestem uczciwy człowiek. Proszę, chciej pan temu wierzyć!

– Nie wątpię o tym – upewnił go żandarm grzecznie.

– I nie obawiam się nikogo. Jestem zresztą znany, jako zwycięzca na ostatnim konkursie «Związku rybaków» w Sigmaringen. Wszystkie dzienniki o tem pisały i nawet tutaj znajdzie niezawodnie poręczycieli!

– Poszukamy ich, możesz pan być pewny – uspokajał go żandarm. Ale mimo to, zmuszony jestem prosić pana, byś poszedł ze mną do komisarza, który sprawdzi tożsamość osoby.

– Do komisarza? – wykrzyknął Ili. – A o cóż mnie obwiniać?

– O nic – objaśnił żandarm. – Ale mamy rozkaz czuwać bacznie nad rzeką i dostawiać do policji każdego, kto nie ma w porządku papierów. Czy pan masz w porządku swoje dowody? Nie! A więc muszę dostawić pana do policji, a reszta już do mnie nie należy.

– Ależ to niegodziwość! – oburzył się zrozpaczony Ili.

– Niema jednak na to rady – zapewniał go żandarm spokojnie.

Kandydat na towarzysza podróży przysłuchiwał się rozmowie tak pilnie, że aż mu fajka zagasła. Uznał wreszcie, że nadeszła chwila odpowiednia do wystąpienia.

– A gdybym ja poręczył za panem Ilią Bruszem? Czyby to wystarczyło?

– To zależy – odrzekł żandarm. Przedewszystkiem, kto pan jesteś?

– Proszę, oto mój pasport – odpowiedział amator rybołówstwa, podając żandarmowi dokument.

Żandarm przejrzał go starannie i odpowiedział już innym tonem:

– To co innego!

Złożył starannie pasport, oddał właścicielowi, skłonił mu się z uszanowaniem i wyskoczył z łodzi.

– Do widzenia, panowie! – zawołał, salutując towarzysza Ili.

Zdumiony tak nieprzewidzianym obrotem rzeczy, Ili patrzył na odwrót nieprzyjaciela, a jego niespodziewany obrońca powrócił do rozpoczętej rozmowy i rzekł:

– Drugi powód, panie Brusz, to, że Dunaj, dla przyczyn może panu niewiadomych, jest ściśle strzeżony, jak tego mieliśmy dowód przed chwilą, a ten nadzór stawać się będzie coraz ściślejszy, w miarę posuwania się w dół rzeki, a jeszcze ściślejszy, gdy wpłyniesz pan w granice Serbji i prowincji bułgarskich państwa ottomańskiego, gdzie panują rozruchy, a

właściwie nawet wojna, od dnia pierwszego lipca. Przypuszczam, że różne przypadki mogą się zdarzyć w ciągu tej podróży i że byłoby nieźle mieć w danym razie pomoc uczciwego obywatela, który ma pasport w porządku i trochę stosunków...

Zręczny mówca przewidywał, że ten argument, po zdarzeniu z pasportem, przekona Ilię, który szukał już tylko przyzwoitego pozoru do ustąpienia.

– Trzeci i ostatni powód – mówił nieznajomy – to, że zwracam się do pana, z upoważnienia pana Miklesko, prezesa waszego związku. Ponieważ oddałeś pan swą wyprawę pod opiekę «Związku rybaków na Dunaju», ma on prawo czuwać, w jaki sposób odbędzie się ta podróż, ażeby w danym razie mógł poświadczyć uczciwe wypełnienie przyjętych warunków. Pan Miklesko, dowiedziawszy się, że chcę narzucić się panu na towarzysza podróży, dał mi urzędowe polecenie w imieniu «Związku». Żałuję że nie przewidziałem pańskiego oporu i nie wziąłem od niego listów polecających, które mi ofiarowywał...

Ilia westchnął z uczuciem ulgi. Czy mógł znaleźć lepszy pozór do zgodzenia się na to, czemu się opierał z taką zawziętością?

– Trzeba było powiedzieć to odrazu! – zawołał. – To zupełnie zmienia sprawę, nie mam już teraz żadnego powodu do odrzucenia pańskiej propozycji.

– Więc pan się zgadzasz?

– Zgadzam się bez zastrzeżeń.

– Doskonale! – zawołał nieznajomy, wyjmując z pugilaesu kilka banknotów. – Oto tysiąc guldenów.

– Czy mam pokwitować z odbioru? – zapytał Ilija.

– Jeżeli to panu nie sprawia trudności...

Ilija wyjął z kufra pióro i notatnik, z którego wydarł kartkę i przy gasnącem świetle dziennem napisał formalne pokwitowanie, czytając je głośno, w miarę pisania.

«Otrzymałem jako zapłatę za ryby złowione przez cały czas obecnej mojej podróży po Dunaju, oraz jako cenę przejazdu od miasta Ulm do morza Czarnego, sumę tysiąca guldenów od pana...

Przerwał pisanie i zwrócił się pytająco do nieznajomego:

Towarzysz podróży zapalał właśnie fajkę. «Jegera, Lipska ulica 45 w Wiedniu – podpowiedział w przerwie między dwoma kłębami dymu.

ROZDZIAŁ IV

Sergjusz Ladko.

Południowo wschodnie kraje Europy i część Azji, leżąca między morzem Czarnem a Indostanem, były od wieków areną krwawych wojen. Skutkiem położenia geograficznego, więcej od innych narażone były na najścia ludów, które tamtędy ciągnęły na podbój państw zachodnich.

Fenicjanie, Grecy, Rzymianie, Persowie, Hunnowie, Gotowie, Scytowie, Węgrzy, Turcy, wydzielali sobie te nieszczęśliwe krainy, nie mówiąc już o dzikich hordach barbarzyńców, zalewających w pewnych odstępach czasu Europę środkową i docierających daleko na Zachód.

Krwawą była przeszłość tych krajów, ale i przyszłość nie zapowiada się dla nich pogodna, jeśli wierzyć proroctwu uczonych, którzy przepowiadają najazd żółtej rasy, z nieodłącznymi rzeziąmi, jakie już zdarzały się w starożytności i w wiekach średnich. A jeśli ten dzień straszliwy nadejdzie, wtenczas południowa Rosja, Rumunja, Serbja, Bułgarja, Węgry i Turcja będą stanowiły szaniec obronny Europy, i o nie uderzy pierwsza fala najeźdźców.

Ale i dziś w tych krajach, nie panuje bynajmniej spokój. Zamieszki, rabunki, rzezie masowe powtarzają się bezustannie na półwyspie Bałkańskim. Pozostając przez kilkadziesiąt lat pod jarzmem tureckim, kraje te nie przyjęły obyczaju ani religii muzułmańskiej i zaznaczały swoją odrębność nieustannymi buntami przeciw Turcji, które 1875 r. wywołały wojnę, zakończoną zupełną niepodległością Serbji i Rumunji, będących do owej chwili lennikami Turcji, oraz utworzeniem księstwa Bułgarskiego, pod rządami chrześcijańskiego władcy.

W tym to właśnie 1875 r., który dał początek wojnie o niepodległość, los chrześcijan w państwie tureckim stał się nie do zniesienia. Obciążeni podatkami, prześladowani, zabijani i torturowani bez sądu, nie znajdując nigdzie sprawiedliwości, porwali się do broni i zadali szereg klęsk wojskom tureckim, które wyruszyły przeciwko powstańcom. Powstanie rozszerzyło się jak pożar, ogarnęło znaczną przestrzeń: Czarnogórze, Bośnię i Serbję, a następnie, po klęsce zadanej Turkom w wąwozie Duga, w styczniu 1876 r. rozpoczęło się wrzenie w Bułgarji. Jak zwykle bywa, zaczęło się to od tajnych sprzysiężeń, od zebrań odbywanych w sekrecie, w których brała udział młodzież pełna zapału. Wkrótce, pod wodzą wyróżniających się spiskowców, potworzyły się oddzielne grupy sprzysiężonych, w każdym mieście i w całym kraju.

W Ruszczuku, mieście położonem nad Dunajem, na wprost rumuńskiego miasta Giurgiewa, zbudowanego na przeciwległym brzegu, władza naczelną nad sprzysiężonymi dostała się w ręce Sergjusza Ladko, znanego wszystkim pilota na Dunaju. Wybór był bardzo trafny.

Sergjusz Ladko, człowiek trzydziestoletni, jasnowłosy, wysokiego wzrostu i niezwyklej siły, biegły we wszystkich ćwiczeniach fizycznych, posiadał warunki odpowiednie dla dowódcy, a co jeszcze ważniejsze, posiadał i zalety moralne, niezbędne dla tego, kto ma sprawować władzę: energję, szybkość postanowienia, pewność w postępowaniu i głęboką miłość ojczyzny.

Sergiusz Ladko urodzony w Ruszczuku, zajmował się przeprowadzaniem statków po Dunaju, przewodnicząc im w drodze do Wiednia, i wyżej w górę rzeki, albo też w dół, do samego morza Czarnego. Prowadził barki, statki, berlinki, które umiały oceniać jego doskonałą znajomość niebezpiecznych miejsc wielkiej rzeki. W przerwach między tem zajęciem zajmował się łowieniem ryb, a obdarzony wyjątkową zręcznością, potrafił i w tem dojść do doskonałości. Połów ryb i zarobki pilota przynosiły mu bardzo znaczne dochody.

Ponieważ cztery piąte swego życia spędzał na rzece, czuł się na wodzie, jak w swoim żywiole. Fraszka było dla niego przepłynąć Dunaj szeroki pod Ruszczukiem jak morska zatoka, a niktby nie zliczył ilu tonących wyratował ten znakomity pływak.

Uczciwe życie i położone zasługi zjednały Sergiuszowi Ladce wielką popularność, na długo jeszcze przed rozpoczęciem rozruchów w Ruszczuku, możnaby nawet twierdzić, że całe miasto żywiło dla niego przyjazne uczucia; całe miasto – oprócz jednego człowieka – Iwana Strigi.

Był to mieszkaniec Ruszczuka, tak samo jak Sergiusz Ladko, ale stanowił z nim rażące przeciwieństwo.

Ci dwaj ludzie, nawet pod względem fizycznym różnili się zupełnie, lubo Striga był także dobrego wzrostu, barczysty, silny, miał jasne włosy i niebieskie oczy, ale na tem kończyło się podobieństwo. Twarz Sergiusza, o rysach szlacheckich, miała wyraz szczerzy i serdeczny, a oblicze Strigi zdradzało chytryść i zimne okrucieństwo.

Pod względem moralnym różnica zaznaczała się jeszcze dobitniej: Ladko wiódł życie jawne, pracował pod okiem wszystkich, a o Stridze nikt nie wiedział skąd czerpie złoto, które wyrzucał bez rachunku. Różne wieści krążyły o nim. Mówiono, że zdradzając swój kraj i ziomeków, jest szpiegiem na tureckim żołdzie; mówiono, że oprócz szpiegowskiego rzemiosła, uprawia przemyślnictwo i że z jego pomocą mnóstwo towarów przechodzi z rumuńskiego brzegu na brzeg bułgarski, nie opłacając cła. Dodawano nawet szeptem, że to wszystko są tylko dodatki i że Striga główne swe dochody ma z rabunków i rozbójniczych napaści... Mówiono i wiele innych jeszcze rzeczy, lecz prawdą było to tylko, że nikt nie wiedział nic pewnego o życiu i zajęciach tego zagadkowego człowieka, który jednak nie dał się nigdy pochwycić na gorącym uczynku jakiegokolwiek przestępstwa.

Ale wszystkie te domysły ludzie udzielali sobie szeptem, na ucho. Nikt nie odważyłby się wyrzec głośno jednego słowa przeciw człowiekowi, którego bezczelność i gwałtowność budziły ogólną obawę. Striga mógł więc udawać że nie wie, o co go posądzają i że wierzy w życliwość, którą mu okazywano przez niczemne tchórzostwo, gdy chodził po mieście z butną miną, otoczony ludźmi najgorszej sławy.

Zdawałoby się, że między takim człowiekiem a Sergiuszem Ladko, wiodącym życie zupełnie odmienne, nie mogło być żadnych stosunków, i rzeczywiście, długi czas znali się tylko z opinji; ale los zdarzył, że ci dwaj ludzie zetknęli się z sobą i zmienili w śmiertelnych wrogów.

Słynna z piękności Nacza Gregorewicz, dwudziestoletnia dziewczyna, mieszkała z matką w sąsiedztwie Ladki, którego znała od czasów swego dzieciństwa. Na piętnaście lat przed chwilą, w której rozpoczyna się nasza opowieść, ojciec jej padł zamordowany przez Turków, a wspomnienie tego morderstwa żyło jeszcze w pamięci miasta, zgnębnego, lecz nie ujarzmionego przez Turków. Wdowa po zamordowanym, pozostawszy bez zasobów, wzięła się mężnie do pracy. Biegła w haftach, któremi każda wieśniaczka w tym kraju zdobi swoje ubranie, zarabiała jako hafciarka na utrzymanie swoje i dziecka.

Ale że ubodzy najsrożej odczuwają czasy niepokoju i zamieszek, więc i biednej hafciarcie dawały się one we znaki, choć Sergiusz Ladko często przychodził jej z pomocą. Stopniowo pomiędzy młodzieńcem a dwiema kobietami zawiązał się stosunek przyjaznej zażyłości. Pilot

spędzał w ich domu chwile wolne od zajęć. Przychodził często wieczorami, a nieraz zabierał je łodzią na przejażdżkę, lub na połów ryb na Dunaju.

Kiedy pani Gregorewicz, zmęczona życiem, położyła się na wieczny spoczynek, Ladko opiekował się sierotą i dzięki tej opiece położenie Naczy nie zmieniło się, mimo śmierci matki. I tak stopniowo, bezwiednie prawie, rozwinęła się miłość w sercu obojga. Dopiero skutkiem wystąpienia Striga poznali swoje uczucia.

Striga, ujrawszy najpiękniejszą dziewczynę w Ruszczuku, zakochał się w niej odrazu, gwałtownie, jak zwykle ludzie nieposkromionego charakteru. Przyzwyczajony do tego, że wszystko ustępuje przed jego zachciankami, przyszedł do Naczy i bez żadnych wstępów oświadczył się o jej rękę. I po raz pierwszy w życiu napotkał niezwykły opór. Nacza, nie bacząc, że obudzi nienawiść tak niebezpiecznego człowieka, odpowiedziała stanowczo, że nic w świecie nie skłoni ją do tego małżeństwa. Napróżno Striga ponawiał swoją prośbę. Za trzecim razem Nacza zabroniła mu dalszych odwiedzin.

Striga wpadł w gniew niepoohamowany. Dając folgę swemu dzikiemu charakterowi, zaczął miotać przekleństwa, które przeraziły Naczę. W tym strapieniu zwróciła się o pomoc do Ladki, a ten, dowiedziawszy się co zaszło, wpadł we wściekłość równą gniewowi Strigi i z niesłychanym uniesieniem zaczął złorzeczyć zuchwalcowi, który śmiał podnieść oczy na Naczę.

Uspokoił się wszakże, a z wyjaśnień jakie nastąpiły, wynikało to, że w godzinę potem Sergiusz i Nacza zaręczyli się ze sobą.

Striga, dowiedziawszy się o tem, o mało życiem tego nie przypłacił. Wpadł zuchwale do domu Naczy z obelgami i pogroźkami. Wyrzucony za drzwi żelazną ręką Sergjusza, zrozumiał dopiero, że Nacza ma już teraz potężnego opiekuna, który potrafi ją obronić.

On – Striga usłyszał odmowę! Zwycięzony został przez współzawodnika! On – który się tak przechwalał swą siłą! Takiego upokorzenia nie był w stanie przebaczyć i postanowił się zemścić.

Zebrawszy kilku awanturników, zrobił pewnego wieczoru zasadzkę na Sergjusza, który popłynął był w górę rzeki. Nie szło już tu o prostą bójkę, lecz o ułożone z góry morderstwo. Napastnicy mieli noże...

Ale napaść nie udała się. Sergjusz Ladko, posługując się wiosłem jak maczugą, zmusił napastników do ucieczki, i nawet Striga, naciśnięty zblizka, umknął sromotnie. Nauczka poskutkowała i łotr nie próbował już nowych zasadzek.

W początkach roku 1875 Sergjusz Ladko poślubił Naczę a w rok potem, w pierwszych miesiącach 1876 r. zaczęły się niepokoje w Bułgarii. Ladko, mimo gorącej miłości dla żony, nie zapomniał o obowiązkach względem swego kraju. Bez wahania przyłączył się do tych, którzy utworzyli sprzysiężenie i zbierali się na narady, szukając sposobów ratunku dla nieszczęsnej ojczyzny.

Przedewszystkiem trzeba było postarać się o broń. Dużo młodzieży wyemigrowało w tym celu: przeszedłszy granicę, roproszyli się po Rumunii i po pogranicznych prowincjach rosyjskich Ladko do nich należał. Z rozdartym sercem, lecz niezłomny w postanowieniu, wyjechał, pozostawiając ukochaną żonę na pastwę niebezpieczeństwa, grożącego w wojennych czasach żonie przywódcy powstańców.

Myśl o Stridze nie opuszczała go i przejmowała niepokojem. Czy ten bandyta nie zechce skorzystać z nieobecności nieprzyjaciela, by go ugodzić w to, co ma najdroższego? Wszystko było możliwe. Ale Sergjusz Ladko pocieszał się, że Striga znikł od kilku miesięcy i słuch nawet o nim zaginął.

Według krążących pogłosek, przeniósł on dalej na północ pole swojej działalności. Nie brakło gadania na ten temat, ale wieści były bezładne i sprzeczne. Głos publiczny oskarżał Strigę o rozmaite zbrodnie, lecz nikt nie wymieniał żadnych szczegółów.

To jedno nie podlegało wątpliwości, że Striga wyjechał, a to głównie obchodziło Ladkę.

Wyjazd Strigi dodał mu otuchy. W jego nieobecności żadne niebezpieczeństwo nie będzie groziło Naczy.

Ladko krótko zabawił w domu, zmuszony wnet wyjeżdżać, a ta powtórna wyprawa, dłużej miała trwać niż pierwsza. Nie udawało się dotąd sprowadzenie dostatecznej ilości broni. Transporty pochodzące z Rosji szły drogą lądową przez Węgry i Rumunię, mało w owym czasie posiadających kolei. Spiskowcy bułgarscy uznali, że łatwiej pójdzie sprowadzanie broni, jeżeli jeden z nich pojedzie do Budapesztu, zgromadzi tam przybyłe transporty i złożywszy wszystką broń na galarach, spławi ją szybko Dunajem do Bułgarii.

Ladko, przeznaczony do tej czynności, wyruszył tego samego wieczoru. W towarzystwie jednego tylko rodaka, który miał odprowadzić łódź napowrót do bułgarskiego brzegu, chciał przepłynąć się na drugą stronę Dunaju, ażeby przez Rumunię dostać się jak najprędzej do węgierskiej stolicy. Wtedy zdarzył mu się wypadek, który go mocno zastanowił.

Ladko i jego towarzysz odплыnęli od brzegu zaledwie o jakieś pięćdziesiąt metrów gdy rozległ się strzał. Kula przeznaczona była dla nich bez żadnej wątpliwości, bo gwizdnęła im koło uszu, a pilotowi wydało się, że pomimo zmierzchu, w strzelającym poznał Strigę. Czyżby więc Striga powrócił do Ruszczuku?

Śmiertelny niepokój, jaki w nim obudziło to przypuszczenie, nie wpłynął jednak na opóźnienie jego podróży. Zdecydowany był poświęcić życie dla dobra ojczyzny; nie cofnie się i przed większą ofiarą: poświęceniem swego szczęścia...

Zobaczywszy wycelowaną strzelbę, osunął się na dno łodzi, ale było to tylko zręcznym wybiegiem dla zmylenia przeciwnika. Bo gdy «jeszcze echa powtarzały odgłos strzału, już Ladko wiosłował z pośpiechem» ku rumuńskiemu miastu Giurgieniu, w którym wśród gęstniejącego zmroku zaczynały się zapalać niezliczone światełka.

Ladko, przybywszy do celu podróży, zabrał się żywo do roboty.

Nawiązał stosunki z rosyjskimi emisariuszami, przebywającymi w tajemnicy w Budapeszcie i w Wiedniu; i wprędce po jego przyjeździe, galary naładowane za jego staraniem bronią i amunicją, popłynęły z biegiem wody, w dół rzeki.

Listy od Naczy przychodziły często, adresowane pod przybranym nazwiskiem, jakie jej wskazał. Spokojne zrazu, stopniowo nabierały niepokojącego tonu. Nacza nie wspominała o Stridze. Zdawało się, że nie wie nawet o jego powrocie do Bułgarii, i Ladko zaczynał już przypuszczać, że się pomylił, ale o tem nie mógł wątpić, że ktoś oskarżył jego samego, Ladkę, przed władzami tureckimi, gdyż policja wtargnęła do jego domu i zrobiła szczegółową rewizję, która jednak nic nie wykryła.

Nie miał się po co śpieszyć z powrotem do domu, bo powrót równałby się samobójstwu. Wykryła się już jego rola w spisku, był śledzony przez policję, nie mógł się pokazać w mieście, gdyż zostałby natychmiast uwięziony. A u Turków uwięzienie w tak burzliwych czasach było równoznaczne ze śmiercią. Musiał więc dopóki powstanie nie rozpocznie się jawnie, unikać powrotu, by nie ściągnąć nieszczęścia na siebie i na żonę, dotąd przez Turków pozostawioną w spokoju.

Chwila wybuchu powstania nadeszła niebawem. Bułgaria powstała W maju – zbyt wczesnie zdaniem Ladki, który przewidywał najgorsze następstwa z tego pośpiechu.

Ale bez względu na to co myślał, musiał śpieszyć na pomoc ojczyźnie. Dojechał koleją do Zomboru, ostatniego miasta węgierskiego, do którego wówczas dochodziła linia kolejowa. Stamtąd zamierzał popłynąć już Dunajem.

Lecz to, czego się tam dowiedział, skłoniło go do przerwania podróży. Jego obawy okazały się aż nazbyt słuszne. Powstanie bułgarskie stłumiono w samym zarodku. Turcja już

gromadziła wojska w trójkącie między Ruszczukiem, Widdyniem a Sofią, i żelazna jej ręka dawała się srodze we znaki nieszczęsnej krainie.

Ladko musiał się cofnąć i czekać lepszych czasów w małej mieścinie Szalka, w której zamieszkał tymczasowo.

Listy jakie otrzymywał od Naczy, utwierdziły go w przekonaniu, że nie mógł inaczej postąpić. Dom jego w Ruszczuku był ściśle strzeżony, a sama Nacza napół uwięziona. Ze względu na własny i żony interes musiał wystrzegać się wszelkiej nieostrożności.

Miotał się niecierpliwie, zmuszony do bezczynności, gdyż przesyłkę broni trzeba było przerwać po zduszeniu powstania i nagromadzeniu wojsk tureckich na brzegach Dunaju. Oczekiwanie to, samo z siebie przykre, stało mu się nieznośnym od czasu gdy przestał otrzymywać listy od Naczy, to jest od końca czerwca.

Niepokój jego wzrastał z każdą chwilą. Rzeczywiście mógł obawiać się czegoś najgorszego. Pierwszego lipca Serbia urzędowo wypowiedziała wojnę sułtanowi, i od tej chwili na brzegach Dunaju zaroilo się od wojsk, które dopuszczały się najokropniejszych okrucieństw. Może Nacza padła ofiarą tych zaburzeń, a może została uwięziona przez władze tureckie jako zakładnica, lub jako domniemana współniczka męża?

Minął miesiąc bez żadnej zmiany; Ladko nie mógł już dłużej wytrzymać i postanowił nie zważając na nic, powrócić do Bułgarii dla zobaczenia co się dzieje z Naczą.

Lecz właśnie przez wzgląd na żonę należało postępować ostrożnie. Gdyby Ladko dał się pochwyć nierozsądnie pierwszemu wartownikowi tureckiemu, nie sprawiłby tem nikomu nic dobrego. Jego powrót mógł przynieść korzyść o tyle tylko, o ile on zdoła wejść do miasta i ukryć się w Ruszczuku bezpiecznie, pomimo podejrzeń i śledzenia, skierowanych ku jego osobie. W ten sposób może czegoś dokonać, stosownie do okoliczności, a w najgorszym razie, gdyby mu przyszło uciekać znowu za granicę, będzie miał przynajmniej tę radość, że zobaczy żonę i sprawdzi jakie jest jej położenie.

Ladko rozmyślał przez kilka dni w jaki sposób rozwiązać tę trudność. Wpadłszy na dobry pomysł jak mu się zdawało – nie zwierając się nikomu, zabrał się do wykonania ułożonego planu.

Czy się ten plan uda? Przyszłość dopiero pokaże. Ale musiał spróbować i dlatego dwudziestego ósmego lipca 1876 r. sąsiedzi pilota w Szalce zobaczyli, że domek, w którym mieszkał przez parę ostatnich miesięcy, stoi pustką, a drzwi i okna ma szczelnie pozamykane.

Jaki zaś związek mają plany i zamiary Ladki z konkursem rybackim w Sigmaringen, okaże się w dalszym ciągu tego opowiadania.

ROZDZIAŁ V

Karol Dragosz.

Schowawszy do kieszeni pokwitowanie, pan Jeger zabrał się do urzędzenia swego mieszkania na łodzi. Zapytał, które łóżko otrzyma do użytku i wszedł do kajuty ze swoją walizką. W dziesięć minut wyszedł z kabiny, przebrany od stóp do głowy. Przywdział strój rybaka – grubą bluzę, wysokie buty z tęgiej skóry i czapkę z futra foki – istny sobowtór Ilii Brusza.

Pan Jeger zadziwił się nieco, że jego gospodarz przez ten krótki czas już opuścił łódź. Ale szanując przyjęte zobowiązanie, nie pytał go o nic, gdy w jakieś pół godziny później powrócił z wycieczki. Lecz Ilija Brusz, choć niepytany, powiedział mu, że chodził do miasta wyprawić listy do dzienników, z zawiadomieniem, że przybędzie do Neustadt pojutrze wieczorem, a do Ratzbony nazajutrz. Teraz, gdy szło o interes pana Jegera, Ilija musiał zabiegać o to, by za przybyciem do miasta nie zastać pustki takiej jak w Ulmie. Żałował nawet, że nie może zatrzymywać się w znaczniejszych miastach, leżących na drodze do Neustadtu, to jest w Neuburgu i Ingolstadzie. Ale takie przystanki nie zgadzały się, na nieszczęście, z jego planem i musiał się ich wyrzec.

Jeger rad był reklamie zrobionej dla jego korzyści i nie żałując Neustadtu i Ingolstadtu, pochwalił plan swego gospodarza, zapewniając uroczyście, że nie chce krępować jego wolności.

Potem obaj towarzysze spożyli wieczerzę, siedząc naprzeciw siebie na ławce, jak na koniu. Jeger wzbogacił wieczerzę wspaniałą szynką moguncką którą wydobył z głębi swojej walizy, a Ilija zaczynał godzić się z towarzyszem, w miarę, jak odkrywał w nim dobre strony.

Noc przeszła spokojnie. Przed wschodem słońca Ilija podniósł kotwicę i wypłynął, nie budząc towarzysza.

Pod Ulmem Dunaj jest jeszcze niewielki i niktby nie przypuścił, że dalej, wzbogacony obfitami dopływami, zamienia się w jedną z największych rzek w Europie.

Prąd Dunaju w tem miejscu już o wiele spokojniejszy, płynie z szybkością mili na godzinę. Na jego wodach unosiły się łodzie i barki rozmaitych rozmiarów, oprócz ciężko obciążonych statków, pomagających sobie rozpiętymi żaglami. Pogoda zapowiadała się trwała.

Ilija, wypłynąwszy na środek prądu, wziął się do wiosła dla większego pośpiechu i tak samo z wiosłem w ręku zastał go Jeger, gdy w kilka godzin później obudził się i wyszedł z kabiny. Wiosłował aż do samego wieczora, z wyjątkiem krótkiej przerwy podczas śniadania, kiedy łódź płynęła, niesiona tylko siłą prądu. Pasażer nie pytał o nic, a jeżeli dziwił go taki pośpiech, nie zdradzał bynajmniej swego zadziwienia.

Przez cały dzień oba mało mówili. Ilija wiosłował energicznie, a Jeger przyglądał się jego robocie tak uważnie, że mogłoby to dziwić wioslarza, gdyby jego uwagi nie pochłaniały statki płynące po Dunaju i widok wybrzeży. Brzegi zniżaly się stopniowo. Rzeka rozlewała coraz szerzej swe wody. Lewy brzeg, płaski, nie odznaczał się wyraźnie, gdy po brzegu prawym, podwyższonym jeszcze sztucznym nasypem pod kolej, przebiegały pociągi, sapały parowozy, których dymy mieszały się z dymem parowców, bijących z wielkim hałasem śrubami o wodę.

Za Offingen, które podróżni minęli popołudniu, kolej skręca ku południowi, oddalając się od rzeki, a prawy brzeg zamienia się w rozległe bagna. Granicy ich nie można było dojrzeć, gdy wieczorem łódź zatrzymała się w Dillingen na nocleg.

Nazajutrz, po równie pracowitej przeprawie, łódź zarzuciła kotwicę na pustym miejscu, o kilka kilometrów od Neuburga, a gdy zaświtał ranek piętnastego sierpnia, już płynęła z wolna środkiem rzeki.

Na wieczór tegoż dnia Ilia zapowiedział swoje przybycie do Neustadtu. Wstydziłby się stanąć tam z próżnymi rękami. Przy sprzyjających warunkach atmosferycznych i niewielkiej przestrzeni, jaka pozostawała do przebycia, postanowił zabrać się do połowu.

Wczesnym rankiem zrobił bardzo staranny przegląd swych rybackich przyrządów. Towarzysz jego, siedząc na tyle łodzi, przyglądał się z zajęciem, jak przystoi prawdziwemu amatorowi. Ilija podczas roboty chętnie rozmawiał.

– Dziś, jak pan widzi, zabieram się łowić ryby, a przygotowania do tej pracy zabierają dużo czasu. Bo ryba jest z natury nieufna i trzeba być bardzo przezornym, chcąc ją przynęcić. Niektóre ryby są niesłychanie zmyślne i ostrożne, například liny.

– Lin nieosobliwa ryba, moim zdaniem – zrobił uwagę Jeger.

– Zapewne, bo lubi przebywać w błocie, a to jej czasem nadaje smak niedobry.

– A szczupak?

– Szczupak jest doskonały – odrzekł Ilija – ale tylko wtedy, gdy waży pięć lub sześć funtów. W małych są same ości. Lecz szczupak nie należy do ryb zmyślnych.

– Doprawdy? A więc te rekiny rzeczne, jak je zowią...

– Są równie głupie jak rekiny morskie – dokończył Ilija. – Toż samo okonie i węgorze. Łowienie ich może przynieść korzyść, ale nie stanowi chluby dla rybaka. To są ryby, które rybak nie łowi, łowią się same.

Jeger słuchał i podziwiał głęboką znajomość rybołówstwa Ilii i niesłychaną staranność, z jaką przygotowywał się do połowu.

Wyjął wędkę giętką i lekką, która, choć zwinięta w kabłąk, wyprostowała się od razu. Składała się ona z dwóch części: pierwsza miała cztery centymetry obwodu u podstawy, a na cieńszym końcu zaledwie jeden centymetr. W niej osadzona była druga połowa, wyrobiona z leszczynowego pręta mocnego i giętkiego, mającego blisko cztery metry długości. Rybak, nie oddalając się od brzegu, mógł sięgać do ryb, przebywających w głębinie, jak leszcze i okonie.

Ilija pokazał Jegerowi umocowany haczyk do wędki i dodał objaśnienie:

– Widzi pan, jaki to cienki haczyk? Numer jedenasty. Na przynętę dla okonia najlepsze jest ugotowane ziarno zboża, zupełnie miękkie... No, teraz już skończyłem przygotowania i możemy próbować szczęścia...

Jeger usiadł obok budki, a Ilija na ławce, postawiwszy sobie pod ręką wiaderko na ryby. Wędka zakołysała się nierówno i haczyki zanurzyły się w żółtawą wodę Dunaju, a dzięki umocowanemu ciężarkowi, stanęły pionowo, co, według zdania doświadczonych rybaków, najlepiej sprzyja połowowi; na wodzie unosił się tylko pływak.

Rozumie się, że od tej chwili zapanowała na łodzi zupełna cisza. Głosy ludzkie płoszą rybę, a dobry rybak ma co innego do roboty, niż prowadzić czczą gawędę. Musi uważać bacznie na każdy ruch pływaka, żeby nie minąć sposobnej chwili do pochwylenia zdobyczy.

Owego rana Ilija miał prawo do zadowolenia. Ułowił dwadzieścia okoni, dwanaście szczupaków i kilka linów. Jeżeli Jeger był rzeczywiście takim zwolennikiem rybołówstwa, za jakiego się podawał, mógł się nacieszyć zręcznością, z jaką jego towarzysz chwycił na wędkę ryby i wyciągał je na powierzchnię wody. Gdy poczuł, że «ryba się wzięła» nie wydobywał zaraz swej zdobyczy, lecz pozwalał jej miotać się w głębinie aż do zupełnego zmęczenia, okazując przytem zimną krew i cierpliwość, zalety niezbędne dla rybaka, godnego tej nazwy.

Blizko o jedenastej skończył się połów. Bo ryby nie biorą się już na wędkę, kiedy słońce, stojąc wysoko, rzuca blask na wodę, która migocze oslepiająco.

Zdobycz przedstawiała się okazale, Ilia obawiał się nawet, czy nie zanadto okazale, ze względu na to, że miasteczko Neustadt, do którego dopłynęli około piątej, jest niewielkie.

Ale mylił się. Około trzydziestu widzów czekało już na wybrzeżu, witając go oklaskami, gdy zarzucał kotwicę. Ilia nie wiedział kogo słuchać, komu odpowiadać, i w mgnieniu oka sprzedał wszystkie ryby za dwadzieścia siedm guldenów, które oddał Jegerowi, jako pierwszą ratę.

Pan Jeger, uważając że nie ma prawa uczestniczyć w tryumfach rybaka, schował się skromnie do budki, gdzie go Ilia zastał, uwolniwszy się wreszcie od swych zapalczywych wielbicieli. Nie tracąc czasu, pokładli się spać, bo nocny spoczynek miał trwać krótko. Ilia, pragnąc jak najprędzej dostać się do Ratysbony, odległej o siedmdziesiąt kilometrów, postanowił wypłynąć o pierwszej po północy, ażeby w ciągu dnia znaleźć czas na łowienie ryb.

Do południa złowił trzydzieści funtów ryb, a ciekawi widzowie, tłoczący się na wybrzeżu, nie trudzili się napróżno. – Zapał publiczności Wzrastał. Licytowano zawzięcie ryby, których sprzedaż przyniosła laureatowi konkursu czterdzieści jeden guldenów.

Ilia nie marzył nawet o takim powodzeniu i zaczynał już wierzyć, że Jeger zrobił doskonały interes. Chciał mu też zaraz oddać pieniądze ze sprzedaży, lecz okazało się, że Jeger wysiadł cichaczem z łodzi, zostawiwszy kartkę, w której oznajmiał towarzyszowi, że powróci dopiero późnym wieczorem.

Ilia uważał to za zupełnie naturalne, że Jeger chciał skorzystać ze sposobności i zwiedzić miasto, w którym przez pięćdziesiąt lat odbywały się sejmy Rzeszy Niemieckiej. Może nie byłby tak spokojny, gdyby wiedział, w jaki sposób towarzysz jego spędzał czas w mieście i kim on był rzeczywiście.

«Pan Jeger, Lipska ulica Nr. 45 w Wiedniu», napisał Ilia Brusz za dyktandem nieznanego, który miałby trochę kłopotu, gdyby rybak okazał więcej ciekawości i zaczął na swoją rękę poszukiwanie i sprawdzanie. Lecz Ilia zaniechał tego środka, nakazanego przez ostrożność, to też za to niedbalstwo miał później ciężko odpokutować.

Nie wiedział on, jakie nazwisko żandarm wyczytał na pasporcie nieznanego, ale jeżeli to nazwisko było rzeczywiste, nie przybrane, musiało ono brzmieć: Karol Dragosz.

Bo zapalony amator rybołówstwa i słynny agent, mianowany wodzem naczelnym policji na Dunaju, stanowili jedną osobę. Chcąc koniecznie płynąć łodzią Ilii, Dragosz – w przewidywaniu oporu z jego strony – obmyślił cały plan ataku. Zjawienie się żandarma urządzone było jak teatralny efekt i okazało się, że Dragosz obliczył trafnie wszystko, gdyż Ilia uważał teraz za szczęście, że w tak niebezpiecznych czasach ma w swojej łodzi potężnego opiekuna.

Dragosza aż zaniepokoiło tak wielkie powodzenie. Bo dlaczego Ilia zmieszał się na widok żandarma? Dlaczego z obawy powtórzenia się tego zjawiska poświęcił nawet ulubioną swoją samotność? Uczciwy człowiek – co znowu! – nie lęka się tak bardzo stanąć w obliczu komisarza policji... W najgorszym razie może z tego wyniknąć kilka godzin opóźnienia w podróży, a jeżeli kto nie ma oznaczonego terminu... Prawda że Ilii śpieszyło się bardzo, ale i to nawet nie rozjaśniało jeszcze zagadki...

Nieufny z usposobienia, jak każdy prawdziwy urzędnik policji, Dragosz rozmyślał, ale miał za dużo zdrowego rozsądku, żeby się dać zbić z tropu pewnymi szczegółami, które choć dziwaczne napozór, mogły jednak wyjaśnić się w sposób naturalny. Więc ograniczył się tylko do notowania w pamięci spostrzeżeń i szukał sposobów rozwiązania zadania, ważniejszego niż to, które początkowo sobie był postawił.

Pomysł tej podróży nie zrodził się od razu w jego głowie. Jego pierwszym źródłem stały się słowa Michała Michajłowicza, który żartem rzucił przypuszczenie, że laureat konkursowy może być albo ściganym złoczyńcą, albo ścigającym złoczyńcę agentem, Karolem Dragoszem. Dragosz wiedział dobrze, że Ilia nie jest jednym ani drugim, lecz jednocześnie błysnęła mu myśl, że agent policyjny, chcąc śledzić co się dzieje na wodach Dunaju, mógłby dokonać tego, przywdziawszy na siebie postać rybaka, wsławionego zwycięstwem na konkursie, w którym nikt nie mógłby posadzać przebranego agenta policji.

Lecz mimo zalet takiej kombinacji, trzeba się było jej wyrzec, bo zwycięzca ogłosił już publicznie swój zamiar podróży i nie zgodziłby się na podstawienie innej osoby, tem trudniejsze, że oblicze zwycięzcy znane już było ogółowi z licznych ilustracji.

Ale jeżeli ten projekt stał się już niemożliwością, pozostawały jeszcze inne sposoby. Nie mogąc udawać Ilii Brusza, Karol Dragosz mógł odbyć z nim razem podróż w jego łodzi. Któżby wtedy zwracał uwagę na towarzysza sławnego rybaka? A choćby kto i rzucił nań okiem, czyżby poznał w tym skromnie odzianym nieznanym głośnego agenta?

Dragosz, roztrząsnąwszy do głębi tę myśl, postanowił ją urzeczywistnić. Przygotował po mistrzowsku wszystko, gotów nawet uciec się do innych sposobów w razie dalszego oporu Ilii; gotów był nawet urządzić jego aresztowanie pod byle jakim pozorem, byle go nastraszyć i skłonić do uległości. Na szczęście obeszło się bez tego i Ilia ustąpił. Dragosz zasiadł na stałe w jego łodzi, pewny, że gdyby nawet chciał ją teraz opuścić, gospodarz oparłby się temu z większą jeszcze energią niż opierał się przedtem przyjęciu go na towarzysza. Pozostawało więc tylko jedno: wyciągnąć korzyści ze swego położenia.

Dragosz mógł się śmiało powierzyć naturalnemu biegowi rzeczy. Gdy Ilia będzie wiosłował lub łowił ryby, on – Dragosz, będzie pilnie śledził rzekę, na której nic podejrzanego nie ujdzie jego oka. Po drodze będzie się porozumiewał z podwładnymi, rozstawionymi wzdłuż rzeki. Na pierwszą wieść o napadzie lub morderstwie, porzuci Ilię i puści się tropem złoczyńców, a choćby nawet nie zdarzyła się żadna zbrodnia, uczyni to samo, jeżeli cośkolwiek obudzi jego podejrzenie.

Wszystko to zostało mądrze obmyślane i im więcej Dragosz się zastanawiał, tem więcej wieszował sobie pomysł, który, zapewniając mu incognito na całej długości Dunaju, dawał wielkie widoki powodzenia.

Ale nieszczęściem, obliczając wszystko, słynny agent nie wziął w rachubę... przypadku i nie przeczuwał, że zbieg osobliwych zdarzeń skieruje wkrótce jego podejrzenia i poszukiwania w nieprzewidzianym kierunku i rozszerzy ramy wyprawy do niesłychanych rozmiarów.

??

??

ROZDZIAŁ VI

Niebieskie oczy.

Dragosz, wysiadłszy z łodzi, skierował się do dzielnicy śródmieścia. Znał dobrze Ratyzbonę i bez wahania zapuścił się w ciche ulice, na których wznosiły się jasne średniowieczne, dziesięciopiętrowe baszty, ulice miasta niegdyś uczęszczanego, a teraz opustoszałego, którego ludność wynosi zaledwie dwadzieścia sześć tysięcy.

Dragosz nie myślał bynajmniej zwiedzać miasta, jak przypuszczał Ilia. Minął, nie zwracając uwagi, katedrę o niedokończonych wieżycach; nie spojrzął nawet na pałac książąt Thurn i Taxis, na gotycką jego kaplicę i osobliwy zbiór fajek, który się znajduje w starożytnym klasztorze przy kaplicy; nie rzucił okiem na ratusz, w którym odbywały się sejmy Rzeszy, i bez pomocy przewodnika poszedł na pocztę, gdzie czekały na niego listy, pod umówionymi cyframi. Gdy je czytał, twarz jego nie zdradziła najlżejszego wrażenia. Już wychodził z biura pocztowego, kiedy w samych drzwiach zaczepił go człowiek pospolitej powierzchowności.

Dragosz dał mu znak nakazujący milczenie i obaj wyszli na plac sąsiedni, pusty zupełnie o tej porze.

– Czemu nie czekałeś na mnie na wybrzeżu? – zapytał Dragosz, upewniwszy się, że niema w pobliżu niedyskretnych słuchaczy.

– Obawiałem się rozminąć – odrzekł przybysz. – A wiedziałem napewno, że na poczcie...

– Jesteś zresztą, a to najważniejsze – przerwał mu Dragosz. – Nic nowego?

– Nic.

– Żadnego wypadku napaści w tych stronach?

– Ani w tych stronach, ani nigdzie, wzdłuż całego Dunaju.

– Jak dawne masz wiadomości?

– Dwie godziny temu dostałem telegram z centralnego biura w Budapeszcie «Spokój na całej linii».

Dragosz namyślał się chwilę.

– Pójdiesz do biura policji w moim imieniu. Podasz swoje nazwisko, – Fryderyk Ulman – i poprosisz by cię zawiadomiono, w razie gdyby co zaszło. Potem pojedziesz do Wiednia.

– A nasi ludzie?

– Ja się nimi zajmę, zobaczę się z nimi w przejeździe. Z tobą spotkam się w Wiedniu, od dziś za tydzień.

– Więc pan zostawi rzekę w górze bez dozoru? – zapytał Ulman.

– Miejskowa policja wystarczy – odrzekł Dragosz. – Przybędziemy w razie najmniejszego niepokoju. Nigdy zresztą dotąd nie zdarzyło się nic powyżej Wiednia, który podlega naszej władzy. Nie tacy oni głupi, ci poczciwcy, żeby działać tak daleko od swoich podstaw.

– Od podstaw? – powtórzył Ulman. – Czy pan ma jakie szczegółowe wiadomości?

– Mam w każdym razie pewne poszlaki.

– A mianowicie?

– Zbytek ciekawości! – odrzekł Dragosz. – W każdym razie, przepowiadam ci, że nasza robota zacznie się między Wiedniem a Budapesztem.

– Dlaczego tam, a nie gdzieindziej?

– Bo tam spełnili ostatnią zbrodnię. Pamiętasz tego kolonistę, którego «przypiekali» i którego policja znalazła z opalonemi do kolan nogami?

– A zatem, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zaczną teraz w innej stronie – dowodził Ulman.

– Bo?

– Bo pomyślą, że tamta okolica jest pilniej strzeżona niż inne. Pójdą próbować szczęścia gdzieindziej. Dotąd zawsze tak robili, nigdy dwa razy w tem samym miejscu.

– Rozumowali jak głupcy, a ty ich teraz naśladujesz –zrobił spokojnie uwagę Dragosz.– A ja właśnie liczę na co innego. Dzienniki rozgłosiły, że opuściliśmy górny Dunaj, sądząc że złoczyńcy nie osmielą się już tam powrócić, i że ja wyjechałem do południowych Węgier. Wiesz dobrze, że w tem niema ani słowa prawdy, ale możesz być pewny, że te wiadomości, ogłaszane z pewnym celem, zwróciły uwagę interesowanych.

– Zatem, pan przypuszcza?...

– Że zbrodniarze nie pójda do południowych Węgier, rzucić się wilkom w paszczę.

– Dunaj jest długi – zrobił uwagę Ulman. – Płynie przez Serbję, Rumunję, państwo tureckie...

– A wojna? Tam nie mają oni pola. Zresztą przekonamy się wkrótce sami.

Dragosz umilkł i zamyślił się.

– Czy moje rozkazy wykonano ściśle?

– Jak najściślej.

– Nadzór nad rzeką trwa?

– Dniem i nocą.

– I nie zauważono nic podejrzanego?

– Nic a nic. Wszystkie łodzie, wszystkie berlinki, mają w porządku swoje dokumenty. Muszę przytem dodać, że ta kontrola wywołuje ogólne szemranie. Załogi statków protestują, i według mego zdania mają słuszność. Łodzie i berlinki nie mają nic wspólnego z tem, czego poszukujemy. Zbrodnie spełniane są nie na wodzie.

Dragosz zmarszczył brwi i rzekł oschle:

– Ale ja przywiązuję wielką wagę do rewizji wszystkich statków na Dunaju, nawet najmniejszych. Powiem ci jeszcze i to, że nie lubię uwag.

Ulman skłonił się. Dragosz po namyśle dodał:

– Nie wiem jeszcze, jak zrobię, może zatrzymam się w Wiedniu, może popłynę aż do Belgradu,... Nie wiem... Ale zależy mi na tem, by nie zrywać łączności z wami, przesyłaj mi wiadomości za pośrednictwem ludzi rozstawionych między Ratyzboną a Wiedniem.

– Dobrze – odrzekł Ulman. – A ja? Kiedy się z panem zobaczę?

– W Wiedniu, za tydzień, tak, jak ci już mówiłem.

Dragosz zamyślił się przez chwilę i rzekł na zakończenie:

– Możesz już odejść. Nie zapomnij wstąpić do biura policji i jedź pierwszym pociągiem.

Ulman już odchodził, lecz Dragosz przywołał go do siebie.

– Czy słyszałeś co o niej jakim Bruszu – Ilii Bruszu? – zapytał.

– O tym rybaku, który postanowił przepłynąć cały Dunaj, łowiąc po drodze ryby?

– Tak. Otóż, jeżeli mnie z nim zobaczysz, udaj, że mnie nie znasz.

Rozeszli się. Ulman poszedł do policji, Dragosz do hotelu pod «Złotym krzyżem» na obiad.

Kilkunastu gości siedziało już przy stołach, kiedy Dragosz wszedł do sali i usiadł. Zajadał z wielkim apetytem, lecz do rozmowy się nie mieszał. Słuchał jak człowiek przyzwyczajony słuchać uważnie, co mówią naokoło niego. Usłyszał też wyraźnie, jak jeden z biesiadników zapytał swego sąsiada.

– No i cóż ta sławna banda rozbójników? Niema o niej wiadomości?

– Ani o niej, ani o tym znakomitym Ilii Bruszu – odrzekł zapytany. – Spodziewaliśmy się jego przejazdu przez Ratyzbonę, ale o nim niema dotąd żadnej wiadomości.

– To dziwne.

– A może ten Brusz i dowódca bandy, to jeden i ten sam człowiek?

– Chyba żartujesz?

– Bynajmniej, Któż może zaręczyć, że tak nie jest?

Dragosz spojrział na rozmawiających. Poraz drugi już to samo przypuszczenie obilo się o jego uszy. Ale wzruszył tylko nieznacznie ramionami i kończył obiad w milczeniu. Uważał to wszystko za żarty. Zresztą, ci co rozmawiali, nieosobliwe mieli wiadomości. Nie wiedzieli nawet o przybyciu Ilii do miasta.

Skończywszy obiad, Dragosz wrócił na wybrzeże. Po drodze przystanął na starym kamiennym moście, który łączy Ratyzbonę z przedmieściem i przyglądał się rzece, na której jeszcze przesuwaly się statki, korzystając z resztek dziennego światła.

Stał zamyślony, gdy nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu, mówiąc:

– Zdaje się, że ten widok podoba się panu, panie Jeger.

Dragosz odwrócił się i zobaczył Ilię, który patrzył na niego uśmiechnięty.

– Tak, – odpowiedział Dragosz – ruch na rzece jest ciekawy, nie mogę mu się napa trzyć.

– No! Jeszcze więcej się pan zaciekawi, gdy popłyniemy w dół rzeki – odrzekł Ili. – Zobacz pan Żelazne Wrota! Czy pan był tam kiedy?

– Nigdy – powiedział Dragosz.

– Trzeba to widzieć! – zawołał Ili z zapalem. – Jeżeli niema na świecie piękniejszej rzeki od Dunaju, to na Dunaju niema piękniejszego miejsca od Wrót Żelaznych!

Ściemniło się już zupełnie. Zegarek Ilii wskazywał dziewiątą.

– Byłem na dole w łodzi, kiedym pana zobaczył na moście – powiedział Ili. – Przyszedłem tu przypomnieć, że mamy wypłynąć jutro bardzo rano i że trzeba wcześniej iść spać.

– Jestem gotów, panie Brusz – odrzekł Jeger ochoczo.

Schodzili do rzeki, gdy Jeger zapytał w drodze:

– A cóż nasze ryby? Czyś pan zadowolony ze sprzedaży?

– Zachwycony nawet, panie Jeger! Mam czterdzieści jeden guldenów dla pana.

– Czyli z poprzednimi razem sześćdziesiąt osiem, a dopłynęliśmy dopiero do Ratyzbony. No! no! panie Brusz, interes zapowiada się wcale niezłe!

– I ja zaczynam to przypuszczać – roześmiał się Ili.

W kwadrans potem spali już oba w kajucie, a nazajutrz o wschodzie słońca łódź była już o pięć kilometrów od Ratyzbony.

Od tego miasta, w dół rzeki, brzegi jej zaczynają przybierać zupełnie odrębny charakter.

Na prawym brzegu rozciągają się niezmiarzone równiny, żyzne i urodzajne, zasiane folwarkami i wioskami, a na lewym brzegu, czernią się wielkie lasy i podnoszą wzgórza, które dalej łączą się z Czeskim Lasem. Podróż od Ratyzbony do Wiednia jest długa, gdy się

płynie zakrętami Dunaju. Ale na tej przestrzeni, wynoszącej blisko czterysta siedemdziesiąt pięć kilometrów, mało jest miast znaczniejszych. Pierwszem jest Straubing, gdzie łódź zatrzymała się wieczorem osiemnastego sierpnia; potem Passawa, gdzie zawinęła dwudziestego sierpnia i Linc, które minęła w ciągu dnia następnego. Oprócz tych miast, z których dwa ostatnie mają pewne znaczenie strategiczne, spotyka się już tylko małe miściny.

Za Straubingiem koryto Dunaju zwęża się coraz więcej, a na prawym brzegu zaczynają się rysować Alpy Retyckie.

W Passawie, położonej przy zbiegu trzech rzek: Dunaju, Innu i Ilsu – kończy się państwo niemieckie; na prawym brzegu zaczyna się Austrja, zaraz za miastem, a na brzegu lewym, dopiero o kilka kilometrów dalej, tam gdzie wpada do Dunaju Dodelsbach, jest granica austriacka i kraniec państwa bawarskiego. Łożysko rzeki zwęża się w dolinie, mającej około dwustu metrów szerokości, którą Dunaj płynie już do samego Wiednia, to rozlewając się na podobieństwo jeziora, zasypanego mnóstwem wysepek, to ścieśniając się wązkim korytem między skalistymi ścianami, gdzie burzliwe wody rzeki toczą się z hukiem i szumem.

Ilia nie zwracał uwagi na ciągłą zmianę pięknych krajobrazów, zajęty wyłącznie przyspieszaniem biegu łodzi, wiosłując ze wszystkich sił. Trudność kierowania łodzią pochłaniała jego uwagę, bo oprócz piaszczystych mielizn, zwykłych na Dunaju, miał do zwalczenia i ważniejsze przeszkody. Przed Passawą musiał stawić czoło gwałtownym prądom, a o sto pięćdziesiąt kilometrów poniżej, poza miasteczkiem Grin, jednym z najnędnniejszych w Wyższej Austrji, jeszcze większemu niebezpieczeństwu.

Tam dolina Dunaju zamienia się w ciasny wąwóz o stromych ścianach, między którymi kotłują się spienione fale. Dawniej liczne podwodne skały groziły niebezpieczeństwem przepływającym statkom, które często odnosiły tu znaczne uszkodzenia, ale po wysadzeniu minami najgroźniejszych raf, ciągnących się od jednego brzegu do drugiego, niebezpieczeństwo znikło; gwałtowność nurtu uspokoiła się, wiry nie wciągają już statków i wypadki są rzadsze. Lecz mimo to trzeba jeszcze zachowywać pewną ostrożność, przeprowadzając tamtędy i większe statki i mniejsze łodzie.

Ale to wszystko nie stanowiło żadnej trudności dla Ilii. Przemykał się z prądem, omijał piaszczyste ławice, panował nad wirami ze zdumiewającą zręcznością. Dragosz go podziwiał, ale niemniej dziwował się, że zwyczajny amator rybołówstwa zna tak dokładnie Dunaj i jego zdradzieckie miejsca.

Lecz jeżeli Dragosza dziwił Ilia, niemniej Dragosz zdumiewał Ilię. Rybak podziwiał rozległe stosunki swego pasażera. W jakiegokolwiek miejscowości, choćby najnędnniejszej, zatrzymali się na nocleg, wszędzie pan Jeger znalazł znajomych. Zaledwie barka zarzuciła kotwicę, wyskakiwał na ląd, gdzie go zawsze witał ktoś znajomy. Rozmowa nigdy nie trwała długo. Zamieniwszy zaledwie kilka słów, znajomi odchodzili, a Jeger wracał do łodzi.

Ilia nie mógł już dłużej wytrzymać i zapytał:

– Panie Jeger! Pan ma, jak widzę, znajomych wszędzie!...

– Istotnie – potwierdził zapytany. – A to dlatego, że często podróżowałem w tych stronach.

– Dla przyjemności?

– Nie, panie Brusz. Jeździłem w interesach pewnego domu handlowego z Budapesztu, a w takich podróżach nietylko zwiedza się kraj, ale i zawiera dużo znajomości... – objaśnił spokojnie Jeger.

Tak upłynęła podróż od osiemnastego do dwudziestego czwartego sierpnia, kiedy po nocy spędzonej w pustkowiu, zdala od wsi, poniżej miasteczka Tulen, Ilia wypłynął przed świtem. Ale ten dzień nie miał się skończyć tak jak poprzednie. Wieczorem łódź powinna była stanąć w Wiedniu, i poraz pierwszy od tygodnia Ilia zabrał się do łowienia ryb, nie chcąc

sprawić zawodu tym, którzy go oczekują w stolicy, bo zawiadomieni już byli o jego przyjeździe za pośrednictwem dzienników.

Musiał pamiętać o interesach Jegera i dlatego zostawił sobie na ten ostatni dzień tylko trzydzieści kilometrów do przebycia, ażeby dojechać do Wiednia wcześniej i korzystnie sprzedać ryby.

Kiedy Dragosz wyszedł z kabiny, zastał już obfitą zdobycz, a około jedenastej rybak ułowił szczupaka, ważącego dwadzieścia funtów. Królewska sztuka, za którą wiedeńczycy dobrze zapłacą!

Zachęcony powodzeniem Ilia postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia, na czym źle wyszedł, jak się następnie okazało. Co zaszło? Sam nie wiedział, dość, że wędka nieuważnie rozbujana, uderzyła go haczykiem w twarz i zrobiła na niej krwawą rysę. Ilija aż krzyknął z bólu. Haczyk zadrapał mu twarz, zawadził o wielkie, czarne okulary, które rybak nosił w dzień i w nocy i zerwawszy je, rozbijał się, zakreślając łuki w powietrzu, o kilka centymetrów nad wodą.

Ilija spojrzawszy z niepokojem na Jegera i przyciągnął z pośpiechem zbłąkane okulary, które co żywo założył na nos. Dopiero to go uspokoiło.

Trwało to zaledwie kilka sekund, ale ta chwilka wystarczyła Jegerowi: zobaczył, że jego towarzysz ma prześliczne oczy niebieskie, których blask i żywe spojrzenie nie zdradzały bynajmniej choroby uczu i potrzeby noszenia okularów.

Dragosz zauważył to odrazu i zaczął swoim zwyczajem rozmyślać nad tą osobliwością. A Ilija, jak łatwo zgadnąć, zaniechał już tego dnia dalszego połowu. Opatrzywszy sobie twarz skaleczoną boleśnie, choć nie niebezpiecznie, poskładał narzędzia, powierzając łódź sile samego prądu rzecznoego, aż do śniadania.

Przeplływali wtedy mimo Kahlenberga, góry wysokiej na trzysta pięćdziesiąt metrów, której szczyt góruje nad Wiedniem. Na brzegach panował ruch coraz większy. Wille rozsiane zrazu rzadko, stały coraz bliżej siebie. Dymy fabryczne, buchające z wysokich kominów, zaciemniały niebo i w tej podmiejskiej okolicy ukazali się już wiedeńscy fiakrowie.

Popołudniu łódź minęła Nussdorf i popłynęła dalej głównym korytem Dunaju, koło czwartej zarzuciła kotwicę pod drzewami Prateru.

– Czy pan cierpi na oczy? – zapytał dopiero wtedy Dragosz, który milczał od wypadku z okularami.

Ilija zwrócił się ku niemu żywo.

– Na oczy? – powtórzył pytająco.

– Tak, na oczy – powiedział Jeger. – Chyba nie dla przyjemności, jak sądzę, nosisz pan te czarne okulary?

– A! okulary! – odrzekł Ilija. – Mam rzeczywiście wzrok słaby i światło mnie razi. Nic więcej...

Słaby wzrok? Światło razi takie oczy? Tymczasem Ilija umocowywał kotwicę, gdy jego pasażer przyglądał mu się zadumany.

ROZDZIAŁ VII

Myśliwi i zwierzyna.

Ludzie przechadzali się nad brzegiem Dunaju, który stanowi granicę Prateru od północo-wschodu. Być może, że oczekiwali Ilii, bo dzienniki zapowiedziały godzinę jego przybycia i oznaczyły miejsce, gdzie zarzuci kotwicę. Ale poczemże mogliby poznać jego łódź wśród tylu innych?

Ilia przewidział tę trudność i umocowawszy kotwicę, zatknął na łodzi maszt z flagą, na której widniał napis: «Ilia Brusz, zwycięzca z konkursu w Sigmaringen»

Na dachu kabiny ułożył ryby złowione rano, a szczupaka umieścił na miejscu honorowem.

Reklama na wzór amerykański, zrobiła wrażenie. Kilku przechodniów przystanęło na wybrzeżu i zaczęło przyglądać się rybom. Wokoło nich zatrzymywali się inni i wnet zebrała się spora gromadka, do której ściągali coraz nowi przybysze. Zanim upłynął kwadrans, zebrało się kilkaset ludzi; Ilia nie marzył nawet o takim powodzeniu.

Pomiędzy nim a tłumem zawiązała się rozmowa.

– Czy pan Brusz? – zapytał jeden z widzów.

– Ja sam – odrzekł zagadnięty.

– Pozwól pan, że mu się przedstawię: Klaudjusz Roth, kolega, członek «Związku rybaków», a oto inni koledzy...

Rozpoczęły się przedstawienia i ogólna rozmowa.

– Pomyślną miałeś pan podróż? – pytano.

– Jak najpomyślniejszą!

– I szybko. Nie spodziewaliśmy się pana tak prędko...

– A jednak jestem już w drodze dwa tygodnie.

– Prawda. Ale z Donaueschingen do Wiednia jest prawie dziewięćset kilometrów.

– A jakże pańskie ryby? Czy łatwo o nabywców?

– Bardzo łatwo.

– Dzisiejszy połów piękny, zwłaszcza ten okazały szczupak... Ile pan żądasz za niego?

– Ile kto da. Będę sprzedawał ryby przez licytację. Szczupaka zachowam na sam koniec.

– Doskonała myśl! – zawołał kolega Roth. Kto go kupi, może go sobie wypchać na pamiątkę laureata!

Zebrani roześmieli się i rozpoczęto licytację z wielkim ożywieniem. Po kilkunastu minutach rybak zgarnął sporą kwotę: sam szczupak poszedł w cenie trzydziestu pięciu guldenów.

Po licytacji, zgromadzeni, gawędząc z Ilią, wypytywali go o dalsze zamiary. Ilia odpowiadał chętnie, nie robiąc tajemnicy z tego, że zamierza cały dzień przebyć w Wiedniu, a wieczorem następnego dnia stanąć na nocleg w Preszburgu.

Gdy się rozeszli widzowie i koledzy, Ilia wrócił do budki i zajął się przygotowaniem obiadu, a jego pasażer został sam na pokładzie.

I dlatego dwaj ludzie, zwabieni widokiem zgromadzonych na wybrzeżu, zobaczyli na pokładzie tylko Dragosza, siedzącego samotnie pod masztem, na którym powiewająca flaga głosiła całemu światu nazwisko i tytuły konkursowego zwycięzcy. Jeden z tych przybyszów, człowiek trzydziestoletni, rosły, barczysty, z jasnymi włosami i zarostem, rzucił okiem na łódź, drgnął i cofnął się żywo, pociągając za sobą towarzysza. Ten towarzysz był dużo starszy, silnej także budowy, szeroki w barkach, miał już włosy szpakowate i lat przeszło pięćdziesiąt.

– To on! – szepnął stłumionym głosem młody, gdy wyszli obaj z tłumu.

– Tak sądzisz?

– Pewny jestem! A ty go nie poznałeś?

– Jakże go mogłem poznać? Nie widziałem go nigdy,...

Zamyślili się obaj, poczem starszy zapytał:

– Czy sam jest w tej łodzi?

– Zupełnie sam.

– I to napewno jest łódź Ilii Brusza?

– Beż żadnej wątpliwości. Nazwisko wypisane jest na fladze.

– Nic tego nie rozumiem!

Zamilkli obaj, a po chwili młody zaczął:

– Więc to on odbył tę podróż z takim rozgłosem, pod nazwiskiem Ilii Brusza?

– I w jakim celu? – dodał starszy. Młody wzruszył ramionami.

– Ażeby przepłynąć incognito cały Dunaj. To wyraźne. Chytra to sztuka, Dragosz, i byłoby mu się udało, gdyby nie traf, który nas tu sprowadził...

Starszy wciąż jeszcze niedowierzał.

– To zupełnie jak w bajce – mruknął.

– Zupełnie, Ticza! Zupełnie jak w bajce. Ale Dragosz lubi takie figle... Zresztą wyjaśnimy to zaraz. Na brzegu mówili ludzie, że łódź cały dzień jutrzejszy przepędzi w Wiedniu. Przyjdziemy jutro. Jeżeli zastaniemy tu znowu Dragosza, będzie to stanowczy dowód, że przywdział on na siebie skórę Ilii Brusza.

– A co wtedy zrobimy? – zapytał starszy.

Zapytany nie zaraz odpowiedział.

– Zastanowimy się nad tem – wyrzekł z wolna.

Odeszli, a na wybrzeżu widzowie porozchodzili się także. Ilija i jego pasażer spędzili noc spokojnie, a kiedy nazajutrz rano pan Jeger wyszedł z kabiny, zastał swego gospodarza zajętego przygotowywaniem rybackich przyborów.

– Śliczną pogodę mamy, panie Brusz – zagadnął Jeger. – Czy nie chcesz pan skorzystać z niej i przejść się po mieście?

– Nie mam ochoty. Jestem z usposobienia mało ciekawy; po dwutygodniowej podróży muszę doprowadzić do porządku moje gospodarstwo na łodzi.

– A ja wysiadę i zabawię w mieście do wieczora – oznajmił pan Jeger.

– Życzę dobrej zabawy! – wyrzekł uprzejmie Ilija.

– Dziękuję! – odparł Jeger wysiadając na ląd i oddalając się szybko,

Szedł przez główną aleję, w tej porze dnia niewiele uczęszczaną, mógł więc przyspieszyć kroku. Wśród nielicznych przechodniów nie zauważył dwóch ludzi, którzy go minęli w pobliżu sztucznego pagórka, Konstantins Hügel, Dragosz poszedł dalej spokojnie do niewielkiej kawiarni, gdzie już na niego czekał człowiek, siedzący samotnie przy stoliku.

– Dzień dobry! – powitał go Dragosz.

– Witam pana! – odpowiedział Ulman.

– Nic nowego?

– Nic.

– To dobrze, mamy cały dzień przed sobą i możemy zastanowić się gruntownie nad dalszym planem działania.

Mimo że Dragosz nie zauważył tych dwóch przechodniów w Praterze, których wczoraj ślepy traf przywiódł na wybrzeże, gdzie stała łódź Ilii – oni go jednak zobaczyli. I obaj, gdy dowódca policji na Dunaju ich minął, zawrócili także i szli za nim w pewnej odległości. Kiedy Dragosz wszedł do kawiarni, oni weszli do drugiej naprzeciwko, postanawiając śledzić go, choćby przez dzień cały.

Ale ich cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę. Po kilkogodzinnej naradzie, Dragosz z Ulmanem zjedli śniadanie, nie śpiesząc się wcale. Po śniadaniu kazali sobie podać na werandzie kawę i pili ją właśnie, kiedy Dragosz poruszył się zadziwiony, cofnął się w głąb kawiarni i z poza firanek zaczął śledzić człowieka, idącego przez placyk przed kawiarnią.

– To on! – szepnęła, ścigając wzrokiem Ilię.

Rzeczywiście, był to Ili, łatwy do poznania, po wygolonej twarzy, wielkich okularach ciemnych i włosach czarnych, jak u Włocha.

Kiedy Ili wszedł w ulicę Cesarza Józefa, Dragosz wrócił do Ulmana, który został przy stoliku, rozkazał mu czekać na werandzie, a sam wyszedł innymi drzwiami i puścił się śladem rybaka.

Ili szedł spokojnie nie oglądając się, jak człowiek z czystym sumieniem i przeszedłszy ulicę do końca, skręcił na prawo i prostą drogą doszedł do Brigittenau. Tam zawahał się, przystanął, a potem wszedł do nędznego sklepiku, na jednej z najuboższych uliczek tej dzielnicy robotniczej.

Ze sklepiku wyszedł w pół godziny później. Śledzony wciąż przez Dragosza, wszedł na ulicę Rembrandta i lewym brzegiem kanału wrócił do Prateru, do placyka przed kawiarnią, a stamtąd główną aleją skierował się w tę stronę, gdzie pozostał jego statek.

Dragosz uznał dalsze śledzenie za zbyt ciężkie i wszedł do kawiarni, gdzie Ulman czekał na niego.

– Czy znasz żyda, który się nazywa Szymon Klein?

– Znam.

– Co to za gatunek człowieka?

– Nieosobliwy. Handlarz starzyzny, lichwiarz i paser, gdy się zdarzy sposobność. Te trzy wyrazy wystarczą do odmalowania jego osoby.

– Tak jak przypuszczałem – bąknął Dragosz zamyślony. A po chwili dodał:

– Ilu ludzi tu mamy?

– Czterdziestu – objaśnił Ulman.

– To wystarczy. Posłuchaj mnie uważnie. Cały plan, ułożony dziś rano, na nic. Zmienię go zupełnie, bo coraz bardziej utwierdzam się w mniemaniu, że coś nowego zdarzy się w pobliżu tego miejsca, gdzie ja będę...

– Gdzie pan będzie? Nie rozumiem...

– Nie potrzebujesz rozumieć... Rozstawisz naszych ludzi po dwóch, co pięć kilometrów, na lewym brzegu Dunaju, poczynając od Preszburga. Ludzie ci będą nademną czuwać. Gdy ostatni posterunek mnie zobaczy, niech posunie się natychmiast, wyprzedzając o pięć kilometrów posterunek pierwszy i tak ciągle. Zrozumiałeś? Tylko pamiętaj, żeby mi ich nigdzie nie zabrakło!

– A ja? – spytał Ulman.

– Ty urządzisz się tak, żeby mnie nie tracić z oczu. Ponieważ płynę łodzią środkiem rzeki, nie będzie to trudne zadanie... Twoi ludzie, stojąc na posterunku, niech zbierają wszystkie wiadomości. Posterunek, który dowie się czegoś ważnego, zawiadomi inne posterunki i stanie się punktem środkowym w około którego zgromadzą się inne.

– Rozumiem.

– Niech idą dziś wieczorem, ażebym jutro zastał wszystkich na stanowisku.

– Będą – odrzekł krótko Ulman.

Trzy razy Dragosz powtarzał mu swe polecenie, aż w końcu pewny że jego podwładny zrozumiał i zapamiętał wszystko, powrócił do łodzi, bo już było późno.

W kawiarni naprzeciwko, dwaj nieznajomi czekali na Dragosza ciągle i nie zauważyli Ilii wśród innych przechodniów. Widząc, że Ulman nie rusza się ze swego miejsca, nie wątpili, że Dragosz wróci do niego.

Jakoż okazało się, że przewidywali trafnie, a gdy Dragosz z Ulmanem wszedł do wnętrza kawiarni, zostali na czatach, dopóki dowódca policji rzecznej nie rozstał się ze swym podwładnym.

Puściwszy wolno Ulmana, podążyli obaj za Dragoszem i po trzech kwadransach przechadzki, zatrzymali się blisko nadbrzeżnej alei. Nie było już wątpliwości, że Dragosz wraca do łodzi.

– Niema poco iść dalej – rzekł młody. – Teraz już wiemy napewno, że Dragosz i Ilia Brusz stanowią jedną osobę. Gdybyśmy poszli za nim, mógłby nas zauważyć.

– I co dalej uczynimy? – zapytał jego towarzysz o barkach atlety.

– Pomówimy o tem teraz – odparł młody. – Mam pewną myśl...

I odeszli układać nowe plany, a Dragosz wrócił do łodzi, nie domyślając się, że go śledzono przez cały dzień. W łodzi zastał Ilię, zajętego przyrządzaniem wieczerzy, którą spożyli razem, według zwyczaju, siedząc na ławkach, jak na koniu.

– I cóż? Zadowolony pan ze swej wycieczki, panie Jeger? – zagadnął Ilia, gdy zapalili fajeczki.

– Nawet zachwycony – odpowiedział Dragosz. – A czy pan nie zmieniłeś zamiaru i nie zdecydowałeś się przejść trochę po Wiedniu?

– Bynajmniej, panie Jeger – odrzekł Ilia. – Nie znam tu nikogo. Po pańskim odejściu ani na chwilę nie opuściłem łodzi.

– Doprawdy?!

– Tak. Miałem tu zresztą dosyć roboty do wieczora.

Dragosz nie odpowiedział. Zachował dla siebie wnioski, jakie mu nasunęło kłamstwo gospodarza i rozmawiał z nim spokojnie aż do chwili udania się na spoczynek.

ROZDZIAŁ VIII

Fotografia.

Czy Brusz dopuścił się kłamstwa rozmyślnie, czy też zmienił później zamiar? W każdym razie plany dalszej podróży nie uległy zmianie.

Wyłynął, według zapowiedzi, o drugiej w nocy, dwudziestego szóstego sierpnia, nie zatrzymał się w Preszburgu i po dwudziestu godzinach zapalczego wiosłowania, przystanął w odległości piętnastu kilometrów poniżej tego miasta, na krótki wypoczynek. Potem wyruszył znowu w dalszą drogę. Nie tłómaczył się z tych nadludzkich wysiłków przed Jegerem, którego interesy narażone były na szwank, skutkiem tak pośpiesznej podróży. Ale Jeger, pomny zawartej umowy, nie okazywał niezadowolenia i nie pytał o nic.

Niepokoje Karola Dragosza pochłaniały uwagę Jegera. Szkody, jakie ten drugi mógł ponieść, niczem były w porównaniu z troskami tamtego.

Owego dnia dwudziestego szóstego sierpnia, Dragosz uczynił nowe odkrycie, które, w połączeniu z tem, co zauważył był poprzednio, wzburzyło go głęboko. Zdarzyło się to około dziesiątej rano. Dragosz, pogrążony w myślach, patrzył machinalnie na Ilię, który wiosłował, stojąc na tyle łodzi, z wytrwałością roboczego wołu. Na zakręcie rzeki stanął w pełnym blasku słonecznym, z obnażoną głową, bo złany potem, zdjął futrzaną czapkę i rzucił ją na dno łodzi. Dzięki temu słońce oświetlało jaskrawo jego bujne, czarne włosy.

I nagle o dziwo! Dragosz zobaczył, że włosy Ilii, czarne na końcach, przy samej skórze miały kolor jasny. Nic nadzwyczajnego: ot poprostu, następstwo niestaranego używania farby.

Ale, gdyby Dragosz miał jeszcze jaką wątpliwość pod tym względem, znikłaby ona nazajutrz, gdyż od rana włosy Ilii straciły niejednolite zabarwienie. Rybak zapewne spostrzegł swoje niedbalstwo i w ciągu nocy zaradził złemu.

Te oczy tak starannie zasłaniane ciemnymi okularami, to kłamliwe wypieranie się przechadzki po Wiedniu, ten pośpiech niewytłómaczony, nieodpowiedni celowi podróży, te włosy jasne, farbowane na czarno, wszystko to było podejrzane i można było różnie wnioskować... Co mianowicie? Tego Dragosz nie umiałby bliżej określić. Że tkwiło w tem na dnie coś podejrzanego, rzecz pewna; ale co właściwie?

To samo posądzenie, lubo wciąż odsuwane, narzucało się jednak natrętnie Dragoszowi. Nasunął mu je początkowo po dwakroć przypadek. Najpierwszy Michał Michajłowicz, żartobliwy Serb, potem goście z gospody w Ratyzbonie; że pod maską zwycięzcy z konkursu kryje się wódz rozbójników, którzy szerzyli postrach na całym pobrzeżu Dunaju...

Czy można było brać na serjo przypuszczenia, rzucone żartem? A jednak to, co Dragosz zauważył, mogło wzbudzić podejrzenie. Gdyby zaś podejrzenie zamieniło się w pewność – cóż za osobliwy zbieg okoliczności! Razem na jednej łodzi płynie herszt rozbójników i agent policyjny, który go poszukuje!

Dragosz wszakże niełatwo mógł uwierzyć w tak niezwykle zdarzenie. Lecz to rozumiał, że byłoby nieostrożnością odrzucić z góry takie przypuszczenie, nie zbadawszy, czy jest ono w rzeczywistości bezpodstawne.

Pod tem wrażeniem, po całej nocy spędzonej na rzece, o kilka kilometrów w dół od Komorna, rankiem dwudziestego ósmego sierpnia poruszył przedmiot, którego dotąd nie dotykał.

– Dzień dobry, panie Brusz – wyrzekł, wychodząc z kabiny z gotowym już planem.

– Dzień dobry, panie Jeger – odpowiedział Ilia, wiosłując ze zwykłą energią. Dobrze pan spał dziś w nocy?

– Tak sobie... Nie bardzo.

– Doprawdy? A czemuś mnie pan nie obudził, jeżeli coś dolegało?

– Jestem zupełnie zdrow, panie Brusz, ale przyznaję, że noc dłużyła mi się bardzo i rad jestem, że już minęła...

– Dlaczego?

– Bo byłem niespokojny.

– Niespokojny? Z jakiego powodu?

– I nie pierwszy raz byłem niespokojny – dodał Jeger. – Obawiam się zawsze, ilekroć panu przychodzi fantazja nocować w pustkowiu, zdaleka od miejsc zamieszkałych.

– Ba! – zawołał z widoczną ulgą Ilia. – Trzebaż mi było powiedzieć, a urządziłbym się inaczej!

– Zapominasz pan, że zobowiązałem się w niczem nie krępować pańskiej wolności... Dotrzymuję słowa, ale to nie przeszkadza, że się boję. Nie dziw się pan temu. Jestem mieszcuch i zawsze przeraża mnie cisza i pustka.

– To rzecz przyzwyczajenia – odrzekł wesoło Ilia. – Przyzwyczaiłbyś się pan, gdyby nasza podróż dłużej potrwała. Mniejsze niebezpieczeństwo grozi nam w pustkowiu, niż w wielkiem mieście, gdzie się roi od włóczęgów i morderców.

– Może ma pan słuszość – odparł Jeger – ale moje obawy nie są bezzasadne teraz, gdy płyniemy przez okolicę, która ma wyjątkowo złą sławę.

– Złą sławę? Kto to panu powiedział? – mieszkam oddawna w tych stronach i nigdy o tem nie słyszałem!

Teraz Jeger zadziwił się mocno.

– Czy pan mówisz serjo, panie Brusz? – zawołał. – Więc chyba tylko ty jeden nie wiesz tego, o czem wiedzą wszyscy od granic Bawarii do krańców Rumunii!

– Czego? – zapytał Ilia.

– Że banda nieuchwytnych złoczyńców urządza napady na obu brzegach Dunaju, od Preszburga do samego ujścia rzeki.

– Pierwszy raz o tem słyszę! – zawołał Ilia z nieudanem zdziwieniem.

– Czy być może? Ależ od końca do końca Dunaju o niczem innem nie mówią! – odrzekł zdumiony Jeger.

– Codzien można się dowiedzieć czegoś nowego – zauważył spokojnie Ilia. – I oddawna to się zdarza?

– Od półtora roku. I gdybyż to były tylko kradzieże! Ale ci złoczyńcy dopuszczają się i morderstw. Przez półtora roku zamordowali co najmniej dziesięć ofiar; ostatnią zbrodnię spełniono o jakieś pięćdziesiąt kilometrów od miejsca, gdzie jesteśmy.

– Teraz pojmuję pańskie obawy – powiedział Ilia. – I może sambym się obawiał, gdybym był o tem wiedział. Odtąd będziemy stawać na nocleg zawsze blisko wsi lub miasta; dziś zanocujemy w Granie.

– O! to dobrze! – ucieszył się Jeger. – Tam będziemy bezpieczni, bo to duże miasto.

– Tembardziej będę rad temu, że muszę zostawić pana samego na całą noc – rzekł Ilia. Z Granu, gdzie spodziewam się stanąć wcześniej, dojdę do Szalki, która leży w pobliżu. Tam mieszkam stale, jak panu wiadomo. Wrócę przed świtem i jutro rano zaraz dalej popłyniemy.

– Bardzo dobrze! – W Granie jest bezpiecznie – powtórzył Jeger.

Umilkli potem obaj towarzysze i dopiero w jakie pół godziny później Jeger zagadnął znowu.

– To doprawdy dziwne, że pan nic nie wiedziałeś o tych rozbójnikach nad Dunajem? Tem dziwniejsze, że w parę dni po konkursie w Sigmaringen dużo mówiono o tem z powodu wysłania oddziału policji na poszukiwanie złoczyńców. Oddziałem dowodzi Karol Dragosz, słynny ajent policyjny z Budapesztu.

– Będzie miał sporo roboty – zauważył Ilia, na którym nazwisko Dragosza nie zrobiło żadnego wrażenia. Dunaj długi i niewygodnie jest szukać na jego brzegach ludzi, którzy się kryją i nie zostawiają żadnych śladów za sobą.

– Co do tego, myli się pan – objaśnił Jeger. – Policja ma już pewne dane. Naprzykład, dokładny rysopis przywódcy.

– Jakże on wygląda? – zapytał Ilia zaciekawiony.

– Tak, trochę z pozoru podobny do pana...

– Dziękuję! – roześmiał się Ilia.

– Mniej więcej pańskiego wzrostu – mówił dalej Jeger – szczupły jak pan, ale na tem kończy się podobieństwo.

– Na szczęście! – westchnął żartobliwie Ilia.

– Ma podobno piękne, niebieskie oczy, dobre oczy, więc nie potrzebuje, jak pan okularów. Przytem pan masz czarne włosy i jesteś zupełnie wygolony, a on jest blondyn i nosi brodę. To już jest pewna wskazówka.

– Zapewne, Ale blondynów jest tylu!

– Wiedzą o nim jeszcze coś więcej. Podobno to Bułgar, tak jak i pan, panie Brusz.

– Skąd pan to wnosi, że ja jestem Bułgarem? – zapytał Ilia mocno zmieszany.

– Tak mi się zdawało po pańskiej mowie – tłómaczył się Jeger z miną niewinną. –Ale może się mylę?

– Nie! Nie mylisz się pan – przyznał Ilia, po krótkim wahaniu.

– Wódz bandytów jest zatem pańskim ziomkiem. Ludzie wiedzą nawet jego imię i nazwisko.

– Nawet nazwisko?

– Tak. Nie jest ono jeszcze urzędownie sprawdzone, ale wszyscy mówią, że ten złoczyńca nazywa się Ladko.

– Ladko!?! – wykrzyknął Ilia, przestając wiosłować.

– Tak, Ladko – potwierdził Jeger, przyglądając mu się bacznie.

Ale Ilia odzyskał już zwykły spokój.

– To dziwne! – wyrzekł z prostotą.

– Co jest dziwne? – nalegał Jeger. – Może pan znasz tego Ladkę?

– Bynajmniej, ale nie jest to nazwisko pospolite w Bułgarii, dlatego mnie zadziwiło.

Jeger nie pytał więcej; to, czego się już dowiedział, było ważne. Zadziwienie rybaka, gdy usłyszał rysopis złoczyńcy, pomieszanie, gdy się dowiedział o jego narodowości – wzruszenie, gdy mu powiedziano nazwisko – wszystko to wzmagało poprzednie podejrzenia, nie dając jednak stanowczego dowodu.

Przed drugą popołudniu łódź przyплыnęła do Granu. Ilia wysiadł na kilkaset kroków przed miastem, chcąc uniknąć ciekawych – jak mówił – i poprosił Jegera, by zechciał sam dopłynąć i zarzucić kotwicę przy prawym brzegu, w samym środku miasta, na co Jeger zgodził się chętnie.

Umocowawszy łódź, Jeger, a raczej Dragosz wysiadł na ląd, upatrując swoich ludzi.

Nie uszedł jeszcze dwudziestu kroków, gdy wpadł na Fryderyka Ulmana.

– Wszystko dobrze? – zapytał.

– Wszystko.

– Trzeba zacieśnić koło, Fryderyku. Porozstawiaj odtąd ludzi w odległości jednego kilometra.

– Zbliżamy się do celu?

– Tak się zdaje. A jutro staraj się nie tracić mnie z oczu. Przypuszczam, że ryba się weźmie.

– Rozumiem.

– Tylko nie zasypiaj sprawy! Żwawo, a z życiem!

– Niech pan na mnie polega.

– Jeżeli dowiesz się czegoś nowego, daj mi znak z wybrzeża.

– Dobrze.

Dragosz skończywszy rozmowę, wrócił do łodzi. Jeżeli przedtem udawał tylko obawy, to owej nocy stał się naprawdę igraszką rozszalałych żywiołów. O samej północy zerwała się szalona burza i deszcz lunął jak z cebra.

O piątej, kiedy Ilia wrócił, deszcz padał jeszcze ulewny, a wiatr gwałtowny dął z dołu rzeki. Mimo to rybak nie zawahał się ani chwili i wypłynął. Skierował łódź na środek rzeki wzięwszy się, jak zwykle, do wiosła. Trzeba było nielada odwagi do podróży w takich warunkach i po bezsennej nocy.

Burza nie uspokoiła się za nadejściem dnia, lecz szalała coraz gwałtowniej. Łódź, pomimo że płynęła z wodą, posuwała się bardzo powoli, odpychana wichrem i po czterech godzinach wysiłku przebyła zaledwie dziesięć kilometrów. Rzeka Ipoli, na której prawym brzegu przy samym ujściu jej do Dunaju, leży Szalka, musiała być już blisko. Ale burza rozszalała się tak gwałtowna, że dalsza podróż byłaby zbyt niebezpieczną. Dunaj jest tu szeroki, a w czasie burzy i wichru fale jego równają się falom morskim. Tak też było i owego dnia, i Ilia, mimo pośpiechu, musiał się skierować ku lewemu brzegowi, by zarzucić kotwicę.

Ale nie sądzono mu było tam przybić.

Miał jeszcze do przepłynięcia z pięćdziesiąt metrów, gdy w górze rzeki runęły w wodę podmyte falą nadbrzeżne drzewa. Woda podniosła się wysoko, pod ich naciskiem uderzyła gwałtownie, o brzegi, cofnęła się w tył, a potem, podnosząc się w górę ogromną falą, pogoniła za łodzią.

Trąba powietrzna zawirowała na wodzie i sunęła lejkiem po powierzchni rzeki.

Ilia zrozumiał niebezpieczeństwo. Zakręcił na miejscu łódź potężnym ruchem wiosła i wiosłował, aby dopłynąć do prawego brzegu. Ale choć mu się to nie udało, ruch ten jednak ocalił łódź i podróżnych.

Choć ją dognał wirujący lejek trąby – łódź ominęła przynajmniej fale, które trąba podrywała na swej drodze i dzięki temu nie została zalaną. Pochwycona w wir trąby, zakreśliła koło tylko na zewnętrznej stronie lejka.

Szczęściem szpony groźnego potwora wypuściły szybko swą ofiarę. Trąba pomknęła dalej, a bałwan wody posunął się z rykiem w dół rzeki. Opór wody złagodził gwałtowność ruchu, z jaką trąba odrzuciła łódź na rzece.

Ale zanim statek dostał się na spokojniejszą wodę, zjawilo się nowe niebezpieczeństwo. Wprost przed dziobem łodzi prującym fale z niesłychaną szybkością, Ilija zobaczył wyrwane drzewo, które zwrócone korzeniami do góry, płynęło z prądem. Łódź, gdyby się dostała między płataninę jego korzeni, przewróciłaby się niezawodnie, albo co najmniej – uszkodziła się. Ilija, na widok niebezpieczeństwa, krzyknął z przerażenia.

Ale Jeger także zobaczył i zrozumiał co im grozi. Skoczył na przód łodzi, schwycił korzenie drzewa, sterczące z wody i wsparłszy się na nich, odepchnął łódź w przeciwną stronę.

Silnie pchnięta, łódź pomknęła jak strzała musnąwszy tylko wierzchołki korzeni, a potem zielone konary drzewa. Jeszcze chwila, a byłaby pozostawiła za sobą niebezpieczną przeszkodę, gdy jedna z gałęzi uderzyła w piersi Jegera. Nie mógł się oprzeć gwałtowności uderzenia; stracił równowagę, przewrócił koziółka przez burt łodzi i znikł w spienionej wodzie.

Za nim rzucił się Ilija, bez wahania dążąc na ratunek towarzyszowi.

Ale trudno było dojrzeć cokolwiek w mętnych wodach, wzburzonych przejściem trąby. Daremnie Ilija wyglądał towarzysza i już zwątpił o jego ocaleniu, gdy nagle ujrzał go i pochwycił już nieprzytomnego, w chwili gdy go fala wyrzuciła na wierzch.

I lepiej się stało, że Jeger był nieprzytomny, bo człowiek, który tonie, zwykle się czepia ratującego, ciągnąc go i utrudniając ratunek, a człowiek zemdlony jest bezwładną masą, której ocalenie zależy tylko od zręczności i siły człowieka.

Ilija wyciągnął na powierzchnię wody głowę Jegera, a jednocześnie pogonił za łodzią, która przez ten, czas odpłynęła już na sto metrów. Dogonił łódź kilku silnymi rzutami, pochwycił za burt jedną ręką, drugą zaś podtrzymywał wciąż nieprzytomnego towarzysza.

Trudne to było zadanie, wciągnąć zemdlonego do łodzi. Udało się to jednak Iliji, choć dopiero po wielkich wysiłkach.

Złożywszy na posłaniu w budce towarzysza, rozebrał go i zaczął trzeć silnie kawałkiem sukna. Wkrótce Jeger otworzył oczy i odzyskał przytomność. Dzięki temu, że niebardzo długo był pod wodą, można było mieć nadzieję, że ta przygoda nie spowoduje żadnych szkodliwych następstw.

– No! no! Panie Jeger! – zawołał Ilija, ucieszony że pacjent otworzył oczy. – Ale też z pana znakomity nurek!

Jeger uśmiechnął się słabo.

– Nic panu nie będzie – pocieszał go Ilija, trąc ciągle energicznie. – W sierpniu zimna kąpiel nikomu nie zaszkodzi.

– Dziękuję panu... – wyjąkał słabym głosem Jeger.

– Niema za co! – zawołał rybak wesoło. – To ja raczej powinienem panu dziękować, żeś mi pomógł do uratowania łodzi.

Siły powracały prędko Jegerowi.

– Kieliszek dobrej wódki postawi pana odrazu na nogi, zaraz go podam.

Lecz Ilija, wzruszony więcej niż chciał okazać, napróżno przeszukał wszystkie kufry. Zapas spirytusu wyczerpał się i na łodzi nie było już ani kropli.

– Oto kłopot! – zawołał. – Nie mam już wcale wódki!

– Mniejsza o to, panie Brusz – odpowiedział słabym głosem Jeger. – Upewniam pana, że obejdę się bez wódki.

Lecz mimo zapewnień, drżał z zimna.

– Mylisz się pan – powiedział stanowczo Ilia, który rozumiał dobrze stan swego pacjenta.
– Nie obejdzie się pan bez rozgrzania wódką. Pozwól, że zrobię, co uważam za konieczne. Nie potrwa to długo.

W mgnieniu oka przebrał się w suchą odzież, kilkoma silnymi uderzeniami wiosła popchnął łódź do brzegu i umocował ją silnie.

– Proszę o trochę cierpliwości, panie Jeger – powiedział wyskakując na brzeg. – Znam tu dobrze okolice; o kilkaset metrów stąd jest wioska, w której znajdę co mi potrzeba. Wrócę za pół godziny.

I pobiegł żwawo, nie czekając na odpowiedź.

Pozostawszy sam, Jeger – właściwie Dragosz, upadł na posłanie. Bardzo osłabiony, choć nie chciał tego okazywać, skorzystał z samotności i przymknął oczy.

Ale życie wracało szybko: krew prędeż już krążyła i wkrótce Dragosz otworzył oczy; zaraz też zaczął rozglądać się naokoło pewniejszym już wzrokiem.

Spojrzenie jego padło na kufer, którego Ilia w pośpiechu zapomniał zamknąć. Z wnętrza kufra wyzierały w nieładzie najróżnorodniejsze przedmioty. Gruba bielizna, prosta odzież rybacka, ciężkie obuwie leżały tam poprzewracane.

Oczy Dragosza zabłysły nagle ożywieniem. Dźwignął się na posłaniu, oparł na łokciu i wpatrzył chciwie w głąb otwartego kufra.

Cóż go tak w nim zaciekało? Oto, wśród różnych rupieci bystre oko policyjnego ajenta dojrzało przedmiot godny bacznej uwagi.

Leżała tam uchylona teka, z której wysuwały się papiery. Teką z papierami! Oto wyjaśnienie zagadki, która od kilku dni niepokoiła Dragosza.

Nie mógł się oprzeć pokusie. Po krótkim wahaniu, choć czuł, że zdradza prawa honoru – wyciągnął rękę, wyjął kuszącą tekę i zaczął przeglądać jej zawartość...

Nasamprzód listy adresowane do Ilii Brusza w Szalce. Potem różne kwity: za opłacone mieszkanie i inne, wszystkie na to samo nazwisko. Nic ciekawego.

I już chciał Dragosz zaniechać dalszych poszukiwań, gdy nagle drgnął gwałtownie... Bystre oko ajenta oceniło odrazu wartość tego co zobaczył.

Fotografia kobiety, której doskonała piękność wprowadziłaby w zachwyt malarza. Ale Dragosz nie myślał zachwycać się tem czarującym obliczem, przelotnie rzucił na nie okiem i wpił się chciwie w podpis, nakreślony u dołu.

«Mojemu mężowi, Sergiuszowi Ladko».

Dragosz wyczytał tylko to, nic więcej...

A więc jego podejrzenia były słuszne! Ladko! Ten Ladko, którego ścigał od tylu dni, płynąc z nim po Dunaju! Niebezpieczny ten złoczyńca, daremnie dotąd poszukiwany, ukrywał się pod postacią zwycięzcy z konkursu rybackiego!

I co miał uczynić Dragosz po tem odkryciu? Nie powziął jeszcze postanowienia, gdy na odgłos kroków, wrzucił w pośpiechem tekę do kufra i zamknął wieko. Pewnie Ilia powraca...

– Panie Dragosz! –zawołał ktoś na brzegu.

– Ulman! – szepnął Dragosz podnosząc się z trudnością.

Dźwignął się z wysiłkiem i chwiejnym krokiem wyszedł z kabiny.

– Przepraszam, żem zawołał na pana po nazwisku – usprawiedliwił się Ulman, zobaczywszy zwierzchnika. – Ale widziałem, że pański towarzysz odszedł i że pan jesteś sam.

– Co się stało? – zapytał Dragosz.

– Nową zbrodnię spełniono dziś w nocy – odrzekł Ulman.

– Dziś w nocy! – wykrzyknął Dragosz, przypomniawszy sobie, że Ilia w ciągu nocy był nieobecny.

– Zrabowano willę niedaleko stąd położoną. Stróż jest raniony.

– Śmiertelnie?

– Nie, ale ciężko.

Dragosz skinął ręką na znak milczenia i zamyślił się.

Co zrobić? Trzeba działać, a nie zbywało mu na siłach do działania. Wiadomość dodała mu bodźca. Siły wracały, mógł już stać i iść, nie szukając podpory. Pod wpływem nerwowego wstrząśnienia krew napłynęła mu do twarzy.

Trzeba działać – lecz jak? Czy czekać na powrót Ilii – a raczej Ladki – i uwięzić go natychmiast? Zdawało się, że tak będzie najrozsądniej, bo nie mogło już być wątpliwości, co do winy mniemanego rybaka. Tajemnica, jaką się otaczał, i to imię, które głos publiczny nadawał przywódcy rozbójników; jego nieobecność ostatniej nocy – wszystko dowodziło jasno, że Ilia jest poszukiwanym bandytą.

Ale ten bandyta ocalił mu życie! I to właśnie w dziwny sposób gmatwało całą sprawę.

Czy można uwierzyć, że złodziej, bandyta rzuca się do wody na ratunek obcego człowieka? A jeżeli tak jest istotnie, czy może on, Dragosz – w taki sposób odplacić zbawcy za swe ocalenie? Po cóż się śpieszyć z uwięzieniem? Teraz, kiedy fałszywy Ilia jest już zdemaskowany, nie uda mu się wymknąć z rąk policji, rozstawionej wzdłuż rzeki. A w razie potrzeby można zgromadzić większą liczbę ludzi i uwięzić przestępcę, z zupełnym bezpieczeństwem.

Dragosz roztrząsał pilnie tę sprawę i własne sumienie. Odejść nie zobaczywszy się z Ilia? Czy też zostać, ukryć Ulmana w kabinie i kiedy rybak powróci, rzucić się na niego bez słowa objaśnienia? Nie! Tego nie mógł uczynić. Zapłacić zdradą za ocalenie życia, do tego Dragosz nie czuł się zdolny. Lepiej rozpocząć ściśle śledztwo, choćby to miało dać złoczyńcy możliwość uratowania się.

Jeżeli śledztwo wykaże niezbitą winę Ilii, jeżeli Dragosz będzie musiał go uwięzić – uczyni to przynajmniej uczciwie, jawnie, na zasadzie poszlak, które go wprowadzą na ślad przestępcy.

Powziąwszy postanowienie, Dragosz wszedł do kabiny. Napisał na kartce, że nieprzewidziany wypadek zmusza go do odejścia i prosił, ażeby Ilia czekał na jego powrót przez dwadzieścia cztery godziny. Skończywszy pisanie, wyszedł z kabiny i zapytał Ulmana:

– Ilu ludzi mamy w pobliżu?

– Dwóch pod ręką, ale przed wieczorem będziemy mieli dziesięciu.

– To dobrze. Czy to miejsce, gdzie spełniono zbrodnię, jest niedaleko?

– Dwa kilometry stąd – objaśnił Ulman.

– Zaprowadź mnie tam zaraz – odpowiedział Dragosz i wyskoczył na ląd.

ROZDZIAŁ IX

Przygoda Dragosza.

Karpaty w północnych Węgrzech ciągną się długim pasmem, które zakreślając łuk, od zachodu rozdziela się na dwa rozgałęzienia.

Jedno kończy się nad Dunajem koło Preszburga, drugie dochodzi do rzeki w pobliżu Granu i ciągnie się nad brzegiem, zakończone górą Pilis, wysoką na siedemset sześćdziesiąt sześć metrów.

U stóp tej góry stała willa, w której dopuszczono się rabunku. Tam Dragosz poraz pierwszy miał się zetknąć ze złoczyńcami, których ścigał.

Tego samego ranka, kiedy wezwany przez Ulmana, Dragosz opuścił potajemnie łódź Ilii, wóz ładowny zatrzymał się przed nędzną gospodą, stojącą u podnóża pagórków, które od góry Pilis ciągną się do Dunaju.

Miejsce na gospodę było obrane trafnie. Stała ona przy skrzyżowaniu się trzech dróg: jednej prowadzącej na północ, drugiej wiodącej na południo-wschód i trzeciej, dążącej ku północo-zachodowi. Wszystkie trzy drogi dochodzą do Dunaju. Droga północna w miejscu gdzie Dunaj okrąża łukiem górę Pilis, – południowo-wschodnia w miasteczku św. Andrzeja, – północno zachodnia w mieście Granie. Gospoda stojąca na rozstaju tych dróg, musiała miewać licznych gości.

Dunaj pod Granem płynie z zachodu na wschód i skręca na południe w pewnej odległości od wpadającej doń rzeki Ipoli, a potem zawraca ku północy, zakreślając wyraźne półkole. Ale wnet zwraca na miejscu i płynąc od północy na południe, nie zmienia już kierunku na bardzo znacznej przestrzeni.

Kiedy wóz zatrzymał się przed gospodą, słońce zaledwie zaczynało wschodzić. Wszyscy spali w domu, w którym ciężkie okiennice szczelnie były pozamykane.

– Hej! tam! gospodarzu! – zawołał jeden z dwóch ludzi, którzy szli przy wozie.

– Zaraz idę! – odpowiedział gospodarz, rozbudzony hałasem.

Po chwili ukazała się głowa w oknie na pierwszym piętrze.

– Czego chcecie? – zapytała głowa wcale nieuprzejmie.

– Najpierw jeść, a potem spać – odrzekł woźnica.

– Zaraz idę – powtórzył gospodarz i znikł we wnętrzu.

Kiedy przez otwartą bramę wóz wtoczył się na podwórze, woźnica i jego towarzyszy wyprzęgli z pośpiechem konie, wprowadzili je do stajni i dali im suto obroku. Gospodarz tymczasem krążył wokoło przybyłych gości, miał on wyraźnie chęć nawiązać rozmowę, ale przybysze nie kwapili się z odpowiedziami.

– Przyjechaliście wcześniej, przyjaciele – zaczął gospodarz. Jechaliście pewnie całą noc?

– Być może – mruknął jeden z gości.

– I daleko jedziecie?

– Daleko, czy blisko, to nas tylko obchodzi – padła niechętna odpowiedź.

Gospodarz zraził się szorstkością mowy.

– Czemu fukasz na tego pocziwca, Vogel? – odezwał się drugi przybysz, który dotąd milczał. – Nie potrzebujemy kryć się z tem, że jedziemy do Św. Andrzeja.

– Wiadomo, że nie potrzebujemy kryć się – odburknął Vogel – ale to nas tylko obchodzi, dokąd jedziemy.

– Rozumie się! – potwierdził gospodarz, pochlebca jak każdy handlujący. – Ja pytałem tylko tak sobie, byle mówić... Panowie pewnie zechcą co zjeść?

– Tak – odrzekł człowiek mniej oburkliwy. – Dajcie nam chleba, słoniny, co macie w domu.

Wóz musiał zdaleka jechać, bo obaj przybysze pożywiali się długo i obficie. Zmęczeni byli mocno i zaledwie przełknęli ostatni kąsek, pośpieszyli na spoczynek. Jeden układował się na słomie obok koni, drugi na wozie pod płócienną budą.

Wstali dopiero w południe. Zażądali znowu jedzenia, które im podano tak samo w głównej sali gospody. Wypoczęci, siedzieli długo przy stole; na zakończenie uczty wychylili mnogie miarki wódki, którą łykali jak wodę.

Popołudniu zatrzymywało się w gospodzie mnóstwo wozów i liczni przechodnie wstępowali na kieliszek wódki. Po większej części włościanie, z zawiniątkiem na plecach i kijem w rękę, idący do Granu lub powracający z niego. Wszyscy dobrze znajomi, przepijali do gospodarza, wśród przyjacielskiej gawędy. Przy gawędzie najlepiej idzie handel: zasycha w gardle i trzeba je wciąż odwilżać.

Tego dnia szczególnie nie brakło tematu do gawęd. Napad dokonany w nocy zamącił wrzystkim w głowach. Wiadomość tę przynieśli pierwsi przechodnie, a każdy dodawał nowe szczegóły i swoje zdanie.

Gospodarz dowiedział się, że wspaniała willa hrabiego Hagenau, o kilkaset kroków od Dunaju położona, została doszczętnie zrabowana, a stróż ciężko raniony. Zbrodnię tę przypisywano bandzie złoczyńców, dopuszczającej się oddawna napadów, bandzie nieuchwytniej, której zbrodnie uchodziły dotąd bezkarnie. Mówiono też, że na koniec policja wyruszyła w pole, a oddział świeżo sformowany do nadzoru nad rzeką, przetrząsa całą okolicę.

Obcy ludzie nie mieszały się do rozmowy; siedzieli milcząc na uboczu, ale słuchali pilnie co mówiono. Koło szóstej ucichły rozmowy, porozchodzili się goście i tylko ci dwaj pozostali w gospodzie.

Gospodarz mył kieliszki na bufecie, gdy go zawołali do siebie. Przybiegł spieszenie.

– Czego panowie sobie życzą? – zapytał uprzejmie.

– Wieczery – odrzekł krótko woźnica.

– A potem zapewne noclegu? – zagadnął gospodarz.

– Nie, mój przyjacielu – objaśnił grzeczniejszy z przybyszów. – Chcemy wyruszyć na noc...

– Na noc? – powtórzył zdumiony gospodarz.

– Chcemy o świcie stanąć na targu w Świętym Andrzeju albo w Granie. Zależać to będzie od wiadomości, którą ma nam przynieść towarzysz, wyprawiony na zwiady. Dowie się, gdzie znajdziemy lepszy zbył na towary.

Gospodarz poszedł przygotować wieczerzę.

– Słyszałeś, Kaiserlick? – szepnął młodszy z przybyszów, nachylając się do towarzysza.

– Słyszałem?

– Już się wydało...

– Nie myślałeś chyba, że się to uda zataić?

– I policja już wyruszyła na obławę...

– Niech łowi!
– Zdaje się, że pod dowództwem Dragosza?
– To znowu co innego. Zdaje mi się, że ci, co się obawiają Dragosza, mogą spać spokojnie.
– Cóż to znaczy?
– To, co mówię...
– Więc Dragosz?
– Dowiesz się jutro o wszystkim. A teraz, cicho! – zakończył, ujrawszy wchodzącego gospodarza.

Człowiek, na którego czekali, przybył dopiero wieczorem. Zawiązała się ożywiona rozmowa.

– Mówili tu ludzie, że policja wpadła już na ślad – zaczął przyciszonym głosem Kaiserlick.

– Niech sobie szuka; nic nie znajdzie.

– A Dragosz?

– Nakryty.

– Kto go nakrył?

– Ticza.

– Dobra nowina! A my co zrobimy?

– Zaprzągajcie zaraz.

– I jedziemy?

– Do Świętego Andrzeja, ale ujechawszy kilkaset kroków, zawrócimy. Przez ten czas gospodę zamkną na noc. Przejedźcie niepostrzeżeni i zawróćcie drogą na północ. Będą tu myśleli, że pojechaliście do Świętego Andrzeja, a wy skręcicie w przeciwną stronę.

– A gdzie stoi berlinka?

– W zatoce, pod górą Pilis.

– Tam się mamy stawić?

– Nie, trochę bliżej, na polance, w lewo od gościńca. Znacie tę polankę?

– Znamy.

– Jest tam już piętnastu naszych. Złączycie się z nimi.

– A ty?

– Wracam zebrać ludzi, których zostawiłem na straży. Przyprawdżę ich na polankę.

– Więc ruszajmy w drogę! – zawołali obaj towarzysze.

W pięć minut potem wóz już wyjeżdżał z podwórza gospody. Gospodarz, przytrzymując bramę, żegnał uprzejmie gości.

– Jedźcie do Granu? – zapytał.

– Nie! do Świętego Andrzeja, gospodarzu.

– Szczęśliwej podróży! – zawołał gospodarz.

– Dziękujemy, gospodarzu.

Wóz zakręcił na prawo i pojechał gościńcem na wschód. Kiedy już znikł w ciemnościach, towarzysz, na którego czekali przybysze, wyruszył także, lecz w przeciwną stronę, do Granu.

Gospodarz nie zauważył tego; nie myśląc już o gościach, których pewnie nie zobaczy nigdy, pozamykał bramy i poszedł na spoczynek.

Wóz tymczasem ujechał stępa kilkaset kroków, i zawróciwszy, skierował się w przeciwną stronę. Kiedy mijał gospodę, była już zamknięta i byłby się przemknął niewidziany, gdyby

nie pies, śpiący na drodze, który uciekł, szczekając tak gwałtownie, że koń idący na przedzie przeląkł się i skoczył w bok na sam brzeg gościńca. Woźnica skierował go zaraz na środek, wóz potoczył się i znikł w ciemności po raz drugi.

Około pół do jedenastej zjechał z gościńca i zanurzył się w las, czerniejący na lewo. Ale wnet stanął, bo w ciemnościach rozległo się wołanie:

– Kto idzie?

– Kaiserlick i Vogel! – odpowiedzieli przybysze.

– Jedźcie! – rozkazał głos.

Minąwszy pierwsze drzewa, wóz wyjechał na polankę, gdzie spało piętnastu ludzi, wyciągniętych na trawie.

– Dowódca jest? – spytał Kaiserlick.

– Niema go dotąd.

– Kazał nam tu czekać na siebie.

Nie długo trwało czekanie. W pół godziny po przyjeździe wozu dowódca – ten sam człowiek, który przyszedł był wieczorem do gospody – wrócił, prowadząc dziesięciu towarzyszków.

– Czy są już wszyscy? – zapytał.

– Wszyscy – odrzekł Kaiserlick, który miał pewną władzę w bandzie.

– A Ticza?

– Jestem! – odezwał się głos w ciemnościach.

– No i co? – zagadnął wódz z niepokojem.

– Udało się wszystko. Mamy już ptaszka w klatce, na pokładzie berlinki.

– Jedźmy, a żwawo! – rozkazał wódz. – Sześciu wywiadowców przodem, reszta w tylnej straży, wóz pośrodku. Dunaj tuż: wyładujemy towar w mgnieniu oka. Vogel odprowadzi potem wóz, a ci, co są z tej okolicy, powrócą spokojnie do domu. Reszta wsiądzie na berlinkę.

Mieli już ruszyć, kiedy nadbiegł jeden z postawionych na straży ludzi.

– Baczność! – zawołał tłumiąc głos.

– Co się stało? – zagadnął dowódca.

– Słuchajcie!...

Wszyscy nastawili uszu. Na gościńcu słyhać było odgłos maszerujących ludzi. Potem odezwały się głosy, niedaleko, o kilkaset kroków zaledwie.

– Stać na miejscu! – zakomenderował herszt. – Miną nas, nie widząc.

– Idący mogli nas minąć – mówił – nie dojrzawszy nic w ciemnościach, lecz jeżeli to był oddział policji, to idąc gościńcem, musiał skierować się ku rzece i mogą nie dojrzeć na wodzie berlinki ukrytej z wielką ostrożnością. A choćby ją nawet policjanci zobaczyli, mogą zrewidować całą i nic nie znaleźć. Lecz może się zdarzyć i tak, że policja chcąc zrobić zasadzkę zostanie na miejscu, a w takim razie niebezpiecznie wyprowadzać wóz z gęstwiny. Wreszcie postąpi się stosownie do okoliczności. Jeżeli zmuszeni będziemy przepędzić w kryjówce cały dzień następny, to jutro w nocy podsuniemy się do rzeki i przekonamy się, czy niema tam policji...

– Na razie idzie o to, by nas nie wykryto i by nie obudzić czujności zbliżającego się oddziału.

Wkrótce oddział doszedł do tego miejsca, gdzie gościniec szedł równolegle do polanki. Mimo ciemności, można było dojrzeć, że składał się z dziesięciu ludzi, a charakterystyczny szcęk zdradzał, że to ludzie zbrojni.

Mijali już polankę, gdy koń przy wozie zestraszony odgłosem maszerujących ludzi, zarżał donośnie, na co jego towarzysz odpowiedział także rzeniem.

Idący stanęli.

Był to rzeczywiście oddział policji, pod dowództwem Dragosza, który już wydobrzył po wczorajszej kąpieli.

Gdyby ludzie, ukryci na polance, wiedzieli o tem, zaniepokoiliby się mocno. Ale ich dowódca pewny był, że Dragosz jest obezwładniony, a na jakiej zasadzie opierał tę pewność, okaże się zaraz.

Kiedy tego samego dnia rano Dragosz wysiadł na brzeg, gdzie go czekał Ulman, poszedł z nim w górę rzeki. Uszedłszy kilkaset kroków, zastali ukryte w nadbrzeżnych trzcinach czółno, którym przeprawili się na drugą stronę rzeki.

– Więc to na tym brzegu spełniono rabunek? – zapytał Dragosz.

– Tak.

– A czy daleko stąd?

– W górze rzeki, w okolicach Granu.

– Co?! W okolicach Granu?! – zawołał Dragosz. – Mówiłeś mi, że to niedaleko.

– Najwyżej trzy kilometry – objaśnił Ulman.

Ale okazało się, że to nie trzy, lecz cztery kilometry, a taka przechadzka była nad siły człowieka, który niedawno wywinął się od śmierci. Dragosz musiał przystawać, odpoczywać, kłaść się na ziemi dla złapania tchu i dopiero o trzeciej popołudniu dowlókl się do willi hrabiego Hagenau.

Ale gdy już się dostał na miejsce, odpoczął i pokrzepiwszy się winem, odzyskał siły i rozpoczął zaraz badanie odźwiernego. Człowiek ten już opatrzony przez lekarza, leżał bladej, z zamkniętymi oczami i ledwie oddychał. Pomimo ciężkiej rany, sięgającej do płuc, mógł się wyleczyć, lecz pod warunkiem, by go pozostawiono w spokoju. Dał jednak pewne wyjaśnienia, choć głosem stłumionym i z wielkim wysiłkiem. Dragosz dowiedział się od niego, że banda złożona z sześciu ludzi, wyłamawszy drzwi, wtargnęła nocą do willi. Odźwierny, zbudzony hałasem, porwał się z łóżka, lecz zaraz padł ugodzony sztyletem w plecy. Nie wie co się dalej stało, nie może dać żadnych szczegółów o napastnikach, oprócz tego jednego, że dowódcą był jakiś «Ladko», bo słyszał jak inni wymieniali to imię. Ów Ladko, zamaskowany, był dobrego wzrostu, miał bujną jasną brodę i jasne włosy.

Ten szczegół stropił Dragosza. Nie podlegało wątpliwości, że Ilia miał z natury włosy jasne, tylko ufarbowane na czarno. Lecz farby nie można zdjąć z włosów tak, jak się zdejmuje perukę. Dragosz zamyślił się, szukając rozwiązania tej zagadki...

Pozostawały jeszcze do zbadania inne szczegóły. Dowiedziano się od odźwiernego, że Willa hrabiego Hagenau miała wspaniałe umeblowanie, dużo sreber, artystycznych drobiazków i kosztowności, cenne obrazy na ścianach, przepyszne meble i drogie makaty starożytne. Złoczyńcy zebrali bogate łupy, bo cała willa została spustoszona i obrabowana. Na ścianach widniały puste miejsca po obrazach, z rozbitej kasy wybrano wszystko.

– Nie unieśli tego na plecach – pomyślał Dragosz, oglądając dokonane spustoszenia. Starczyło im do naładowania wozu. Trzeba zatem wytropić wóz...

Na tych badaniach i oględzinach minął cały dzień, noc się zbliżała, należało się śpieszyć, by znaleźć ślad wozu, zanim się ściemni... Oddział Dragosza wyszedł na poszukiwanie.

Nie potrzebował szukać daleko. Na obszernym dziedzińcu willi koła wozu pozostawiły wyraźne ślady; przed wyłamanymi drzwiami ziemia była podeptana przez kopyta koni, które tam musiały stać długo.

Dragosz obejrzał bacznie to miejsce, a potem wyszedł z dziedzińca na gościniec, po którym uszedł paręset kroków i zawrócił.

- Fryderyku! – zawołał, wchodząc na dziedziniec.
- Jestem na rozkazy! – odezwał się agent, wychodząc z willi.
- Ilu mamy tu ludzi?
- Jedenastu.
- Mało – zauważył Dragosz.

– A jednak odźwierny utrzymuje, że napastników było tylko sześciu.
– Odźwierny wie jedno, a ja wiem drugie – odrzekł Dragosz. – Ale musimy zadowolnić się tymi, których mamy. Zostawisz tu jednego człowieka na straży, a dziesięciu pójdzie z nami. Będzie nas razem dwunastu. To już coś znaczy.

- Czy pan znalazł jakie ślady? – zapytał Ulman.
- Wiem już gdzie są nasi rabusie, a przynajmniej, w którą stronę poszli...
- Czy mogę spytać?... – zaczął Ulman.

– Skąd wiem? – odpowiedział Dragosz. – To bardzo proste. Rabusie zabrali stąd za dużo, żeby obejść się bez wozu; szukałem więc śladu kół i znalazłem, Wóz o czterech kołach, zaprzężony w parę koni, a koniowi idącemu przodem brak jednego gwoźdźca w podkowie, u prawej tylnej nogi. Wczoraj deszcz padał i na mokrej ziemi odcisnęły się wyraźne ślady. Wóz z willi skręcił na lewo, to jest w kierunku przeciwnym niż Grań. Pójdziemy za tym tropem. Prawdopodobnie rabusie nie jechali we dnie, musieli się gdzieś przyczaić do wieczora. Okolica tu pusta i osad mało. Będziemy rewidowali każdy dom po drodze. Zbierz ludzi, bo noc nadchodzi i nasze zuchy gotowi wyruszyć w dalszą drogę.

Dopiero o pół do jedenastej ludzie Dragosza, przetrząsnąwszy bezskutecznie parę osad, doszli do miejsca, gdzie się krzyżują trzy drogi, do gospody, z której po całodziennym wypoczynku przed trzema kwadransami wyruszyli byli ludzie z wozem. Dragosz zastukał gwałtownie do drzwi gospody.

– W imię prawa! oznajmił donośnie, gdy w oknie na pierwszym piętrze ukazał się gospodarz.

– W imię prawa?! – wykrzyknął oberżysta przerażony, ujrzawszy dom otoczony przez policję. – Cóż ja zawiniłem?

– Zejdz a dowiesz się. Ale nie zwlekaj długo! – odrzekł niecierpliwie Dragosz.

Kiedy gospodarz, napół ubrany, otworzył, Dragosz przeprowadził szybko badanie. – Czy jaki wóz przyjeżdżał tu dziś rano? Ilu ludzi go prowadziło? Czy wóz odjechał? W którą stronę?

Gospodarz odpowiadał bez wahania:

– Tak, wóz jakiś przyjechał nad ranem. Cały dzień stał w gospodzie, przyjechali na nim dwaj ludzie i wyruszyli o pół do dziesiątej, po przybyciu trzeciego, na którego czekali. Wyjechali w kierunku Świętego Andrzeja.

- Pewny jesteś, że w tamtą stronę pojechali? – nalegał Dragosz.
- Jak najpewniejszy – odrzekł gospodarz.
- Czy oni ci mówili, czy sam widziałeś?
- Sam widziałem.

Hm! – mruknął Dragosz zamyślając się, – możesz iść spać, mój przyjacielu, ale trzymaj język za zębami!

Gospodarz nie czekał na powtórzenie rozkazu. Zamknął spiesznie drzwi, a Dragosz kazał podać sobie latarnię i zbadał starannie gościniec.

Zrazu nie mógł dojrzeć nic, lecz przeszedłszy na skraj gościńca, gdzie ziemia była mniej zbita kołami wozów, zobaczył ślad podkowy, w której brakowało jednego gwoźdźca i

stwierdził, że istotnie koń ten nie poszedł ani w kierunku Świętego Andrzeja, ani do Granu, lecz prosto do rzeki, gościńcem północnym. Na tę drogę skierował Dragosz swój oddział.

Uszli przeszło trzy kilometry krajem zupełnie pustym, kiedy na lewo od gościńca odezwało się rzenie konia. Dragosz skinieniem zatrzymał oddział i zbliżył się do lasu, rysującego się niewyraźnie w ciemności.

– Kto tu jest? – zawołał donośnie.

Nikt nie odpowiedział; jeden z ludzi Dragosza, na jego rozkaz, zapalił smolną pochodnię i zobaczył wóz ruszający z miejsca. Ale jej światło nie mogło rozjaśnić głębokiego mroku w gęstwinie.

– Naprzód! – zakomenderował Dragosz, zapuszczając się w las na czele swego oddziału.

Lecz zaledwie policjanci weszli w zarośla, rozległo się wołanie:

– Ani kroku dalej, bo damy ognia!

Dragosz nie zważał na tę pogróżkę. Przy migotliwym blasku pochodni dojrzał czarną masę, otoczoną gromadą ludzi, zaraz też powtórzył rozkaz:

– Naprzód!

Policjanci posunęli się w głąb lasu. Ale pochód w gęstwinie był trudny. Nagle niewidzialna ręka wydarła pochodnię idącemu na przedzie policjantowi. Zaległa zupełna ciemność.

– Zapalić światło, Franc! – krzyknął rozgniewany Dragosz.

Gniew jego zwiększył to, że przy ostatnim błysnięciu gaszonej pochodni, zobaczył wóz ruszający z miejsca. Ale nie było mowy o pościgu. Każdy policjant miał przeciw sobie dwóch lub trzech przeciwników, i Dragosz zrozumiał – trochę zapóźno, że za małe ma siły do walki, choć nie padły jeszcze dotąd strzały z żadnej strony.

– Ticza! – zawołał jakiś głos w ciemności.

– Jestem! – odpowiedział drugi głos.

– Wóz?

– Odjechał!

– Ognia!

Dragosz zapamiętał głos i te słowa, po których zagrzmiały strzały rewolwerowe. Kilku jego agentów odniosło rany, a Dragosz, widząc że szaleństwem byłaby dalsza walka, musiał dać rozkaz odwrotu.

Policjanci cofnęli się na gościniec, gdzie zwycięzcy nie śmieli ich ścigać.

Trzeba było zająć się trzema rannymi, na szczęście lekko. Opatrzywszy ich, Dragosz odesłał ich z powrotem, pod opieką czterech towarzyszy a sam z Ulmanem i trzema pozostałymi popędził przez pola ku rzece, kierując się skośnie w stronę Granu.

Odszukali czółno, którym przed kilku godzinami przepławili się przez Dunaj, wsiedli w nie bezwzględnie i przepłynęli na lewy brzeg.

Dragosz, mimo poniesionej porażki, pewny był zwycięstwa. Nie miał już najmniejszej wątpliwości, że Ilia Brusz i słynny Ladko są jedną i tą samą osobistością i nie wątpił, że ostatnią napaść na willę wykonał jego towarzysz podróży. Zapewne po złożeniu łupu w bezpiecznym schronieniu, przywdzieje co prędzej postać rybaka, pod którą udało mu się dotąd wymykać policji. Niezawodnie, zanim dzień zaświta, Ilia powróci na łódź i będzie czekał jak uczciwy rybak na swego pasażera... Lecz pięciu odważnych ludzi zrobi na niego zasadzkę. Ci ludzie, zwyciężeni przez Ladkę i jego bandę, zwyciężą bez trudności tego samego Ladkę, gdy przybierze on na siebie postać Ilii Brusza.

Ale plan tak dobrze ułożony okazał się niewykonalny. Napróżno Dragosz ze swymi ludźmi przeszukał całe wybrzeże, nie znalazł nigdzie śladu rybaka, ani jego łodzi. Łódź znikła – a z łodzią znikł Ilija Brusz.

Dragosz poniósł powtórny porażkę i to go doprowadzało do wściekłości.

– Fryderyku! – rzekł do Ulmana. Jestem już zupełnie wyczerpany, nie mogę zrobić ani kroku dalej. Prześpijmy się tu dla nabrania sił, ale poślij zaraz którego z naszych czółnem do Granu. Wyślę przez niego telegram. Zapal latarnię, podyktuje ci depeszę. Pisz!

Ulman przygotował wszystko i pisał pod dyktandem Dragosza.

«Wczorajszej nocy dokonano napadu w okolicach Granu. Łup naładowano na statek, dokonywać ściśle nakazanych rewizji».

– To jedna – powiedział Dragosz, przerywając dyktowanie. Teraz druga.

«Rozkaz pochwylenia niejakiego Sergjusza Ladko, kryjącego się pod nazwiskiem Ilii Brusza, zwycięzcy z konkursu rybaków w Sigmaringen, obwinionego o zbrodnię rabunku i morderstwa. Pochwyconego dostawić do więzienia».

– Niech wyprawiają te telegramy natychmiast, do wszystkich gmin położonych na brzegach Dunaju – dodał jeszcze Dragosz.

A potem ułożył się do snu, już zupełnie bezsilny.

ROZDZIAŁ X

Uwięziony.

Podejrzenie, jakie powziął Dragosz, zobaczywszy podpis na fotografii, nie było zupełnie bezpodstawne, gdyż istotnie Ilija Brusz – Sergjusz Ladko, stanowili jedną osobistość.

Ale Dragosz pomylił się przypisując towarzysowi podróży zbrodnie, spełniane na brzegach Dunaju. Ladko zaś nie przypuszczał nawet, o co go posądza pan Jeger, podróżujący na jego łodzi. To jedno tylko wiedział, że jego imię i nazwisko przybrał jakiś zbrodniarz, myślał nad tem, ale nie mógł się dorożumieć w jaki sposób się to stało.

Zgnębiony narazie tą wiadomością o swoim sobowtórze, ochłonął wkrótce po pierwszym przerażeniu. Bo rzeczywiście, cóż to mogło szkodzić, że jakiś złoczyńca nosi to samo imię i nazwisko; człowiek niewinny nie ma czego się lękać,

I dlatego Sergjusz Ladko – którego odtąd będziemy nazywać właściwem jego mianem – wyprawił się poprzedniej nocy do Szalki, gdzie pod przybranem nazwiskiem Ilii Brusza obrał był sobie miejsce zamieszkania, po wyjeździe z Ruszczuku, i gdzie otrzymywał wiadomości od swojej drogiej Naczy. Lecz gdy przestały one nadchodzić, niepokój tak mu dokuczał, że zaczął szukać sposobu dostania się do Bułgarji incognito. I wtedy to wpadła mu w oczy ogłoszona w Pester Llojdzie szumna zapowiedź konkursu rybołówstwa w Sigmaringen. Wygnaniec, równie zręczny rybak jak pilot, powziął dziwaczny pomysł, którego sama niezwykłość zabezpieczała mu powodzenie.

Zapisał się do «Związku rybaków na Dunaju», pod nazwiskiem Ilii Brusza i zgłosił się jako kandydat do konkursu w Sigmaringen, gdzie dzięki swej zręczności, zdobył pierwszą nagrodę. Rozsławiwszy w ten sposób przybrane nazwisko, zapowiedział z wielkim hałasem swą podróż po Dunaju i zabezpieczony od podejrzeń policji, spodziewał się przepłynąć całą rzekę, zajmując swoją osobą nadbrzeżne miasta, ażeby potem bezpiecznie wstąpić do Ruszczuku, po wiadomości o Naczy.

Ale do powodzenia planu – niezbędnem było, by nikt pod postacią Ilii Brusza, nie poznał Sergjusza Ladko.

Za pierwszy warunek powodzenia uważał Ladko dobre odegranie przyjętej roli. Poprzysiągł sobie, że się niczem i nigdy nie zdradzi, bez względu na to, co może się stać w podróży. Drugi warunek był łatwiejszy. Ogolił wąsy, ufarbował jasne włosy na czarne i włożył ciemne okulary, które przysłoniły mu oczy. Zrobił to w nocy przed samym wyjazdem, a przed świtem opuścił już Szalkę, niewidziany przez nikogo.

Wszystko, jak wiemy, poszło według jego przewidywań. Pierwszy nieprzewidziany wypadek, zaskoczył go w Ulmie, kiedy się przekonał, że jego sława konkursowego zwycięzcy nie zabezpiecza go od nagabywań policji, więc przyjął pasażera, którego dokumenty policja uznała za dostateczne.

Ale, gdy się dowiedział, że głośny rozbójnik nosi to samo, co on imię i nazwisko, struchlał. Zrozumiał że nic na to poradzić nie może, tylko pocieszał się myślą, że policja nie zwróci uwagi na spokojnego wioślarza, który płynie, skutkiem zakładu zrobionego w Sigmaringen.

Przyszedłszy do Szalki po zachodzie słońca, wyszedł z niej przed świtem, nie widząc się z nikim. Był w domu, ale nie zastał tam żadnej wiadomości od Naczy. To uporczywe

milczenie, mogło doprowadzić do rozpacz. Dlaczego Nacza od dwóch miesięcy nie napisała ani słowa? W czasie rozruchów tak łatwo o nieszczęście; Ladko rozmyślał z rozpaczą, czy nie zapóźno przybędzie do Ruszczuku.

Ta myśl, ta obawa, gnała go i dodawała mu siły. Ona krzepiła go podczas walki z burzą, ona zagnęła do pośpiechu, gdy powracał do łodzi, niosąc wódkę dla swego przemokłego towarzysza.

Ale z niewymownym zdumieniem nie zastał już Jegera, którego pozostawił w tak groźnym stanie. Nie uspokoiła go nawet pozostawiona kartka z objaśnieniem. Co mogło skłonić pana Jegera do odejścia? Jakie interesy, tak ważne i nagłe, mógł mieć ten mieszczuch z Wiednia, w takiej pustce, zdała od miejsc zamieszkałych przez ludzi? Próżno Ladko silił się na zrozumienie tej zagadki.

Ale bez względu na powody, samo zniknięcie Jegera, miało tę niedogodność, że przedłużało podróż i tak już nazbyt długą. Gdyby nie ta przeszkoda, łódź mogłaby wypłynąć zaraz i do wieczora przebyć znaczną przestrzeń.

Pomimo silnej pokusy, Ladko postanowił czekać na powrót swego pasażera. Przyjął pewne zobowiązanie względem niego i wołał stracić cały dzień, niż złamać dane przyrzeczenie.

Na szczęście, miał dużo do roboty z uporządkowaniem łodzi i naprawieniem szkód sprawionych przez burzę.

Zaczął więc porządkować kufry poprzewracane w czasie rannych poszukiwań. Wziął do ręki tekę – tę samą, która skusiła Dragosza – i wyjąwszy z niej wizerunek Naczy, wpatrywał się w niego długo...

Wzdychając, złożył go do teki, a tekę schował do kufra, który zamknął, a klucz wsunął do kieszeni i wrócił do roboty. Ale postradał zupełnie energję. Opuściwszy ręce, usiadł na ławce zwrócony plecami do brzegu, wpatrując się smętnie w wody Dunaju... Myśli jego skierowały się do Ruszczuku.

Ujrzał swój dom, taki jaki był dawniej – a w domu żonę wesołą, śpiewającą... Nie żałował swoich poświęceń, nie żałował ofiar jakie poniósł dla dobra ojczyzny! Uczyniłby to samo po raz drugi... Ale jakaż boleść pomyśleć, że to wszystko poszło na marne! Powstanie wybuchło zawczasie i zgnieciono je niemiłosiernie... Ileż lat jeszcze sądzono Bułgarji cierpieć pod jarzmem tureckim!...

Ogarniał go lęk na myśl, że może Turcy pochwycili Naczę jako zakładniczkę – jako żonę jednego z najzawziętszych wrogów tureckich... A gdyby tak było – co z nią uczynili?

Pogrążony w bolesnych rozmyślaniach, Ladko zapomniał o wszystkim, co go otaczało, nic zatem dziwnego, że niespostrzegł trzech ludzi skradających się nad brzegiem ostrożnie i cicho. Ale jeżeli on ich nie widział, oni widzieli go dobrze, gdy łódź ukazała się na zakręcie rzeki, wszyscy trzej stanęli i zaczęli się naradzać.

Jeden z tych ludzi, był ten sam Ticza, który ze swym towarzyszem tropił w Wiedniu Dragosza, śledzącego ze swej strony Ilię podczas wycieczki do żyda, pośrednika w dostawie broni dla Bułgarów.

Ten pościg doprowadził dwóch nieznajomych do łodzi Dragosza. Postanowili zaraz skorzystać z tego odkrycia i obecnie przyszli wykonać swe postanowienie.

Zaczaili się w nadrzecznych zaroślach i stamtąd śledzili każdy ruch Ladki na łodzi. On zaś, głęboko zamyślony, nie przeczuwał nawet grożącego mu niebezpieczeństwa. A jednak było to niebezpieczeństwo bardzo groźne, ci trzej ludzie w zasadzce, byli to złoczyńcy z owej bandy grasującej nad Dunajem.

Ticza był w tej bandzie wybitnym członkiem, pierwszym po dowódcy, i jego czyny już mu wyrobiły haniebną sławę wśród towarzyszków. Obecni towarzysze jego, Sakman i Zerlany, byli to prości bandyci, narzędzia, nie głowy.

– To on! – mruknął Ticza, zatrzymując zbójów ruchem ręki.

– Dragosz?

– On sam.

– Pewny jesteś, że to on? Nie widać jego twarzy, bo siedzi odwrócony do nas tyłem – zauważył Zerlany.

– Niewieleby mi pomogło, gdybym zobaczył jego twarz, bo go nie znam – odrzekł Ticza. Widziałem go w Wiedniu tylko zdaleka i z tyłu. Ale poznaję łódź i pewny jestem, że się nie mylę.

– Więc bierzmy się do roboty! – wyrzekł Sakman.

– Tak! Nie traćmy czasu – dodał Ticza.

Wyjął z pod pachy zawiniątko i otworzył je. Tymczasem Ladko nic nie przeczuwając, nie słyszał kroków idących po trawie. Myśli jego krążyły ciągle koło Naczy i domu w Ruszczuku.

Nagle padł na niego zwój sznurów, które go oplatały na wszystkie strony, dławiąc, dusząc, oślepiając...

Porwał się z miejsca i szarpnął daremnie, chcąc wydobyć się z sieci, gdy silny cios w głowę ogłuszył go i powalił na dno łodzi; ale zanim padł, zrozumiał, że go pochwycono w wielką sieć, niewód taki, jakiego sam nieraz używał do połowu ryb na Dunaju.

Kiedy odzyskał przytomność, nie był już oplatany w sieci, lecz silnie skrępowany mocnym sznurem, nie mógł się wcale poruszać; w ustach tkwił mu knebel głuszący krzyki, oczy zasłaniała gruba przepaska.

Odzyskawszy przytomność, Ladko czuł się zupełnie oszołomiony. Co się stało? Co znaczył ten niepojęty napad? Czuł jednak, że mu nie grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo, bo gdyby napastnicy zamierzali pozbawić go życia, zabiliby od razu. Jeżeli zaś leżał tu skrępowany, widocznie szło im tylko o pochwylenie go.

Trudno było znaleźć na to odpowiedź. Rabusie nie potrzebowaliby tak starannie krępować swej ofiary, skoro jedno uderzenie noża wybawiłoby ich od razu z kłopotu, a zresztą, czyż nędzne pakunki na łodzi mogły znieść rabusiów?

Zemsta?... To również nieprawdopodobne. Ilia Brusz nie miał nieprzyjaciół; wrogowie Sergjusza Ladki – Turcy – nie domyśliliby się bułgarskiego spiskowca w skórze rybaka z Sigmaringen, a gdyby nawet to odkryli, nie dopuściliby się takiego czynu w granicach Austrii. Zresztą Turcy zabiliby go, zamiast więzić.

Roztrząsnąwszy to wszystko, Ladko, jako człowiek praktyczny, dał za wygrane dociekaniom i postanowił tylko uważać bacznie, co nastąpi i szukać sposobu wydobywania się na wolność.

Niewielkie miał pole do działania i obserwacji; zeszytniały w więzach, które krępowały całe jego ciało, ściśnięte sznurem, nie mógł nawet drgnąć, a oczy miał zawiązane tak ściśle, że nie wiedział, czy jest dzień czy noc. Tylko wyteżywszy słuch, odkrył, że leży na dnie statku, który posuwa się spiesznie, słyszał wyraźnie zgrzyt wiosel i szum wody, bijącej o ściany łodzi.

Dokąd płynie ten statek? Druga zagadka, którą rozwiązał bez trudności, zauważywszy różnicę temperatury z prawej i z lewej strony, wstrząśnienia łodzi za każdym uderzeniem wiosel dowodziły, że leży wyciągnięty w tym samym kierunku, w którym płynie łódź, i że połowa jego ciała jest w cieniu rzuconym przez burt łodzi, a druga w słońcu. Stąd prosty

wniosek, że łódź płynie z zachodu na wschód, z prądem rzeki, w tym samym kierunku, w jakim on ją prowadził.

Ci, którzy go pochwycili, milczeli uparcie; oprócz stękania wiosłarzy, opierających się z wysiłkiem na wiosłach, nie słychać było ludzkiego głosu. Podróż ta w ciszy trwała pewnie przeszło godzinę, gdy słońce padło prosto na twarz Ladki, dając tem wskazówkę że łódź zawraca na południe. Ladko nie zadziwił się. Doskonale znając rzekę, wnioskował, że płyną w tem miejscu, gdzie Dunaj okrąża górę Pilis. Pewnie potem skręcą na wschód i zaraz na północ, aż do tego miejsca, gdzie Dunaj zaczyna płynąć prosto na półwysep Bałkański.

Ale kiedy Sergjusz Ladko domyślał się, że przepływają mimo góry Pilis, wiosła zatrzymały się nagle. Łódź płynęła dalej, niesiona samą siłą prądu, a szorstki głos zawołał:

– Bierz bosak!

Dało się uczuć silne wstrząśnienie i zgrzyt, jaki wydaje łódź ocierając się o coś twardego. Ladko poczuł, że go podnoszą w górę i że przechodzi z rąk do rąk, podawany w powietrzu.

Zapewne łódź dopłynęła do większego statku, na którego pokład przeniesiono jeńca, jak pakunek, ale Ladko daremnie natężył słuch, żeby pochwycić jakie słowo, głębokie milczenie panowało, czuł tylko dotykanie twardych rąk i słyszał sapanie strażników.

Skrepowany, tarmoszony, Ladko nie mógł spokojnie rozmyślać; strażnicy wyniosłszy go na pokład, spuszczały go teraz w dół po drabinie. Ciało jego obijało się, przesuwane przez ciasne otwory, a w końcu, gdy zdjąwszy mu opaskę z oczu i knebel z ust, rzucili go na ziemię jak tłumok, usłyszał, że nad jego głową zatrząskuje się kłapa.

Długi czas minął, zanim więzień ogłuszony upadkiem odzyskał przytomność, wówczas zrozumiał, że położenie jego nie polepszyło się wcale, pomimo że odzyskał wzrok i mowę. Jeżeli mu zdjęto z ust knebel, to pewnie dlatego, że nikt nie usłyszałby jego krzyków, a ciemność panowała taka, że napróżno otwierał oczy: ciemność i ciemność nieprzenikniona. Czuł po wstrząśnieniach statku, że leży na samym jego spodzie, a nigdzie nie mógł dojrzeć najmniejszej szpary, przez którą precyzyjnie się światło, nie widział zgoła nic; nie była to ciemność piwnicy, z którą wzrok oswaja się stopniowo, była to jakaś ciemność nieprzebita, nieprzejrzana czarność, jaka musi panować w grobie.

Ile dotąd czasu upłynęło? Ladko przypuszczał, że musi już być koło północy, kiedy rozległ się bardzo daleko stłumiony hałas. Ludzie biegali, hałasowali coraz bliżej. Potem nad głowę Ladki przesuwano skrzynie, od których dzieliły go tylko cienkie deski. Wrzawa się zbliżała, słychać było rozmowę obok za ścianą jego więzienia, ale słów nie mógł rozróżnić, a potem wszystko umilkło i nieszczęśliwego więźnia, leżącego w ciemności, otoczyła głęboka cisza.

??

??

ROZDZIAŁ XI

W mocy wroga.

Kiedy Dragosz cofnął się ze swym oddziałem, zwycięzcy zostali na placu boju, gotowi do odparcia nowego napadu, a wóz szybko odjechał w stronę rzeki. Dopiero gdy zbójcka banda zapewniła się o odejściu policji, wyruszyła także z lasu na rozkaz dowódcy.

Złoczyńcy doszli wnet do rzeki płynącej w odległości tysiąca kroków. Czekał już tam na nich wóz, naprost statku, którego cielsko czerniało o kilkanaście kroków od brzegu.

Odległość była nieznaczna, a robotników dużo; bardzo prędko przeniesiono ładunek z wozu, na dwóch czółnach, na statek, który natychmiast odpłynął i znikł w mroku nocy, a zwycięzcy z polanki rozsypali się w różne strony, otrzymawszy swoją część łupu. Jedyne ślady dokonanego rabunku stanowiły skrzynie ustawione na pokładzie statku, na który wsiadło tylko ośmiu ludzi.

Właściwie ci ośmiu stanowili głośną bandę, dopuszczającą się rozbojów nad brzegami Dunaju. Reszta, to byli tylko liczni pomocnicy, zużytkowywani w miarę potrzeby, stosownie do okolicy, w której się odbywała robota. Rola ich ograniczała się do przenoszenia łupów, do trzymania straży i czuwania nad transportem zrabowanych rzeczy, dowożonych do Dunaju.

Była to bardzo sprytna organizacja. Banda miała wzdłuż całego Dunaju pomocników, których niewielu rozumiało do jakiej roboty przykłada rękę. Werbowani wśród najciemniejszej warstwy włościan, sądzili oni, że pomagają tylko przemytnikom i nie pytali o nic więcej. Nie przyszło im nawet na myśl, że może istnieć jaki związek między tym, który im wydawał rozkazy, a głośnym rabusiem Ladko, który niby ukrywając swoje nazwisko, pozostawiał zawsze jakieś osobiste dowody na miejscu spełnionej zbrodni.

Obojętność tych ludzi mniej wyda się dziwną, gdy zważymy, że wszystkie zbrodnie spełnione zostały na bardzo rozległych przestrzeniach. Najwięcej wiedziano o Ladce – rozbójniku w biurach policyjnych, do których wpływały sprawozdania z napadów na całym pobrzeżu Dunaju. W miastach zajmowano się nim także, dzięki rozgłosowi jaki mu nadały dzienniki. Ale dla wieśniaczego ludu był on złoczyńcą, jak wielu innych, o których słyszy się raz tylko w życiu.

Ludzie zebrani na pokładzie statku znali się między sobą i oni to stanowili właściwą bandę. Krążyli na własnym statku po całym Dunaju i gdy się zdarzyła korzystna sposobność, zatrzymywali się, zbierali pomocników między okolicznymi mieszkańcami, a naładowawszy zdobyty łup na statek, odpływali, by gdzieś daleko urządzić nowy napad.

Kiedy już statek napełnił się zdobyczą, płynęli do morza Czarnego, gdzie czekał umówiony parowiec. Przeładowawszy na niego łupy, «towar» ów, zdobyty morderstwami i rozbojem, zamieniał się na zwyczajny, handlowy ładunek, przeznaczony do jawnej sprzedaży w odległych krainach.

Wyjątkowo tym razem banda pozostała w pobliżu miejsca ostatniego rabunku, bo dowódca miał osobiste powody do nieoddalania się, a choć nie takie, jakie podejrzewał Dragosz, to jednak osoba słynnego ajenta nie była im obcą.

Bo przywódca bandy, poznawszy Dragosza w Wiedniu, szedł odtąd za jego tropem, ze swoimi współnikami, i statek rabusiów wyprzedzał o parę tylko kilometrów łódź Ilii. Szpiegowanie to, połączone z wielkimi trudnościami w kraju, gdzie się uwijało mnóstwo

policji, przerywało się niekiedy z konieczności, i dzięki prostemu przypadkowi, śledzący nie widzieli nigdy razem Dragosza z Ilią Bruszem. Nie domyślali się, że na łodzi przebywa dwóch ludzi nie przypuszczali nawet podobnej pomyłki.,

Urządząc ścisły nadzór nad łodzią, herszt rozbójników zamierzał dokonać wielkiego czynu. Postanowił porwać Dragosza, a mając go w swojej mocy, postawić mu warunki i traktować z nim jak równy z równym, gdyby zbójcom groziło jakie niebezpieczeństwo.

Przez kilka dni nie zdarzyła się sposobność do porwania, bo albo łódź zatrzymywała się na nocleg zablizko miejsc zamieszkałych, albo bandyci spostrzegali policjantów rozstawionych na wybrzeżu.

Dopiero dwudziestego dziewiątego sierpnia, rano, zdarzył się pomyślny zbieg okoliczności. Burza nocna, która pomogła rabusiom przy napadzie na willę, rozproszyła policjantów, czuwających nad swoim zwierzchnikiem. Może Dragosz zostanie sam, bez obrony – trzeba z tego skorzystać.

Po wysłaniu wozu ze zdobyczą, Ticza z dwoma zaufanymi ludźmi wyprawił się ku łodzi. Wiemy już, jak trzej zbójcy wywiązali się z zadania, i jak Sergjusz Ladko dostał się do niewoli, zamiast wodza policji na Dunaju, Karola Dragosza...

Ticza nie miał czasu rozmawiać ze swym dowódcą, bo musieli się śpieszyć z ukryciem skrzyń napełnionych zdobyczą, i wszyscy ludzie zebrani na pokładzie statku wzięli się żwawo do roboty.

Pownosili kufry na plecach, lub po deskach pochyło ustawionych, na pokład, co zabrało niewiele czasu. Następnie podnieśli podłogę w samym dnie statku i tam gdzie powinna była płynąć woda Dunaju, ukazał się ciemny otwór, prowadzący do drugiego, niższego przedziału. Leżały w nim całe stosy różnorodnych przedmiotów, napełniające go do połowy. Zmieściły się też z łatwością i rzeczy zrabowane u hrabiego Hagenau.

Bardzo dowcipnie było obmyślane to urządzenie. Statek przewozowy służył za mieszka nie i za kryjówkę na skradzione przedmioty. Poniżej widzialnego statku, mieścił się drugi mniejszy, którego pokład stanowił dno górnego statku. Ten drugi dolny, tak był zbudowany, że mógł nieść na sobie górny statek, utrzymując go na jedną lub dwie stopy nad powierzchnią wody. Ale tej niedogodności, która mogła zdradzić tajemnicę, zaradzono w ten sposób, że dolną część statku obciążono balastem, który go zanurzał poniżej linii wodnej, pozostawiając właściwy statek zagłębiony w wodzie o tyle, o ile zanurza się zwykle statek idący bez ładunku.

Spód statku bywał zawsze próżny, bo zamiast balastu, składano tam skradzione rzeczy, co utrzymywało potrzebną równowagę a dla obcych oczu było niewidoczne.

Tym sposobem statek, który idąc bez ładunku, zanurza się w wodzie na jedną stopę, zanurzał się w niej rzeczywiście na stóp siedem. Utrudniało to bardzo żeglugę na Dunaju i zmuszało do trzymania na statku doskonałego pilota. Ten przewodnik Jankiel Semo, żyd z Ruszczuku, znał doskonale wszystkie prądy, łachy i mielizny; pewną ręką umiał przeprowadzać statek przez niebezpieczne wiry i rafy skalne, jakie się trafiają na Dunaju.

Policja zaś mogła rewidować statek, jeżeli miała po temu ochotę, mogła mierzyć jego wysokość i głębokość zewnątrz i wewnątrz, mogła go oglądać naokoło, a nie dojrzałaby tej kryjówki podwodnej, uczeptionej pod samym środkiem dna. Jedyńm rezultatem rewizji mogło być tylko stwierdzenie, że statek idzie pusty i że się zanurza w wodzie prawidłowo, według ścisłych obliczeń.

Dokumenty statku bywały zawsze w porządku, czy płynął w dół rzeki, czy w górę, czy pusty po towary, czy z towarami. Papiery posiadał poświadczone przez władzę, a wydane na imię właściciela – pana Konstantinesko z Galaczu, i pana Meyera z Wiednia. Ale rzeczywistym jego właścicielem był... Iwan Striga.

Tak, ten sam Iwan Striga, który próżno usiłował przeszkodzić małżeństwu Naczy z Ladką, a potem znikł bez śladu. Już wtedy krążyły o nim niepochlebne wieści i posądzano go o różne przestępstwa.

Tym razem głos ogółu nie omylił się, Iwan Striga, dobrawszy sobie siedmiu łotrów, utworzył bandę i plondrował z nimi oba brzegi.

Niedość że znalazł drogę zdobycia majątku bez pracy, potrafił jeszcze zapewnić sobie bezkarność. Zamiast ukryć swe nazwisko i twarz, jak czynią pospolicci złoczyńcy, wołał przybrać cudze miano, ażeby ktoś trzeci odpowiadał za jego zbrodnie. Wszystkie podejrzenia skierował na Sergjusza Ladko.

Obmyślił to bardzo zręcznie. Przyjął nazwisko człowieka znanego i żyjącego, jeżeli go już nie ubił strzał wymierzony wówczas przez Strigę. Ale choćby Ladko nie żył, nie zmieniliby to położenia na niekorzyść Strigi, przeciwko któremu policja nie miała dowodów; gdyby zaś Ladko żył, znaleźliby winowajcę, ale w postaci człowieka cieszącego się dotąd jak najlepszą sławą, i zwróciliby się później dopiero do poszukiwania jego sobowtóra, a zanimby zdołano wyłowić i przesiać wszystkich ludzi, noszących to nazwisko, dużo wody upłynęłoby w Dunaju. Jeżeliby dobra sława Sergjusza Ladko, nie obroniła go od podejrzeń, byłoby to bardzo pomyślnem dla Strigi. Co za rozkosz, wiedzieć, że cierpi za niego ktoś niewinny i w dodatku jego wróg śmiertelny!

Wszystko składało się tedy po myśli Strigi. Głos ogólny kładł zbrodnie na karb jakiegoś Sergjusza Ladko z Ruszczuku. Pilot tego są mego nazwiska znikł bez śladu, a tymczasem zdała od Ruszczuku odkryto ślad tegoż samego Sergjusza Ladko, ukrywającego się pod nazwiskiem Ilii Brusza; Striga zaś po każdej wyprawie, ukazywał się pod własnym nazwiskiem, w rozmaitych miejscowościach, dla odwrócenia podejrzeń.

Lecz dla zupełnego bezpieczeństwa trzeba było koniecznie usunąć wszystkie kompromitujące dowody i to jak najprędzej, dlatego z takim pośpiechem przeładowano całą zdobycz z willi do kryjówki na statku. Ładowanie to słyszał Ladko umieszczony w komórce, oddzielonej tylko deską od kryjówki na skradzione przedmioty; a gdy ludzie wrócili na pokład, założyli deski i pozamykali wszystko szczelnie, pozostał znów sam w ciemności i ciszy.

Była blisko trzecia nad ranem, załoga mimo zmęczenia, nie mogła jednak odpoczywać, bo wszyscy rozumieli, że dla wspólnego bezpieczeństwa muszą odpłynąć przed świtem i oddalić się jak najprędzej od miejsca ostatniego napadu.

Kiedy wciągnano kotwicę i odpychano statek na środek rzeki, Striga wypytywał o szczegóły rannej wyprawy.

– Sam jeden siedział na łodzi – opowiadał mu Ticza. – Złowiliśmy go w sieć, jak szczupaka.

– Czy was widział?

– Nie. Siedział odwrócony tyłem.

– Nie bronił się?

– Próbował łotr, lecz uspokoilem go odrazu.

– Ale go nie zabiłeś? – zapytał żywo Striga.

– Co znowu! Ogłuszyłem tylko trochę, i skorzystałem z tego, żeby go porządnie zesnurować; jeszcze nie skończył, kiedy już zaczął oddychać, jak miech kowalski.

– A teraz?

– Leży na samym dnie, na spodzie drugiego dna, rozumie się.

– A czy może zmiarkować gdzie jest?

– Musiałby mieć spryt nielada! – roześmiał się Ticza. – Nie zapomniałem o kneblu, ani o przepasce na oczy; zdjęliśmy mu to dopiero w klatce, tam sobie może śpiewać i oglądać okolicę!...

Striga uśmiechnął się a Ticza mówił dalej.

– Choćby to, że policja pozbawiona dowódcy, straci głowę.

Ticza wzruszył ramionami.

– Znajdą drugiego.

– Może, ale nie takiego jak ten, którego mamy. W każdym razie możemy pogadać z nim. W ostateczności wymienimy go w zamian za pasporty, których możemy potrzebować. Dlatego trzeba go utrzymać przy życiu.

– Żyje przecie – mruknął Ticza niechętnie.

– A dali mu jeść?

– Do djabła! Zapomniałem o tem! – powiedział Ticza drapiąc się w głowę. Ale dwanaście godzin postu nikogo o śmierć nie przyprzypawi... Zaniose mu jedzenie, kiedy wypłyniemy na środek.. A może ty sam wolisz zanieść i obejrzeć go na własne oczy?

– Nie! – zawołał Striga żywo. Wolę, żeby mnie nie widział. Ja go znam, a on mnie nie zna. Nie chciałbym stracić tej przewagi nad nim.

– Możesz włożyć maskę.

– To na nic się nie zda z Dragoszem. On może nawet nie widzieć twarzy... Postawa, głos, wzrost, ruch, wystarczą, by poznał człowieka.

– A to dla mnie dobra nowina, kiedy ja mam mu zanosić paszę! – warknął Ticza.

– Ktoś musi przecie to robić... Zresztą, Dragosz w tej chwili nie jest niebezpieczny, a jeżeli kiedyś może się stać groźny, to my już wtedy będziemy zabezpieczeni od niego.

– Amen! – wyrzekł z namaszczeniem Ticza.

– Tymczasem – zaczął po namyśle Striga – zostawimy go w pudełku, ale nie nadługo, bo mógłby się udusić. Jutro rano, kiedy miniemy Budapeszt, przeniesiesz go do kajuty pod pokładem, mnie już nie będzie wtedy.

– Myślisz odejść? – zapytał Ticza.

– Tak – odrzekł Striga. – Wsiądę na ląd po wiadomości. Dowiem się, co mówią o naszej ostatniej sprawie i o zniknięciu Dragosza.

– A jeśli cię złapią?

– Niema obawy. Nikt mnie nie zna, a policja przecie straciła głowę. Zresztą, mogę się przedstawić pod nową postacią.

– Pod jaką?

– Pod postacią Ilii Brusza, zwycięzcy na konkursie rybackim z Sigmaringen.

– Doskonała myśl!

– Mam łódź Ilii i pożyczę jego skóry, tak samo jak Dragosz.

– A jak zażądają ryb?

– Kupię w razie potrzeby i będę sprzedawał.

– Ty na wszystko znajdziesz sposób! – wyrzekł z podziwem Ticza.

Na tem skończyła się rozmowa; statek popłynął z prądem rzeki, lekki wietrzyk wiał od północy, a że to opóźniało żeglugę, Striga kazał dla pośpiechu założyć długie wiosła.

Trzy godziny potrzebował statek na przepłynięcie dziesięciu kilometrów do pierwszego zakrętu rzeki, a potem jeszcze dwie, zanim dopłynął do miejsca, gdzie Dunaj zakręca prosto na południe. Dopiero przed samem Waitzen wiosłarze mogli odłożyć wiosła i rozpiąwszy żagle, popłynęli żwawo, popychani wiatrem.

Okolo jedenastej wieczorem statek minął Świętego Andrzeja, nie zatrzymując się wcale i popłynął do Budapesztu, oddalonego o trzydzieści blisko kilometrów.

Krajobraz zmieniał się w miarę jak się posuwali w dół rzeki. Coraz częściej ukazywały się wyspy zielone i cieniste, okrążone wązkiemi łachami, wystarczającymi dla spacerowych łodzi, lecz niebezpiecznych dla większych statków. Koryto rzeki zwęża się tu, ścieśnione między pierwszymi rozgałęzieniami Alp Noryckich a ostatnimi odnogami Karpat. Łatwo osiąść na mieliznie lub wpaść na wybrzeże, jeżeli pilot niedość uważny.

Ale statek którym dowodził Striga, był doskonale prowadzony. Na rzece zwiększał się ruch zapowiadający bliskość wielkiego miasta. Lekkie statki parowe i żaglowe, pełne podróżnych przemykały się między wyspami, a wkrótce ukazały się dymy z kominów fabrycznych na przedmieściach Budapesztu.

Wtedy stało się coś dziwnego. Na znak dany przez Strigę, Ticza wszedł do budki na tylnym pokładzie, wzięwszy z sobą jednego z towarzyszków. Po chwili wyszli obaj na pokład, wiodąc kobietę wysokiego wzrostu, z zasłoniętą twarzą i rękami związanymi na plecach. Kobieta szła, nie stawiając oporu, dała się sprowadzić pod pokład, po drabinie, a następnie do kryjówki pod podwójnym pokładem. Po jej wejściu, spuszczone i zamknięto klapę, a Ticza powrócił na górę ze swym towarzyszem, gdzie zabrali się do przerwanej roboty, jak gdyby nic nie zaszło.

Okolo trzeciej, berlinka wpłynęła do portu węgierskiej stolicy. Na prawo leży Buda, starożytne miasto tureckie, na lewo Peszt, miasto nowożytne. W owym czasie Buda miała jeszcze wszystkie cechy starożytności, które dziś postępowo tak starannie zaciera, nadając jednostajną fizjonomię wszystkim miastom, a Peszt nie dosięgnął jeszcze dzisiejszego rozwoju, który go postawił w rzędzie najpiękniejszych miast Europy.

Ale załoga statku nie zwracała uwagi na piękne widoki. Przeprowa po Dunaju w tem miejscu mogła sprowadzić nieprzyjemne niespodzianki, oczy więc wszystkich śledziły bacznie rzekę, na której krzyżowały się liczne statki. Dzięki tej barwności, Striga zawczasu dojrzał łódź, kierowaną przez czterech ludzi, zmierzającą prosto ku jego statkowi. Poznawszy że to łódź policji rzecznej, spojrział ostrzegająco na Ticzę, który spuścił się natychmiast na spód statku.

W kilka minut łódź dopędziła statek i ludzie weszli na pokład.

- Gdzie kapitan? – zapytał jeden z przybyłych.
- Ja jestem kapitanem – objaśnił Striga, wychodząc na spotkanie.
- Nazwisko?
- Iwan Striga.
- Narodowość?
- Bułgar.
- Skąd płynie statek?
- Z Wiednia.
- Dokąd?
- Do Galaczu.
- Do kogo należy?
- Do pana Konstantinesco z Galaczu.
- Ładunek?
- Wracamy próżno bez ładunku.
- A papiery?
- Proszę – odpowiedział Striga, oddając swoje dowody.

– W porządku – powiedział urzędnik, przejrawszy starannie papiery. Zajrzemy teraz na spód statku.

– Jak sobie panowie życzą – odpowiedział Striga. Zwrócę tylko na to uwagę, że od wyjazdu z Wiednia, jest to czwarta rewizja. Trochę uciążliwe!

Policjant wzruszył ramionami i nic nie mówiąc, zaczął schodzić na dno statku. Zeszedłszy z ostatniego stopnia drabiny, rozejrzał się pilnie po opustoszonej składzie i wrócił na górę. Nie domyślił się, że pod jego stopami leżało dwoje więźniów – mężczyzna w odgradzeniu z jednej strony, kobieta z drugiej – skrupowanych i kneblami zmuszonych do milczenia.

Przekonawszy się że statek pusty, policjanci nie mieli już potrzeby przeprowadzać śledztwa co do pochodzenia ładunku; odpłynęli, a statek pożeglował spokojnie w dół rzeki.

Kiedy już znikły ostatnie domy Budapesztu, Ticza i jego towarzysz zeszli znowu na dno i wyprowadzili z kryjówki kobietę, którą tam zamknęli przed kilku godzinami. Ludzie z załogi nie zwrócili nawet na to uwagi.

Kiedy noc zapadła, statek stanął na kotwicy między Ercsinem a Adony, o trzydzieści kilometrów w dół od Budapesztu, lecz z noclegu wyruszył o brzasku. W ciągu tego dnia, trzydziestego pierwszego sierpnia, statek zatrzymywał się kilkakrotnie, a Striga za każdym razem wysiadał na ląd, korzystając z łodzi zdobytej – jak myślał, na Dragoszu. Nie krył się wcale, wstępował do wiosek nadbrzeżnych, przedstawiając się mieszkańcom jako zwycięzca z konkursu w Sigmaringen i kierował tak rozmowę, by się od nich dowiedzieć wszystkiego czego potrzebował.

Ale niewiele się dowiedział. Nazwisko Ilii Brusza nie doszło jeszcze do tych okolic. W większych miastach, Mohaczu, Zemlinie, Białogrodzie, może już ludzie coś o nim wiedzieli. Ale Striga bał się narażać i wolał przepytować po wsiach, gdzie dozór policji mniej był ścisły. Na nieszczęście, chłopcy nic nie słyszeli o konkursie rybackim w Sigmaringen i niechętnie odpowiadali na pytania. Nie wiedzieli też nic o Dragoszu.

Podczas jednej z tych wycieczek Strigi, przeprowadzono Sergjusza Ladko z kryjówki statku do małej kajuty, pod pokładem której drzwi zaryglowano szczelnie. Zbyteczna była ta ostrożność, bo skrupowany więzień nie mógł się nawet ruszyć.

Od pierwszego do szóstego września czas minął spokojnie. Statek niesiony prądem wody, popychany sprzyjającym wiatrem, płynął z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na dobę. Płynąłby nawet prędzej, gdyby nie częste za trzymywanie się podczas wycieczek Strigi.

Na pokładzie Striga miał także zajęcie. Wchodził często do kajuty, położonej po przeciwnej stronie, niż kajuta Ladki, bawił tam zwykle krótko, lecz niekiedy jego pobyt trwał dłużej, a wtedy dochodziły echa gwałtownej kłótni, w której odzywał się głos kobiety. Kończyło się nieodmiennie tem, że Striga wybiegał z kajuty, miotany wściekłością, co załoga przyjmowała zupełnie obojętnie, poczem Striga wysiadał na ląd, dla uspokojenia rozszalałych nerwów.

Zwykle prowadził swoje badania na prawym brzegu, bo na lewym brzegu Dunaju rzadko się trafiają osady, a tylko jak okiem sięgnąć, rozciąga się niezmierna równina, zwana «pusztą», zakończoną w dali łańcuchem gór. Na tej «puszczy», pasą się stada słynnych węgierskich koni i bydła, ciągną się pola pszenicy i kukurydzy, roi się mnóstwo rozmaitej zwierzyny.

Dunaj tu płynie szerokim korytem, zasiany mnogimi wysepkami. Niektóre z nich są nawet dość rozległe, a rzeka zwężona, rozdzielona na dwie odnogi, ma prąd szybszy.

Wysepki te nie są uprawiane. Rosną na nich brzozy, osiczyna i wierzby na gruncie pokrytym mułem, naniesionym przez wezbraną rzekę mieszkańcy zbierają z nich tylko siano, które zwożą na łodziach do osad nadbrzeżnych i na okoliczne folwarki.

Szóstego września statek zarzucił kotwicę o zmroku, Strigi nie było na pokładzie, bo poszedł był na wywiady do małej miejsciny Karłowic, leżącej o dwadzieścia kilometrów w dół rzeki. Rozkazał swoim ludziom, by statek czekał na jego powrót, o dwie mile poniżej.

Okolo dziesiątej, był już niedaleko od swego statku. Puścił łódź z prądem i pogrążył się w myślach, na ogół przyjemnych. Jego plan udał się zupełnie. Nikt go nie podejrzewał, mógł więc wypytywać się dowoli. Prawdę powiedziawszy, niewiele się dowiedział. Ale ta nieświadomość, zupełna obojętność ogółu, były objawem pożądanym. W tej okolicy mało dotąd słyszeli ludzie o napadach rozbójniczych na Dunaju, a o istnieniu Karola Dragorsza, nikt nie Wiedział. Jego zniknięcie zatem nie zaniepokoiło ludności.

Czynność policji osłabła widocznie, być może skutkiem zniknięcia przywódcy. Od kilku dni Striga nie spotykał nikogo, w kim możnaby posądzać ajenta policyjnego i nigdzie nie słyszał o policyjnym nadzorze na rzece.

Miał więc wszelkie widoki, że statek dopłynie bez przeszkody do morza Czarnego, celu podróży, gdzie jego ładunek zostanie przeniesiony, jak zwykle na pokład parowca. Jutro miną Zemlin i Białogród i będą płynąć blisko serbskiego brzegu, dla uchronienia się od niemiłych niespodzianek. W Serbji, zajętej wojną z Turcją, władze nie zechcą tracić czasu na rewidowanie pustego statku, płynącego w dół rzeki.

Kto wie? Może to już będzie ostatnia wyprawa Strigi? Może wyjedzie w dalekie strony, i – bogaty, szczęśliwy... Myśli jego skierowały się ku uwięzionej w kabynie kobiecie...

Spojrzał na kufry w łodzi, które tak długo zastępowały łóżka Dragoszowi i Ilii. Nagle przyszło mu na myśl, że odkąd zawładnął łodzią, to jest od tygodnia, nie zbałał jeszcze, co się w nich zawiera. Postanowił uczynić to zaraz.

Przerzucił pierwszy z brzegu kufer i nie znalazł nic, oprócz bielizny i ubrania. Zamknąwszy go, zabrał się do drugiego, tak samo naładowanego ubraniami i bielizną i miał go już zamknąć, zniechęcony, gdy namacał w głębi tekę z papierami.

Wyjął ją i otworzył. Posypały się z niej różne papiery: listy i kwity, wszystkie na nazwisko Ilii Brusza, – a w końcu wypadła fotografia, w którą Striga wpatrzył się, otwierając szeroko zdumione oczy.

Nic nie rozumiał... Że papiery wszystkie były na imię Ilii Brusza, że nie było żadnego śladu nazwiska słynnego zwierzchnika policji na Dunaju – łatwo było pojąć. Ale skąd się tu wzięła fotografia Naczy z nazwiskiem Ladki?

Któż więc był prawdziwym właścicielem łodzi, że w jego ręku znalazł się ten wizerunek? Czy Dragosz, czy Ilija Brusz – czy Sergjusz Ladko? Kogóż więc Striga trzymał uwięzionego, w kajucie swojego statku?

Chcąc co rychlej wyjaśnić tę tajemnicę, położył fotografię, pochwycił wiosła i zaczął wiosłować z wielkim pośpiechem.

Wkrótce zamajaczyło przed nim w zmroku czarne cielsko statku. Przybił żwawo, wdrapał się na pokład i poskoczył do kabiny, gdzie siedział więzień. Włożył klucz i zakręcił...

Sergjusz Ladko nie miał żadnych danych, któreby mogły mu wyjaśnić tajemnicę jego uwięzienia. Kiedy po gorączkowym śnie ocknął się w swej ciemnej kryjówce, poczuł gwałtowny głód; minęło już dwadzieścia cztery godziny odkąd posilił się poraz ostatni, a pomimo wzruszeń przebytych i dręczącej niepewności, natura upominała się o swoje prawa. Chciał jeść.

Czekał czas jakiś cierpliwie, ale wreszcie cierpliwość jego wyczerpała się. Czy chcą go zamorzyć głodem? Zaczął wołać. Nikt mu nie odpowiedział. Wołał coraz głośniejszym głosem. Bez skutku. Zaczął krzyczeć, potem wrzeszczeć. Ryczał. Nic nie pomagało! Zrozpaczony, próbował wydobyć się z więzów, ale skrępowany był tak mocno, że napróżno tarzał się po podłodze, wytężając mięśnie.

W tem miotaniu się uderzył głową o coś twardego. Był to chleb i kawałek słoniny, który mu zapewne przyniesiono, kiedy spał. Ale nie łatwo mógł skorzystać z tego pożywienia, skrępowany od stóp do głowy.

Po długich wysiłkach udało mu się zjeść chleb, a potem czas znowu upływał jednostajnie w nieprzebitej ciemności i głębokiej ciszy. Niekiedy jakiś szum, jakiś szelest, niby liści poruszanych wiatrem, dochodził zdaleka; Ladko domyślił się, że statek na którym jest uwięziony, płynie po wodzie, która szemrze i pluszcze; nie mógł zmiarkować ile czasu upłynęło zanim otworzyła się znowu kłapa nad jego głową. Związane na sznurze chleb i słonina, zsunęły się na dno kryjówki.

Po pewnym czasie kłapa otworzyła się na nowo i spuścił się po drabinie jakiś człowiek, Ladko uczył że zakładają mu knebel; a więc lękano się jego krzyków, więc mógłby go ktoś usłyszeć i zdążyć na pomoc? Gdy człowiek odszedł, więzień usłyszał wyraźnie chodzenie po pokładzie nad swoją głową. Chciał krzyknąć, lecz głos nie mógł się wydobyć z zatkniętych ust... Kroki wkrótce ucichły... Niezadługo spuścił się znowu ten sam strażnik do kryjówki i zdjął Ladce knebel... Zbawcy musieli już być daleko... Nie próbował już nawet wołać o ratunek,...

Po trzecim przyniesieniu posiłku, nastąpiła dłuższa przerwa. Musiała być już noc. Sergiusz Ladko obliczył, że jego niewola trwa już czterdzieści osiem godzin, kiedy przez otwartą nagle kłapę spuszczone drabinę, po której zeszło czterech ludzi.

Nie zdążył obejrzeć ich twarzy, bo w mgnieniu oka zawiązali mu oczy, zatknęli kneblem usta i jak martwy pakunek zaczęli go sobie podawać z rąk do rąk. Czuł, że przesuwają go przez ciasny otwór – zapewne przez kłapę. Po tej samej drabinie, która mu objęła boki, gdy go spuszczano do kryjówki, wciągano go teraz do góry. Potem poniesiono go, wyciągniętego, w pozycji poziomej i rzuciwszy na ziemię, zdjęto opaskę z oczu i knebel z ust. Oślepiiony, zaledwie otworzył oczy, a już drzwi zatrasnęły się z hałasem.

Ladko obejrzał się naokoło. Było to także więzienie, lecz nieporównanie znośniejsze. Światło wchodziło przez małe okienko i dzięki temu mógł dojrzeć chleb, którego przedtem musiał szukać, macając w ciemności. Blask słońca natchnął go odwagą i położenie wydało mu się mniej rozpaczliwe. Za tem okienkiem, była wolność. Ale jak ją zdobyć?...

Długo rozglądał się po kabinie, zanim spostrzegł żelazną sztabę na ścianie, wychodzącą z pod podłogi, a sięgającą do sufitu. Zapewne spajała ona dno statku z pokładem.

Sztaba ta, choć nie miała ostrych kantów, mogła mu jednak posłużyć do przetarcia więzów. Rzecz trudna, lecz możliwa do wykonania...

Ladko z wielkim wysiłkiem doczołgał się do sztaby i zaczął piłować o nią sznur krępujący mu ręce. Silne skrępowanie unieruchomiło go całego i utrudniało tę robotę, zmuszając do kurczenia i rozprężania ciała za każdym poruszeniem. Była to praca tak męcząca, że co parę minut musiał przerywać i odpoczywać, a tarcie robiło tylko nieznaczne postępy.

Dwa razy dziennie, gdy mu przynoszono posiłek, przerywał pracę i czołgał się na środek kabiny. Przychodził zawsze ten sam człowiek, a lubo ukrywał twarz pod maską, Ladko poznawał go po szpakowatych włosach i barczystych ramionach. Zdawało się, że już gdzieś dawniej go widział.

Pożywienie przynoszono mu zawsze o tych samych godzinach, a poza tem nikt go nieodwiedzał. Ciszę przerywało tylko otwieranie drzwi w pobliżu, a wtedy dochodziły do niego głosy, męzki i kobiece; wówczas przerywał robotę, wyteżał słuch i usiłował rozeznaczyć te głosy, które wydawały mu się nie obce...

Poza tem czas schodził mu na jedzeniu. Po odejściu strażnika zabierał się zaraz do pracy. Pięć dni minęło odkąd ją rozpoczął, kiedy o zmierzchu szóstego sierpnia, rozpadł się sznur, krępujący mu ręce.

Ladko za ledwie powstrzymał się od radosnego okrzyku. Właśnie otwierały się drzwi. Strażnik wszedł i położył mu jedzenie.

Po jego odejściu, Ladko chciał przeciągnąć i poruszyć zeszywniałe członki. Z początku nie mógł ani drgnąć. Ręce i nogi, tak długo skrępowane, były zupełnie bezwładne. Lecz stopniowo ruch powrócił mu władzę i po godzinie wysiłków mógł już zapanować nad swymi członkami.

Zrobił więc pierwszy krok ku wolności. Drugi krok – to wydostać się za to okienko, przez które widział wody Dunaju. Sprzyjało mu wszystko. Noc była ciemna, i sztuki dokonałby ten, ktoby go pochwyił, bo w ciemnościach, o dziesięć kroków nie było nic widać. Zresztą, nie przyjdzie nikt do kabiny, aż jutro rano. A kiedy zobaczą, że więzień uciekł, on już będzie daleko!

Ale wielka trudność – więcej niż trudność, bo nieprzełamana przeszkoda, zatrzymała go zaraz na pierwszym kroku. Przez okienko mógł się przesunąć chłopiec niedorosły i smukły, lecz dla człowieka dorosłego i silnie zbudowanego, jak Ladko, było ono za małe. Po kilku bezowocnych próbach, osunął się zdyszany na podłogę kabiny.

Długo wpatrywał się w czarny wykrój niemiłosiernego okienka. Rozebrał się szybko i gwałtownym ruchem rzucił się jak ryba w otwór okienny, chcąc wydostać się bądź co bądź, na wolność.

Z podrapanego ciała popłynęła mu krew, zatrzeszczały kości, udało się wysunąć jedno ramię, następnie rękę, ale ulgnęło w otworze biodro i prawa ręka. Ladko uwiązał, przewieszony na zewnątrz połową ciała z żebrami ściśniętymi w ramach okienka...

Zrozumiał, że położenie jest rozpaczliwe. Może gdyby mógł wyłamać ramę okna i rozszerzyć w ten sposób otwór, zdołałby się przezeń wysunąć. Lecz nie mógł się cofnąć, bo wciśnięty gwałtownością rzutu w okienko uwiązał w niem jak w pułapce. Nie mógł wołać o pomoc. Pomimo największych wysiłków, nie mógł się wydobyć, szamotał się, lecz napróżno. Chwimi przestawał dla nabrania tchu, a potem rozpoczynał z nową siłą.

Nagle zadrżał... Zagroziło mu nowe nieprzewidziane niebezpieczeństwo!... Stało się coś, co nie zdarzyło się nigdy, odkąd pozostawał w więzieniu. W niezwyklej porze ktoś szukał omackiem klamki, włożył klucz do zamku, przekręcił, i... otworzył drzwi.

Rozbacz dodała sił Ladce. Naprężył muskuły z najwyższym wysiłkiem... w chwili, gdy się otwierały drzwi kabiny... Ladko wyrwał się z pułapki i spadł w wody Dunaju.

ROZDZIAŁ XII

W imię prawa.

Striga otworzył drzwi i zawahał się na progu. Głęboka ciemność panowała w kajucie. Nie mógł zrazu nic dojrzeć, oprócz okna, odrzynającego się jaśniejszym kwadratem na czarnym tle nocy. Więzień leży zapewne w kącie, ale trudno go dostrzedz.

– Ticza! – zawołał Striga niecierpliwie. – Podaj światło!

Ticza pośpieszył z latarnią, której migotliwe światło rozjaśniło wnętrze kajuty. Obaj złoczyńcy przebiegli ją szybko wzrokiem i spojrzeli na siebie zaniepokojeni. Kabina była pusta. Na podłodze leżały porozrywane sznury i ubranie rzucone niedbale; zresztą ani śladu więźnia...

– Wytłomacz mi... – zaczął Striga.

Ticza, nie odpowiadając, podszedł do okienka i pociągnął palcem po ramie.

– Uciekł! – odrzekł krótko, pokazując zakrwawiony palec.

– Uciekł! – wykrzyknął Striga i zaklął straszliwie.

– Ale niedawno – dodał Ticza. Krew jeszcze nie zaschła na oknie. Zresztą, zaledwie przed dwiema godzinami przyniosłem mu chleb.

– I nic nadzwyczajnego wtedy nie zauważyłeś?

– Nic! Zostawiłem go osznurowanego jak kielbasę.

– Głupcze! – ryknął Striga.

Ticza rozłożył ręce, wyrażając tym ruchem że nie rozumie, W jaki sposób udała się ucieczka, i że zrzuca z siebie całą odpowiedzialność za nią. Ale Stridze nie wystarczyło takie tłumaczenie.

– Tak, głupiec jesteś – powtórzył wściekły, wydzierając towarzyszowi latarnię, którą oświetlił wszystkie kąty kabiny. Trzeba było zrewidować więźnia i nie spuszczać się na pozory... Czy widzisz tę sztabę żelazną, wypolerowaną tarcie? Na niej przerznął on sznury, którymi miał związane ręce... Potrzebował na to kilka dni czasu... A ty nic nie widziałeś? Jak można być tak głupim!

– No! No! Możebyś już raz skończył?! – odpowiedział hardo Ticza, którego już gniew zaczynał ogarniać. Cóż to? Czy ja jestem twój pies? Jeżeli ci tak zależało na tym Dragoszu, mogłeś go sobie sam pilnować!

– I lepiej byłbym zrobił, niż spuszczać się na ciebie – odburknął Striga. Ale czy to tylko napewno był Dragosz?

– A któżby inny?

– Czy ja wiem? Wszystkiego można się spodziewać po twojem niedołęztwie! Czyś go poznał przed chwytaniem?

– Nie mogę powiedzieć, żebym go poznał – wyznał Ticza – bo siedział odwrócony do nas tyłem.

– Masz sobie!

– Ale poznałem statek! Ten sam, który mi pokazałeś w Wiedniu. Tego to jestem pewny.

– Statek! Statek! Powiedz lepiej, jak wyglądał twój więzień... Czy był dobrego wzrostu?

Sergjusz Ladko i Iwan Striga, jak już wiemy, byli jednego wzrostu, ale człowiek leżący inaczej się wydaje, niż stojący lub chodzący, a Ticza widział więźnia tylko leżącego na podłodze więzienia. Odpowiedział więc z zupełnym przekonaniem.

– Oho! Wyższy dużo od ciebie!

– Więc to nie Dragosz! – szepnął Striga, który wiedział że słynny agent jest średniego wzrostu.

Namyślał się chwilę i zapytał:

– Czy ten więzień, nie przypominał swoją powierzchownością kogo znajomego?

– Kogo znajomego? – powtórzył Ticza. – Nigdy w życiu!

– Naprzykład Ladkę?

– A to pomysł! Skądżeby Dragosz miał być podobny do Ladki?

– A jeśli to nie był Dragosz?

– To nie był i Ladko, którego przecie znam tak dobrze, że nie mógłbym się omylić.

– Odpowiadaj na moje pytania! – ofuknął go Striga. – Mów, czy nie był do niego podobny?

– Śni ci się chyba! – upierał się Ticza. – Więzień nie miał zarostu, a Ladko nosi brodę.

– Łatwo ją ogolić – zrobił uwagę Striga.

– Prawda... Ale więzień miał okulary...

– Striga zniecierpliwiony wzruszył ramionami i zapytał:

– A włosy? jasne, czy ciemne?

– Czarne – odrzekł stanowczo Ticza.

– Napewno?

– Napewno.

– Więc to nie Ladko!... – szepnął Striga. A w takim razie, to chyba Ilia Brusz...

– Ba! – zawołał oszołomiony Ticza. – Jeżeli to nie był ani Dragosz, ani Ladko, mniejsza o to, że zemknął.

Striga nie odpowiedział; zbliżył się do okienka i wyrzwał, lecz nic nie mógł dojrzeć w ciemnościach.

– Jak dawno mógł on uciec? – szepnął.

– Najwyżej dwie godziny temu – objaśnił Ticza.

– Jeżeli uciekł od dwóch godzin, musi już być daleko – warknął Striga, z trudnością hamując uniesienie.

Po namyśle zaś dodał:

– Nic już nie można na to poradzić. Noc zanadto ciemna. Kiedy uciekł – szczęśliwej podróży! My ruszymy przed świtem, żeby jak najprędzej minąć Białogród.

Zamyślił się, wyszedł z kajuty, nic nie mówiąc i poszedł do swojej kajuty, położonej na drugiej stronie statku. Ticza nadstawił ucha. Zrazu było tam cicho, lecz wkrótce, z poza drzwi zamkniętych, zaczęły dochodzić wybuchy gniewnych głosów. Ticza wzgardliwie wzruszył ramionami i poszedł spać.

Źle jednak uczynił Striga, że nie zarządził natychmiastowych poszukiwań. Nie byłyby może daremne, bo więzień nie zdążył się jeszcze oddalić.

Usłyszawszy zgrzyt klucza, obracającego się w zamku, Ladko rozpaczliwym wysiłkiem wyrwał się z okienka i padł głową w wodę, która się nad nim zamknęła. Kiedy wypłynął na powierzchnię, bystry prąd wody odepchnął go już dość daleko od miejsca upadku. Miał więc otwartą drogę przed sobą...

Powierzył się prądowi, który unosił go szybko. Postanowił płynąć tak czas jakiś i dopiero dalej skierować się do brzegu. Wylądował wprawdzie zupełnie nagi, ale na razie chciał tylko jak najprędzej oddalić się od swego więzienia. Wyszedłszy na ląd, obmyśli co dalej czynić. Nagle wśród ciemności ujrzał przed sobą ciemne zarysy łodzi. Była to przyholowana do statku jego własna łódź, którą prąd wody wykręcił i wysunął naprzód. Ladko uchwycił się steru i zawisł na nim nieruchomy.

W ciszy nocnej dochodziły do niego głosy rozmawiających na statku. Zapewne spostrzeżono jego ucieczkę. Wisiał uczepiony u rudła i tylko głowę wysunął nad wodę.

Głosy rozlegały się coraz donośniej, potem umilkło wszystko i cisza zapanowała głęboka. Ladko dźwignął się z wody, wspiął na burt łodzi i wsunął się do budki na pokładzie. Nadśluchował bacznie. Głęboka cisza naokoło...

W budce jeszcze ciemniej było niż na pokładzie, Ladko macał przed sobą, szukając swoich rzeczy. Wszystko znalazł na miejscu, nietknięte, tylko kufrы pootwierane... Lecz i stamtąd nic nie zginęło. Znalazł nawet nóż tam gdzie go kładł zwykle... Wziął nóż, otworzył i zaczął posuwać się ku dziobowi łodzi...

Co za podróż! Otwierając szeroko oczy, wbite w niezgłębioną ciemność, wstrzymując oddech, przystając za każdym głośniejszym pluśnięciem fali, czołgał się z dziesięć minut zanim doszedł do celu, ale wreszcie dostał się do liny, która łączyła jego łódź ze statkiem. Pochwycił ją i przeciął.

Lina padła z łoskotem w wodę. Ladko z bijącym sercem osunął się na dno i słuchał...

Nikt się nie poruszył na statku – nikt nie usłyszał pluśnięcia wody. Więzień dźwignął się ostrożnie i zobaczył, że już jest daleko od swoich wrogów. Prąd wody odepchnął łódź, która płynęła szparko w dół rzeki. Pomiędzy łodzią a statkiem czerniała nieprzebita zasłona nocy.

Widząc że mu już nie grozi niebezpieczeństwo, Ladko pochwycił wiosło i zaczął popychać łódź z wielkim pośpiechem. Dopiero wtedy uczył że drży z zimna i postanowił się ubrać. Znalazł na miejscu bieliznę i odzież, a ubrawszy się, powrócił do wiosłowania.

Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, wiedział tylko że musi płynąć z biegiem wody, i postanowił wiosłować całą noc, ażeby się oddalić jak najwięcej od wrogiego statku. Gdy dzień zaświta, zatrzyma się w pierwszej spotkanej osadzie lub mieście.

Nagle wśród ciszy nocnej doleciał go zdaleka krzyk kobiety, a potem zapanowała znowu głęboka cisza i łódź popłynęła dalej, uciekając z biegiem Dunaju. Ale ten krzyk, prześladował długo Ladkę. Nacza przyszła mu na myśl, bo głos przypominał mu głos żony... Lecz odegnał od siebie przywidzenie i wiosłował dalej zawzięcie.

Musiała być blisko północ, gdy na brzegu zamajaczyły zarysy wioski, której Ladko nie mógł rozeznaczyć, więc minął ją nie zatrzymując się wcale. W parę godzin później, o samym świcie, zobaczył znowu miasteczko i minął je tak samo. Za tem miasteczkiem, zaczęła się pustka. Dzień wstawał, coraz jaśniejszy.

Gdy już zrobiło się zupełnie widno, Ladko poprawił braki swego przebrania, ufarbował włosy, ogolił puszcujący się zarost i założył na nos nowe okulary. Po skończeniu toalety zabrał się do wiosłowania.

Kiedy niekiedy oglądał się za siebie, ale nie widział nic podejrzanego; nieprzyjaciele zostali daleko.

Pogrążył się w myślach, usiłując dojść, kto byli ci wrogowie, przed którymi musiał uciekać? Co im zawinił? Dlaczego trzymali go w tak srogim więzieniu? Ale choć nie mógł nic odgadnąć, to jedno wiedział, że musi wystrzegać się spotkania z nimi, a to utrudniało jego podróż, chyba że zdecydowałby się wezwać pomocy policji w pierwszym większym mieście jakie napotkał na swej drodze.

Ale jakie to będzie miasto? Nie mógł rozpoznać okolicy płynąc między pustymi brzegami, na których tylko w rzadkich odstępach ukazywały się nędzne domostwa. Dopiero około ósmej rano, na prawym brzegu zarysowały się wysokie wieże, a w dali, po lewej stronie, ukazało się drugie miasto. Ladko zadrżał z radości. Znał dobrze to miasto. To bliżkie – to Zemlin, ostatnie miasto austriackie nad Dunajem; tamto dalsze, to Białogród, stolica Serbji, położona w miejscu, gdzie Sawa wpada do Dunaju.

Zemlin, to zbawienie dla Ladki; znajdzie tam opiekę i obronę. Ale czy może zażądać pomocy policji? Gdyby podał skargę, gdyby opowiedział swoją niepojętą przygodę, rozpocznie się śledztwo, którego ofiarą on pierwszy padnie. Policja zapyta kto jest, skąd przybywa – dokąd dąży – i może wykryć jego prawdziwe nazwisko; a do tego nie chciał dopuścić nigdy, w żadnym wypadku.

Ladko wiosłował spieszenie, zostawiając sobie czas do namysłu. Pół do ósmej biło na miejskich zegarach, kiedy uwiązywał łódź do żelaznego bulwarku. Uporządkował wszystko spieszenie i zastanowił się poraz ostatni: czy mówić – czy milczeć? Ostatecznie, zdecydował się na milczenie. Najlepiej będzie przespać się w budce i odpłynąć z Zemlina niepostrzeżenie, nie meldując się nikomu.

Ale na bulwarku ukazało się kilku ludzi, idących ku niemu. Weszli żwawo do łodzi, a jeden podchodząc do Ladki, który przyglądał mu się z zadziwieniem, zapytał:

– Czy pan jesteś Ilia Brusz?

– Tak, ja jestem Ilia Brusz – odpowiedział rybak zaniepokojony.

Ten który pytał, rozpiął zwierzchnie ubranie i ukazując szarfę z barwami węgierskimi, którą był przepasany, położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

– W imieniu prawa aresztuję pana!

ROZDZIAŁ XIII

Komisja śledcza.

W ciągu całego zawodu Dragosza nie zdarzyła mu się nigdy jeszcze sprawa równie tajemnicza i obfitująca w niezwykle wypadki, jak sprawa bandy rozbójników na Dunaju. Niesłychana ruchliwość tej nieujętej bandy, szybkość jej napadów, wyróżniały ją od zwyczajnych spraw rozbójniczych. I teraz znowu jej wódz, zaledwie wytropiony, znikł bez śladu, jakby się naigrawał z rozkazu aresztowania, który na niego wydano i rozesłano na wszystkie strony!

Zdawało się, że rozplątał się w powietrzu. Żadnego śladu po nim, w górze, ani w dole rzeki. Policja budapeszteńska, mimo czujnego nadzoru, nie spotkała go nigdzie. Ponieważ Dragosz nie wiedział, że teraz rolę Ilii odgrywa Iwan Striga, który miał schronienie na statku, nie mógł zupełnie zrozumieć, co się dzieje, a że Ilia minął Budapeszt, nie ulegało wątpliwości, bo po trzydziestym pierwszym sierpnia pojawił się znowu w Duna Földvár, o dwadzieści kilometrów poniżej stolicy.

Następnie dochodziły o nim wieści z Szekszardu, z Jukowaru, z Czerewiosy i Karłowic, bo Ilia Brusz nie ukrywał się wcale ze swym nazwiskiem i sprzedawał jawnie ryby.

Policja, otrzymawszy wiadomości o nim, śpieszyła i przybywała zawsze zapóźno. Dragosz rozpaczał, doprowadzony do ostateczności ciągłymi porażkami. Miałaby ta zwierzyna wymknąć mu się znowu?

Dwie rzeczy tylko nie podlegały wątpliwości. Że Ilia Brusz, płynie z biegiem rzeki i że unika większych miast, zapewne w obawie spotkania się z policją.

Dragosz zalecił jak największą czujność ludziom, porozstawianym na posterunkach, a sam obrał główną kwatery w Zemlinie. Lecz i to na nic się nie zdało. Ilia Brusz przemknął się przez Mohacz i inne miasteczka, niepostrzeżony przez władze. Dragosz rozgniewany, czując, że mu się wymyka ostatnia sposobność, zgromadził przeszło trzydzieści łodzi i statków, które odtąd krążyły dniem i nocą koło Zemlina. Bardzo zręczny musiałby być ten, ktoby się przemknął między nimi niepostrzeżony. Ale i to na nicby się nie było zdało, gdyby Ladko pozostał dłużej więźniem Strigi. Szczęściem dla Dragosza stało się inaczej.

Siódmego września rano Dragosz wybierał się popłynąć ze swą flotyllą, kiedy przybiegł agent policyjny z wiadomością że rankiem ujęto Sergiusza Ladko i osadzono w więzieniu.

Wiadomość ta rozeszła się po mieście z szybkością błyskawicy, ludzie zbierali się na wybrzeżu gromadkami i rozprawiali z ożywieniem.

Nie uszło to uwagi ludzi na statku, który około trzeciej przepływał koło Zemlina.

– Co się tam dzieje w Zemlinie? – zapytał Striga, zwracając się do Ticzy.

Popatrzył przez lunetę i zawołał:

– Niech mnie djabli porwą, jeżeli się mylę! Przecież tu stoi łódź naszego więźnia!

– Czy być może? – zawołał Striga, przykładając do oczu lunetę.

– Muszę się dowiedzieć napewno – oznajmił Striga mocno wzburzony. – Wsiądę na łódź.

– Po to, żeby cię złapali? – zauważył Ticza. – Jeżeli to łódź Dragosza, zatem Dragosz jest w Zemlinie. Iść tam, to samo, co rzucić się w paszczę wilka.

– Masz słusność! – odrzekł Striga, wchodząc do budki. – Ale spróbuję się zabezpieczyć.

W kwadrans powrócił ucharakteryzowany po mistrzowsku, ogolił brodę, przyprawił faworyty, włosy ukrył pod peruką, przepaską zakrył jedno oko i opierał się na lasce, kulejąc, jak człowiek, który wstał po ciężkiej chorobie.

– I cóż powiesz teraz? – zapytał.

– Doskonale! – pochwalił Ticza.

– Posłuchaj uważnie co ci powiem – dodał Striga. Ja zostanę w Zemlinie, a wy płyniecie dalej o dwie mile za Belgradem przybijecie do brzegu i zaczekacie na mnie. A teraz powiedz Semkowi, ażeby mnie odwiózł na brzeg.

Statek już minął Zemlin. Striga wysiadłszy w pustym polu, skierował się z wawo do miasta, i dopiero wchodząc na ulicę, zwolnił kroku, i utykając, zbliżył się do gromady ludzi, zebranych na wybrzeżu i zaczął pilnie przysłuchiwać się rozmowie.

Ale nikt tam nie mówił o Dragoszu, ani o Ilii. W ustach wszystkich było nazwisko Sergjusza Ladki. Nie tego, który był pilotem w Ruszczuku, ale Ladki rozbójnika – Ladki złoczyńcy – schwytanego w Zemlinie.

Striga nie mógł tego zrozumieć, że policja się pomyliła, i uwięziła niewinnego, zamiast prawdziwego złoczyńcy, rzecz to zwykła. Ale jaki związek miała ta pomyłka z obecnością łodzi, którą wczoraj jeszcze holował statek Strigi?

Dlaczego Striga tak gwałtownie pragnął wyjaśnić tę zagadkę? Co mu na tem zależało? A jednak postanowił zdobyć dokładne wiadomości. Sądząc z pewnych danych, zaczynał przypuszczać, że człowiek uwięziony i właściciel łodzi, byli jedną i tą samą osobistością. Postanowił więc pozostać w Zemlinie, dopóki się nie upewni co do tego.

Ale musiał się uzbroić w cierpliwość. Sędzia, który prowadził śledztwo, pan Izar Rosza, nie śpieszył się wcale. Trzy dni minęły, zanim dał znak życia! Uważał on, że samotność więzienia zbawiennie działa i osłabiając nerwy, rozbraja winowajcę, zanim jeszcze stanie przed obliczem sędziego.

Pan sędzia wykladał właśnie swoją teorię Dragoszowi, który przyszedł po wiadomości i niekoniecznie godził się z zapatrywaniem sędziego.

– Kiedyż wreszcie, zamierza pan rozpocząć śledztwo? – nalegał Dragosz.

– Jutro.

– Przyjdę więc jutro wieczorem dowiedzieć się o wyniku badania. Ale pozwolę sobie jeszcze przypomnieć panu moją prośbę.

– Żebym nie był zmuszony, stawać osobiście w tej sprawie. Tak jak mówiłem, oskarżony zna mnie jako Jegera. To może nam się później przydać. Dopiero przed sądem stanę jako świadek i wyjawię swoje prawdziwe nazwisko.

– Zastosuję się do pańskiego życzenia – odrzekł sędzia.

Ladko zamknięty w więziennej celi, czekał niecierpliwie. Ostatnia nieszczęśliwa przygoda, nie złamała jego mężstwa. Bez oporu pozwolił zaprowadzić się do więzienia; na zapytanie nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Ale cóż mogło mu nareszcie grozić? Uwięzienie zapewne wynikło z prostej omyłki, która wyjaśni się po pierwszym badaniu.

Cała bieda w tem, że na to badanie trzeba tak długo czekać. Ladko siedział samotny w więziennej celi, i tylko strażnik zaglądał do niego niekiedy przez okienko umieszczone w drzwiach. Więzień ciągle siedział na krześle, z rękami opartymi na kolanach, ze spuszczonej oczami, zimny, zamyślony, nieruchomy i obojętny. Postanowił sobie, że nic go nie wyprowadzi ze spokoju i zaczynał już prawie żałować, swego pływającego więzienia, które przynajmniej, zbliżało go z każdą chwilą do Ruszczuku.

Trzeciego dnia – nareszcie – otworzyły się drzwi i strażnik wyprowadził go z celi. Otoczony przez czterech żołnierzy z nabitemi karabinami, na których tkwiły bagnety, poszedł

długim korytarzem, potem na dół, po schodach bez końca, a na dole, przeszedł na drugą stronę ulicy, do gmachu sądowego.

W ulicy stały tłumy, które na widok więźnia, wykrzykiwały z nienawiścią, rzucając obelgi na złoczyńcę, tak długo uchodzącego przed ręką sprawiedliwości. Ladko nie zdradził się niczem, jakie uczucia obudził w nim ten wybuch nienawiści. Pewnym krokiem, spokojny wszedł do sali sądowej i stanął przed obliczem sędziego.

Sędzia, pan Izar Rosz, człowiek chorowity, z rzadką brodą, żółtą cerą, traktował oskarżonych surowo, zasypywał ich stanowczymi twierdzeniami, brutalnymi zaprzeczeniami, atakował zniechęca, usiłując natchnąć obawą, zamiast wzbudzić zaufanie.

Strażnicy wyszli. Ladko stojąc na środku pokoju, czekał na zapytania. W rogu pokoju, siedział sekretarz.

– Proszę usiąść – wyrzekł sędzia szorstko.

Ladko usiadł, a sędzia zapytał:

– Pańskie nazwisko?

– Ilija Brusz,

– Miejsce zamieszkania?

– Szalka.

– Zajęcie?

– Rybak,

– Kłamiesz pan! – wyrzekł stanowczo sędzia.

Lekki rumieniec pokrył twarz więźnia, a oczy błysnęły gniewem. Lecz pohamował się i nic nie odpowiedział.

– Kłamiesz pan! – powtórzył sędzia, – Nazywasz się Sergjusz Ladko i mieszkasz w Ruszczuku.

Pilot zadrżał, a więc odkryto jego prawdziwe nazwisko! Jakim sposobem? A tymczasem sędzia, który dostrzegł drgnięcie, mówił dalej uszczypliwie:

– Jesteś pan oskarżony o spełnienie trzech prostych kradzieży, dziewiętnastu kradzieży połączonych z gwałtem i włamaniem, trzech morderstw i sześciu usiłowań morderstwa, spełnionych rozmyślnie w ciągu trzech lat. Co możesz na to odpowiedzieć?

Nieszczęśliwy rybak słuchał zdumiony niepojętych oskarżeń. Więc to zagmatwanie, jakiego się obawiał, dowiedziawszy się od Jegera o istnieniu swego złowrogiego sobowtóra – nastąpiło teraz rzeczywiście? A w takim razie, poco przyznawać się do miana Sergjusza Ladki? Miał zamiar uczynić to przed chwilą i powierzyć swą tajemnicę dyskrecji sędziego, ale teraz uznał, że przyniosłoby to więcej szkody niż pożytku. Nie! Lepiej już utrzymywać się do końca w roli rybaka, Ilii Brusza, jako człowieka nieznanego.

– Teraz ja panu muszę powiedzieć, że się mylisz – odrzekł stanowczo. – Nazywam się Ilija Brusz i mieszkam w mieście Szalka. Łatwo to można sprawdzić.

– Sprawdźmy – powiedział krótko sędzia, zapisując skwapliwie notatkę. – A tymczasem zajmijmy się zbrodniami spełnionymi w czasie ostatniej podróży. Zaczniemy od Ulmu bo stamtąd zaczyna się podróż pana.

– Przepraszam panie sędzio – przerwał żywo Ladko. – Moja podróż zaczęła się o wiele dalej, bo otrzymałem dwie nagrody na konkursie rybackim w Sigmaringen.

– Tak jest oczywiście – odrzekł sędzia – ale pozostaje nam jeszcze wyjaśnić: czy pan ukazałeś się na konkursie pod fałszywym nazwiskiem, czy też podstawiliś się na miejsce wymienionego Ilii Brusza w czasie jego podróży z Donaueschingen do Ulmu?

Ladko otwierał oczy coraz szerzej, słuchając z rosnącym zdumieniem tych fantastycznych przypuszczeń. Maluczko, a sędzia gotów jeszcze doliczyć Ilię Brusza do innych ofiar jego!

Nie wiedząc co odpowiedzieć, wzruszył ramionami, a sędzia, wpatrując się w niego bystro, zagadnął znienacka:

– Co robiłeś pan w Wiedniu dwudziestego szóstego sierpnia u żyda Szymona Kleina?

Ladko drgnął mimowoli. Więc i to już o nim wiedziano! Nie było w tem nic zdrożnego, ale chcąc się przyznać, do bytności u Kleina – pośredniczącego w dostarczaniu broni dla powstańców bułgarskich – musiałby się przyznać do swego właściwego nazwiska, czego nie mógł uczynić.

– U Szymona Kleina? – powtórzył, udając że nie rozumie o co chodzi,

– Może zechcesz pan zaprzeczyć? – zapytał sędzia. – Przypuszczałem to. Więc ja panu powiem, poco tam chodziłeś. Poszedłeś porozumieć się z paserem, który kupował rzeczy zrabowane przez twoją bandę.

– Przez moją bandę! – powtórzył zdumiony rybak.

– Ale prawda! – dodał ironicznie sędzia. – Nie nazywasz się przecie Sergiusz Ladko, lecz Ilija Brusz. Tylko jeżeli tak jest rzeczywiście, poco się ukrywasz?

– A czy ja się ukrywam?

– Tak się zdaje. Bo poco zasłaniać zdrowe oczy ciemnymi okularami i farbować na czarno jasne z natury włosy?

Ladko zgnębiony, spuścił głowę na piersi, a sędzia mówił rozradowany:

– Straciliśmy trochę minę, mój chłopcze! Co? W Ulmie wzięłeś na swoją łódź pasażera.

– Prawda – przyznał Ladko.

– Jak się nazywał ten podróżny?

– Jeger.

– Doskonale. A może zechcesz mi powiedzieć, co się z nim stało?

– Nie wiem. Znikł ze statku blisko miejsca gdzie Ipoty wpada do Dunaju. Zdziwiłem się, gdym go nie zastał po powrocie.

– Po powrocie, mówisz pan? Gdzież to chodziłeś?

– Do najbliższej wsi, po wódkę dla mego pasażera.

– Czy był chory?

– Bardzo. O mało nie utonął.

– I pan go uratowałeś?

– A któż inny miał go ratować, kiedy nikogo nie było?

– Hm! – mruknął sędzia, trochę zbity z tropu.

Ale wnet odzyskał rezon.

– Zapewne chcesz pan mnie wzruszyć tą bajeczką o ratowaniu tonącego?

– Bynajmniej – odrzekł Ladko. Pan mnie pytasz, ja odpowiadam. Nic więcej.

– Dobrze. Ale powiedz mi pan jeszcze, czy nigdy przed tym wypadkiem, nie opuszczałeś łodzi?

– Raz jeden, kiedy chodziłem do domu, do Szalki.

– W nocy z dwudziestego ósmego na dwudziesty dziewiąty sierpnia?

– Może być.

– Nie przecyzysz pan temu?

– Nie.

– Przyznajesz, że to było tego właśnie dnia, a raczej nocy.

– Jeżeli pan tego żądasz...

– Szalka leży, o ile mi się zdaje, na lewym brzegu Dunaju?

- Tak, na lewym.
- Noc była ciemna?
- Bardzo. Czas okropny.
- I dlatego pewnie pomyliłeś się pan. Zamiast na lewym brzegu, wysiadłeś na prawym.
- Na prawym!
- Tak, na prawym, naprzeciw willi hrabiego Hagenau.

Ladko nic nie rozumiał, a sędzia mówił dalej:

– Tak, tak! Pan pierwszy raz dopiero słyszysz to nazwisko? Naturalnie! I nie wiesz, że właśnie tej samej nocy – z dwudziestego ósmego na dwudziesty dziewiąty sierpnia – willa hrabiego Hagenau została zrabowana, a odźwierny zraniony? Tego wszystkiego dopuściła się banda rozbójników, pod dowództwem Ladki. Ale pan nie znasz Ladki! To nie pańskie nazwisko!

– Nazywam się Ilia Brusz – wyrzekł rybak mniej pewnym głosem.

– Doskonale! doskonale! Lecz dlaczego znikłeś sam, panie Brusz, natychmiast po tym napadzie i nie pokazałeś się już nikomu, ani w Budapeszcie, ani w żadnym większym mieście nadbrzeżnym? A przedtem prezentowałeś wszędzie chętnie swoją osobę!

Na to pytanie nie mógł odpowiedzieć nieszczęśliwy rybak, bo tej samej nocy został uwięziony. Gdyby opowiedział niepojętą przygodę, której padł ofiarą, może policja potrafiłaby rozwikłać tę płataninę tajemniczą. Zdecydowany już na szczere wyznanie, Ladko czekał tylko na chwilę gdy sędzia umilknie. Ale sędzia przechadzając się po kancelarii, zasypywał go gradem słów.

– Jeżeli nie jesteś pan Sergjuszem Ladko, to skąd się wzięła na twojej łodzi ta fotografia z podpisem żony, Naczy Ladko?

Ten ostatni argument przeważył szalę; na twarz Ladki wystąpiły mu wielkie krople potu.

Sędzia mówił dalej podniesionym głosem:

– Utrzymujesz pan tedy: po pierwsze – że się nazywasz Ilia Brusz. Po drugie że otrzymałeś nagrodę na konkursie rybackim w Sigmaringen. Po trzecie – że mieszkasz w miejscowości Szalka. Po czwarte – że spędziłeś u siebie noc z dwudziestego ósmego na dwudziesty dziewiąty sierpnia. Wszystkie te twierdzenia wyjaśni śledztwo. Ja zaś utrzymuję, że: po pierwsze – nazywasz się Sergjusz Ladko. Po drugie – że miejscem twego zamieszkania jest Ruszczuk. Po trzecie – że w nocy z dwudziestego ósmego na dwudziesty dziewiąty sierpnia, z pomocą współników, zrabowałeś willę hrabiego Hagenanau, przyczem zadano ciężką ranę odźwiernemu. Po czwarte – że liczne napady i rabunki dokonane w okolicach, położonych nad brzegiem Dunaju – są twojem dziełem. Co do tych spraw prowadzi się śledztwo. Powołano świadków, z którymi zostaniesz skonfrontowany. Czy zechcesz pan podpisać protokół? Nie? Wolna wola! Strażnicy! odprowadzić obwinionego do więzienia!

Ladko, wracając do więzienia, musiał znowu przechodzić przez ulicę i słuchać złorzeczeń tłumu, zionącego wściekłością.

W pierwszym szeregu tej cizby stał Striga i pożerał wzrokiem tego, który miał ponieść za niego karę. Więzień przeszedł o dwa kroki od niego, lecz Striga go nie poznał, tego człowieka wygolonego, z czarnymi włosami, w wielkich, ciemnych okularach. Wzmogło to jeszcze jego zaniepokojenie.

Stanowczo nie znał tego człowieka. Nie był to ani Dragosz, ani też rzeczywisty Ladko.

A jeżeli to był naprawdę Ilia Brusz, lub kto inny, cóż go to obchodzi? Dość, że na niego skierowała się uwaga policji. Striga nie miał już poco zatrzymywać się w Zemlinie. Postanowił wyruszyć jutro rano i dogonić swój statek.

Lecz nazajutrz zmienił postanowienie, wyczytawszy w dziennikach sprawozdanie z prowadzonego śledztwa, i wiadomość, że sędzia wysłał specjalną komisję do Granu, a stąd komisja miała dojechać do Szalki i sprawdzić szczegóły, odnoszące się do Ilii Brusza, za którego podawał się uporczywie nieszczęsny człowiek.

W głowie Strigi, po przeczytaniu tego, powstał nowy projekt. Dobrze się stało, że władze pochwyciły niewinnego, ale lepiej jeszcze będzie, gdy go zatrzymają nadal. Potrzeba tylko dostarczyć im żywego Ilię Brusza, jako dowód, że więzień posługuje się fałszywym nazwiskiem.

Striga bezwzględnie ruszył w drogę, lecz zamiast gonić swój statek, pojechał w przeciwną stronę, dalej na północ.

A tymczasem Ladko, nieruchomy i milczący, liczył smutno upływające godziny. Po rozmowie z sędzią wrócił przerażony ciężkimi zarzutami, jakie go obarczały. Pomimo niewinności, czuł że pozory są przeciw niemu i że dużo czasu upłynie, zanim zdoła się oczyścić z posądzeń. Sędzia oznajmił mu, że zarządzi poszukiwania w Szalce. Ladko nie wątpił, że zebrane tam wiadomości będą dla niego korzystne i niezawodnie wpłyną na jego uwolnienie.

Ale dni mijały, a Ladko gorączkował się, napróżno oczekując zmiany. Dopiero siódmego dnia po pierwszym posłuchaniu, wezwano go do gabinetu sędziego.

Pan Roszą siedział przy biurku i pisał. Po upływie dziesięciu minut przemówił, przyglądając się ukradkiem więźniowi.

– Mamy już wiadomości z Szalki...

– A! – odetchnął Ladko, z uczuciem ulgi.

– Miałeś pan słuszność – mówił dalej sędzia. W Szalce mieszka istotnie niejaki Ilia Brusz, cieszący się jak najlepszą opinią...

– A! – westchnął poraż drugi więzień, czując, że już otwierają się przed nim wrota więzienne.

Sędzia zaś dodał obojętnym tonem.

– Komisarz policji z Granu rozmówił się osobiście z nim samym...

– Z nim samym?... – powtórzył jak echo więzień, nie rozumiejąc co to znaczy.

– Z nim samym – wyrzekł sędzia z naciskiem,

Ladce wydało się że śni. Jakim sposobem drugi Ilia Brusz mógł się znaleźć w Szalce?

– To jakaś pomyłka, panie sędzio! – wyjąkał.

– Osądź pan sam – odrzekł sędzia. – Oto raport komisarza, który czternastego września przybywszy do Szalki, udał się do domu, położonego przy gościńcu Budapeszteńskim... Wszak taki adres mi podałeś?...

– Tak panie sędzio – potwierdził Ladko, któremu w głowie się mąciło.

– I w tym domu zastał pana Ilię Brusza – mówił dalej sędzia – a ten oświadczył komisarzowi, że powrócił dopiero po długiej nieobecności. Komisarz sprawdził, że w tej miejscowości niema drugiego człowieka, noszącego to samo nazwisko... Cóż pan na to możesz odpowiedzieć?

– Nic panie sędzio. – wyjąkał Ladko, czując, że go opuszcza przytomność.

– Mamy zatem wyjaśnienie punktu pierwszego – oznajmił z okrutną radością sędzia, przyglądając się więźniowi, jak kot złowionej myszy.

ROZDZIAŁ XIV

Między niebem a ziemią.

Po skończonym posłuchaniu Ladko powrócił do celi. Czuł, że go obłąd ogarnia. To co mu się zdarzyło, było zupełnie niezrozumiałe.

Czego od niego chcieli? Schwytyany w sieć, więziony na tajemniczym statku przez nieznanych wrogów, wymknął się im po to, by znowu postradać wolność, jako obwiniony o zbrodnie popełniane przez jakiegoś innego Sergjusza Ladko! A teraz w Szalce znajduje się drugi jego sobowtór – drugi Ilija Brusz – zamieszkały w jego własnym domu! Istne czary!

Czuł się igraszką w mocy nieznanych a wrogich potęg – obezwładniony jak bezbronna ofiara, pochwycony w nieubłagane tryby maszyny, która się zwie «sprawiedliwością».

Takie przygnębienie malowało się na jego twarzy, że towarzyszący mu strażnik wzruszył się tym widokiem.

– Złe stoi sprawa, chłopcze! – rzekł ze współczuciem, wprowadziwszy więźnia do celi.

– No! No! Nie bierz tak wszystkiego do serca! Nasz sędzia, niezły człowiek, ale lubi straszyć ludzi. Wszystko się z czasem wyjaśni, a tymczasem przeczytaj sobie dla rozrywki co się tam dzieje w twojej Bułgarji.

Dał więźniowi dziennik i zamknął drzwi. Po jego wyjściu Ladko upadł jak martwy na stołek więzienny i siedział parę godzin, nie zdając sobie sprawy z upływającego czasu. Gdy nareszcie oprzytomniał i zebrał rozproszone myśli, oczy jego padły na pozostawioną przez strażnika gazetę. Na pierwszej stronicy zobaczył napisany wielkimi literami tytuł artykułu:

«Rzezie w Bułgarji».

«W maju 1876 roku, kiedy Bułgarja zbuntowała się przeciw władzy tureckiej, Turcja zgromadziła liczną armję między Ruszczukiem, Widdyniem a Sofią. W odpowiedzi na to, pierwszego lipca, Serbja i Czarnogórze wypowiedziały wojnę Turcji, lecz po kilku porażkach cofnęły się za swoją granicę; ksiązę serbski Milan zawarł pierwszego września rozejm dziesięciodniowy i zwrócił się do mocarstw chrześcijańskich z prośbą o pomoc.

«A tymczasem, zanim mocarstwa zdecydowały się na wystąpienie, gubernator Bułgarji, Szewket basza, puścił na kraj bandy dzikich baszybuzuków i czerkiesów, sprowadzonych z Azji, chcąc stłumić z ich pomocą powstanie. Dzikie hordy rozsypały się po całej Bułgarji, paląc osady i wyrzynając w pień mieszkańców, pastwiąc się nad bezbronnymi i zadając im najsrozsze męczarnie»...

Gdy Ladko czytał opis tych zdarzeń, zaszłych w ostatnich czasach w Bułgarji, zimny pot wystąpił mu na czoło... Nacza! Jego ukochana Nacza! Co się z nią stało podczas rozruchów? Zerwał się z miejsca i biegał po celi więziennej, miotając się jak dziki zwierz uwięziony w klatce...

Lecz krótko trwał napad rozpaczny. Oprzytomniawszy, wysiłkiem woli odzyskał spokój i zaczął szukać drogi ratunku, sposobu odzyskania wolności.

Wyznać sędziemu wszystko i błagać go o pomoc? Ale czy zdoła obudzić ufność w tym człowieku źle już dla niego usposobionym, przed którym tak długo upierał się przy kłamliwych zeznaniach? Czy można jednym słowem zniweczyć posądzenie ciężące na

nazwisku Ladki? Nie! W najlepszym razie zarządzonoby nowe dochodzenia, któreby trwały całe tygodnie, może nawet miesiące...

Na nic się to nie zda. Trzeba uciekać!

Po raz pierwszy, odkąd go uwięziono, Ladko rozejrzał się po swej celi. Miała ona dwa tylko otwory: drzwi i okno naprzeciwko. Z boków i z tyłu korytarze i inne cele, za oknem tylko przestrzeń i wolność.

Okno to, sięgające do sufitu, miało wielkości przeszło półtora metra, a od samego parapetu zabezpieczały je grube kraty, wmurowane w ścianę. Na zewnątrz zasłaniał okno do połowy tak zwany «kosz», pozostawiając zaledwie środkiem widok skrawka nieba. Chcąc się rozejrzeć i znaleźć drogę do ucieczki, trzebaby najpierw usunąć kratę i wydzwignąć się na brzeg kosza, skąd widać było okolicę otaczającą więzienie.

Ladko z ilości schodów jakie przebywał, idąc do sędziego, wnioskował, że cela jego jest na czwartym piętrze więziennego gmachu. Dziesięć do czternastu metrów dzieliło ją od ziemi. Jak się tam spuścić? Jednak rozgorączkowany zabrał się zaraz do roboty.

Ale skąd wziąć narzędzi? W celi nie było nic, oprócz stołu, krzesła i siennika położonego na występie muru.

Myślał długo, gdy nagle przypomniał mu się drobiazg niezauważony przez strażników: sprzączka od spodni.

Odjął ją natychmiast i zaczął ostremi stalowymi zębami sprzączki piłować mur u podstawy sztaby, wmurowanej w okno. Mur pod tarciami stalowych zębów wykruszył się dość szybko, ale ciągle wystrzeganie się oka strażników utrudniało robotę; a strażnicy zaglądali często. Więzień musiał pilnie nadśluchiwać i za najmniejszym szmerem przerywać pracę i usuwać jej ślady.

Posługiwał się do tego chlebem. Ośrodek chleba, rozgnieciony z pyłem sypiącym się z muru, miał kolor ściany i tem Ladko zalepiał szparę, która coraz bardziej się rozszerzała. Resztę wydobytego miału ukrywał w występie muru, na którym leżał siennik.

Po dwunastu godzinach pracy, krata odsłoniła się na trzy centymetry, ale zęby sprzączki starły się do szczętu. Ladko rozłamał oprawę i jej kawałkami posługiwał się w dalszej robocie. Lecz w ciągu następnej doby i te kawałki starły się na nic. Ale na szczęście, więźniowi udało się mimo rewizji, zatrzymać nóż, schowany za podszewką; nim więzień prowadził dalej robotę.

Oprócz nadzoru strażników, przerywały mu pracę częste wezwania do sędziego. Badanie jednak nie dawało żadnych wyników: utknęło na miejscu. Jedni świadkowie twierdzili, że istnieje pewne podobieństwo między więźniem a złoczyńcą, którego widzieli tylko przelotem podczas napadu; – inni przeczyli temu stanowczo. Napróżno sędzia ubierał więźnia w przyprawne brody, kazał mu zdejmować okulary lub je nakładać – nie mógł zdobyć stanowczych dowodów. Czekał więc niecierpliwie wyzdrowienia rannego odźwiernego z willi hrabiego Hagenau, ażeby go przywieźć do Zemlina, jako głównego świadka.

Wszystko to nie wzruszało wcale Ladki. Spełniał obojętnie rozkazy sędziego, kładł peruki, przyprawne brody i okulary, lecz myśli jego biegły do więziennej celi, tam, gdzie żelazna sztaba obnażała się coraz więcej, torując mu drogę do wolności.

Dopiero dwudziestego trzeciego września dostał się do samej podstawy. Musiał jeszcze przepiłować sztabę w miejscu, gdzie drugi koniec zapuszczał się w mur od góry.

Ta część roboty była najtrudniejsza. Trzymając się jedną ręką kraty, więzień piłował drugą. Piłowanie szło powoli, a niewygodna postawa zmuszała go do częstych odpoczynków.

Po sześciu dniach nadludzkiego wysiłku, dwudziestego dziewiątego września, Ladko osądził, że krata już jest dostatecznie podcięta, i napewno da się wygiąć, a czas był już na to, bo z ostrza noża pozostał zaledwie cienki płatek.

Nazajutrz rano, po przyjsciu straznika majac blisko godzinę wolnego czasu, Ladko zabral się do roboty i sztaba ustapila bez trudności. Ladko przesunął się przez otwór i wspiąwszy się na brzeg kosza – wyrzał.

Do ziemi było – tak jak przewidywał – około czternastu metrów. Ale moznaby się spuścić z tej wysokości, byleby mieć sznur dostatecznie długi.

Jednak spuszczenie się na dół stanowiło łatwiejszą część zadania. Gorsze było to, że więzienie otaczała naokoło droga opasana murem blisko ośm metrów wysokim, poza którym ukazywały się dachy domów. Spuściwszy się na dół, trzeba było jeszcze przepawić się przez ten mur na drugą stronę.

Sądząc z odległości, w jakiej stały domy, Ladko przypuszczał że za murem jest ulica, wydobywszy się na nią, więzień byłby już bezpieczny. Ale jak się tam dostać?

Na lewo błyszczaly wody Dunaju. Pełno statków i łodzi uwijalo się na rzece, a inne stały umocowane przy brzegu. Pośród nich, Ladko z biciem serca, rozpoznał swoją własną łódź stojącą przy buiwarce. Gdyby się mógł do niej dostać! Za godzinę minąłby granicę a na serbskiej ziemi mógłby się śmiać z sądów austriackich...

Zaczął rozglądać się uważnie i zauważył, że z lewej strony, od dachu więzienia do samej ziemi, spuszczał się żelazny pręt piorunochrona, przytrzymywany w pewnych odstępach mocnymi klamrami, wmurowanymi w ścianę. Po tym piorunochronie, moznaby łatwo zsunąć się na ziemię, ale spora przestrzeń oddzielała go od okna celi Ladki. Na szczęście, na wysokości okna ciągnął się jako architektoniczna ozdoba, gzyms mający około dwudziestu pięciu centymetrów szerokości. Człowiek silny, odważny, zręczny, z zimną krwią, potrafiłby przejść po nim aż do piorunochronu.

Lecz to jeszcze nie wystarczało, bo pozostawał do przebycia mur zewnętrzny. Więzień choćby nawet spuścił się na dół, pozostawał więźniem w obrębie tego muru. Ladko rozpatrując się bacznie, zauważył, że pod samym daszkiem, zakończającym szczyt muru, ciągnie się pas ornamentacji, zrobiony z czworokątnych sztuk piaskowca, zapuszczonych do połowy w ścianę. Przyglądał mu się długo zamyślony, cofnął potem do okna, powrócił do celi i usunął wszystkie ślady swojej wyprawy.

Powziął już niezłomne postanowienie, obmyślił sposób wydobywania się na wolność, pomimo wszystkich przeszkód. Sposób ryzykowny, lecz możliwy do wykonania. Wolał zresztą umrzeć, niż znosić dłużej takie męczarnie.

Przeczekał przejście następnego patrolu; mając przed sobą trochę spokojnego czasu, zabral się do ukończenia przygotowań; szcążkiem pozostałym z noża pokrajał prześcieradło na pięćdziesiąt pasów szerokich na kilka centymetrów, pozostawiając tylko kawałek płótna dla zasłonięcia siennika i brzegu kołdry, ażeby nie zwrócić uwagi strażników, którzy przecież w ciągu dnia nie będą oglądali jego posłania.

Pocięte pasy płócienne Ladko posplatał po cztery razem, wplatając w nie gdy się kończyły, następne cztery; w ten sposób połączył je mocno.

Cały dzień zeszedł mu na tej pracy.

Nareszcie pierwszego października, blisko południa, miał już gotową mocną pletnię z płóciennych pasów, długą na piętnaście metrów, którą ukrył pod posłaniem.

Postanowił uciec tego samego wieczora, około dziewiątej.

Godziny mijały powoli, aż nakoniec wybiła dziewiąta na miejskich zegarach, niebo pokryło się ciężkimi chmurami, które zwiększały ciemności.

W korytarzu rozległy się kroki. Patrol nadchodził, strażnicy przystanęli przed drzwiami i jeden zajrzał przez okienko. Cofnął się, spokojny o więźnia, który już spał owinięty kołdrą po same uszy. Patrol poszedł dalej, kroki dochodziły coraz słabiej, aż ucichły.

Nadeszła chwila działania.

Ladko zeskoczył z posłania i ułożył je tak, by w mroku udawało leżącego człowieka. Wziął spleciony sznur, odsunął kraty i wyszedłszy przez okno, siadł na brzegu kosza, jak na koniu.

Gzymsy zdobiące ściany więziennego gmachu były umieszczone na wysokości podłogi każdego piętra, Ladko górował blisko cztery metry nad gzymsem, na który musiał się spuścić; ale przewidział tę trudność: zarzucił piętnie na kratę, ujął oba końce w rękę i spuścił się na gzymś bez wielkiej trudności. Przycisnąwszy się plecami do ściany, trzymając w lewej ręce końce pletni, odpoczął chwilę. Rozmyślał, czy puściwszy sznur, zdoła utrzymać równowagę na wązkim gzymśie?

Ostrożnie, poruszając się bardzo powoli, ujął sznur w rękę prawą, a lewą pomacał ściany kosza, i przekonał się, że kosz wspiera się na żelaznych podporach, wmurowanych w ścianę więziennego gmachu.

Niewielka to była pomoc, oparcie się na tej podporze, ale w braku lepszej musiał się i tem zadowolnić. Uchwycił jedną ręką podporę, a drugą pociągnął za jeden koniec pletnię, która zsunęła mu się na ramię... Spalił za sobą mosty; choćby chciał, nie mógłby już powrócić do swej celi, musiał co bądź się stanie, doprowadzić do końca swój zamiar.

Zawrócił powoli głowę ku piorunochronowi, który miał mu służyć za drogę do ucieczki, ale jakże się przeraził, zobaczywszy, że przestrzeń dwumetrowa dzieli piorunochron od kosza, którego nie mógł puścić, jeżeli nie chciał spaść na dół.

Musiał jednak na coś się zdecydować, nie mógł stać długo na wązkim gzymśie, zawieszony nad przepaścią, za jedyne oparcie mając żelazną podporę, którą palce jego z trudnością obejmowały, czuł, że wkrótce ręka mu zemdleje, a wtedy upadek będzie nieunikniony. Trzeba próbować jedynej drogi ratunku.

Zwrócony do okna, oparł się na zgiętej ręce lewej i puszczając podporę, rzucił się całą siłą w prawą stronę... Silnym pchnięciem dotarł do piorunochronu i uchwycił go rękami. Pierwszą przeszkodę udało się zwyciężyć. Pozostawała druga.

Ladko zsunął się po piorunochronie i zatrzymał dopiero na pierwszej klamrze, która go przytrzymała do ściany. Tam przystanął i namyślał się chwilę.

W ciemności nie było widać ziemi, lecz z dołu dochodził miarowy odgłos kroków wartownika. Żołnierz stał tam na straży i obchodził tę stronę więzienia, a potem zawracał na przedłużeniu drogi pod drugą ścianę gmachu i stamtąd dopiero powracał. Ladko obliczył, że nieobecność jego trwała trzy do czterech minut; taki więc przeciąg czasu pozostawał mu do przebycia drogi dzielącej go od muru.

Ale mimo że widział mur, którego biały grzbiet odcinał się na tle ciemności, nie mógł jednak dojrzeć wystających kamiennych ozdób, które przystrajały jego wierzchołek.

Spuścił się znowu niżej i zatrzymał przy jednym z niższych ankrów przytrzymujących piorunochron. Był jeszcze dwa do trzech metrów wyżej, niż grzbiet muru, przez który musiał się przepawić.

Teraz oparty już na pewnej podstawie, mógł już prędzej się poruszać. Rozwinął sznur, przesunął go przez sztabę piorunochronu i związał mocno końce. Obliczywszy mniej więcej odległość, zarzucił pletnię na szczyt muru i przyciągnął do siebie końce, z których zrobił rodzaj pętli, nakształt lassa. Próbował te pętłe zahaczyć z jeden z wystających z muru ornamentów kamiennych; było to trudne, w ciemności, nie mógł trafnie mierzyć, tylko liczyć na traf szczęśliwy; powtórzył tę operację ze dwadzieścia razy, zanim pętla stawiała opór; Ladko pociągnął ją mocno, lecz bez skutku; pętla zahaczyła się i trzymała mocno. A więc się udało! Sznur przerzucony na drugą stronę muru, zaczepił się na jednym z ornamentów zewnętrznej strony i utworzył rodzaj kładki, przerzuconej nad drogą okalającą gmach więzienny.

Wątko to była kładka, mogła się zerwać, lub zsunąć z kamiennej ozdoby, na której zawisała. W pierwszym razie spowodowałyby to okropny upadek z wysokości dziesięciu metrów. W drugim razie, ciężar zawieszony na niej – czyli ciało Ladki – uderzyłoby o ścianę więzienia i zmiażdżyło się o nią...

Ale Sergiusz Ladko nie zawahał się na myśl o niebezpieczeństwie. Wyciągnawszy silnie pletnię związał oba jej końce i gotów do skoku nadśluchiwał czy się zbliża wartownik.

Żołnierz przechodził właśnie pod więźniem zawieszonym w powietrzu... Oddalał się... Zawrócił za węgiel gmachu i znikł... Trzeba korzystać z czasu, nie tracąc ani chwili.

Ladko rzucił się w powietrze; zawieszony wysoko nad ziemią, przesuwał się po sznurze zwinnie i prędko, nie troszcząc się uginaniem pletni, opuszczając się coraz niżej, w miarę jak ciężar przesuwał się do środka.

Postanowił przejść... I przejdzie...

Przeszedł, a raczej przesunął się, i stanął na grzbiecie muru. Przeprawa nad przepaścią trwała nie całą minutę.

Nie zatrzymując się dla wypoczynku, śpieszył rozgorączkowany nadzieją zwycięstwa. Dziesięć minut zaledwie upłynęło od jego wyjścia z celi, ale jemu wydawały się te minuty godzinami. Lękał się nadejścia patrolu, rewizji celi... Odkryłoby wtedy jego ucieczkę, pomimo ułożonego zrzeczenie posłania. Zanim patrol przyjdzie do jego celi, on musi już być daleko. Tu o kilkanaście kroków stoi jego łódź. Kilka uderzeń wiosła – i łódź uniesie go daleko od swoich prześladowców.

Ladko, przerywając swą robotę za każdym przejściem wartownika, rozwiązał pletnię, przyciągnął ją do siebie, a potem znowu ją związał, zarzucił ją na kamienny ornament od strony wewnętrznej i zaczął się przeprawiać na drugą stronę, upewniwszy się, że na ulicy pusto.

Nareszcie stanął szczęśliwie na ziemi, ściągnął sznur i zwinął go w kłębek; robota się skończyła; był wolny! Nie zostawił za sobą żadnego śladu, ale gdy postąpił kierując się w stronę rzeki, jakiś głos zawołał w ciemności, o kilka kroków zaledwie od niego, uciekającego:

– Co Widzę! Pan Ilia Brusz, słowo daję!

Ladko zadrżał z radości. Los przyjazny zesłał mu na pomoc przyjaciela.

– Pan Jeger! – wykrzyknął Ladko uszczęśliwiony.

Z ciemności wynurzył się człowiek idący ku niemu.

ROZDZIAŁ XV

U celu.

Dziesiątego października jutrzienka zabłysła po raz dziewiąty od czasu, gdy łódź Ilii Brusza zaczęła na nowo swą podróż w dół Dunaju. Przez ostatnie ośm dni przebyła blisko siedmset kilometrów; zbliżała się już do Ruszczuku, do którego dopłynęła wieczorem.

Na pokładzie łodzi nic się nie zmieniło; Płynęli na niej, jak dawniej, ci sami ludzie: Sergjusz Ladko i Karol Dragosz; pierwszy przybrał znowu nazwisko rybaka Ilii Brusza – drugi dobrodusznego pana Jegera.

Ale panu Jegerowi, skutkiem zachowania się Ilii, coraz trudniej przychodziło odgrywać dawną rolę; bo rybak rozgorączkowany bliskością Ruszczuku, wiosłował bez przerwy, zaniechawszy wszelkich środków ostrożności, tak, że zdjął okulary, rzucił brzytwę i farby, czarne jego włosy stawały się codzień jaśniejsze, a twarz pokrywał złocisty zarost.

Dragosz powinien był zdziwić się tą zmianą, a jednak nic nie mówił; postanowiwszy wytrwać do końca w raz powziętem postanowieniu, udawał, że nie widzi nic, coby mu mogło być niedogodne.

Zmianę jego postępowania spowodowały wyniki śledztwa w Szalce. Dragosz trudniejszy do zadowolenia, niż jego podwładny komisarz z Granu, wziął się sam do badania. Wypytywał długo i szczegółowo mieszkańców, a ich odpowiedzi zaniepokoiły go mocno.

To, że jakiś Ilija Brusz mieszkał w Szalce i że wyjechał niedługo przed konkursem w Sigmaringen, nie podlegało żadnej wątpliwości; czy go widziano później, zwłaszcza w nocy z dwudziestego ósmego na dwudziesty dziewiąty sierpnia? Co do tego drugiego punktu, nie dało się nic ustalić. Sąsiadom zdawało się, że jednej nocy, pod koniec sierpnia, w domu zamkniętym od miesiąca, widzieli światło, ale napewno twierdzić tego nie mogli.

Pozostawał do wyświecenia punkt trzeci. Kto był ten człowiek, z którym komisarz z Granu rozmawiał w mieszkaniu oskarżonego? Co do tego Dragosz nie mógł zebrać żadnych wskazówek. Ilię Brusza znali wszyscy mieszkańcy, lecz nikt go wówczas nie widział, musiał chyba przyjechać w nocy i wyjechać przed świtem. Ta tajemniczość, bardzo sama przez się podejrzana, jeszcze dziwniej wydała się Dragoszowi, kiedy natrafił wśród poszukiwań na właściciela małej gospody, którego jakiś nieznajomy pytał o adres Ilii Brusza, wieczorem dwunastego września, na trzydzieści sześć godzin przed przybyciem do Szalki komisarza z Granu. Zagadka wikłała się coraz bardziej, a powikłanie jeszcze się zwiększyło, kiedy właściciel gospody, naciśnięty przez Dragosza, dał rysopis owego nieznajomego, rysopis zgadzający się co do słowa z rysopisem herszta bandy rozbójniczej nad Dunajem.

Dragosz odczuwał tu coś podejznanego. Instyktownie odgadywał jakąś złowrogą intrygę, której ofiarą być może jest uwięziony Ilija.

Umocniło go w tem podejrzeniu to, że gdy po trzech tygodniach powrócił do Zemlina, zastał śledztwo na tym samym punkcie, na jakim je zostawił wyjeżdżając. Podczas jego nieobecności nie posunęło się ono ani na krok; nie znaleziono żadnych dowodów przeciw oskarżonemu, oprócz tego, że ostatecznie zmienił swój wygląd i miał u siebie fotografię z podpisem, stwierdzającym, że należy ona do Sergjusza Ladko.

Ale te dowody, nie poparte innemi, nie wystarczały. Kto wie? Może i to przebranie i fotografię dałoby się wytłumaczyć bez potępienia więźnia.

Dragosz skłonny był do współczucia w tym stanie wątpliwości, i dlatego wzruszyło go naiwne zaufanie Ladki, który mógł mieć słuszne powody do nieufności względem swego pasażera.

A zresztą, litość nie przeszkadzała Dragoszowi do pełnienia obowiązku. Powracając do łodzi Ladki na dawne miejsce, mógł najłatwiej wytropić jego współników. A jeżeli Ladko był niewinny, pobyt na jego łodzi mógł dopomóc Dragoszowi do wykrycia prawdziwych winowajców, których istnienie posądzał od czasu zagadkowego pojawienia się sobowtóra Ladki.

Widok wynędzniałego sternika, opowiadanie jego o przebytych nieszczęściach i nadzwyczajna odwaga z jaką dokonał dwukrotnej ucieczki, przeważyły Dragosza na jego stronę. Tembardziej, że Dragosz zawdzięczał życie temu nieszczęśliwemu, który stał teraz przed nim dyszący ze zmęczenia, z pokrwawionymi rękami i twarzą wychudłą, po której pot płynął strumieniem.

Miałże go wepchnąć napowrót w tę otchłań piekielną, z której się zaledwie wyratował? Nie! na to Dragosz nie mógł się zdobyć.

– Chodźmy! – powiedział krótko i pociągnął więźnia ku rzece.

Przez cały tydzień spędzony razem na łodzi niewiele z sobą rozmawiali, Ladko najchętniej milczał, wiosłując z zapalem, zatopiony w myślach.

W oderwanych zdaniach, które z niego wyciągał Dragosz, zamknęła się opowieść o nieprawdopodobnych przygodach, jakie go spotkały po rozstaniu z Dragoszem. Opowiedział mu długi pobyt w więzieniu w Zemlinie i jeszcze dziwniejsze od tego – uwięzienie na nieznanym statku.

A więc kłamali ci, co twierdzili, że widzieli go między Budapesztem a Zemlinem, sprzedającego ryby, bo w owym czasie płynął on skrzepowany na dnie statku.

Zdanie Dragosza o tej sprawie zmieniało się stopniowo, mimowoli łączył on napad, którego Ili padł ofiarą, z pojawieniem się jego sobowtóra w Szalce. Zaczynał nabierać przekonania, że rybak komuś zawadzał i że stał się celem prześladowań jakiegoś utajonego wroga, którego rysopis podobny był do rysopisu prawdziwego przywódcy rozbójników.

I tak, krok za krokiem, Dragosz zbliżał się do wykrycia prawdy. Nie miał jeszcze żadnej pewności, lecz jego pierwotne podejrzenia rozplýwały się z każdą chwilą. Ale ani mu na myśl nie przyszło opuścić łódź i cofać się, żeby rozpocząć dochodzenie na zasadzie świeżego tropu. Jego policyjny węch upewniał go, że jest na dobrej drodze i że ten rybak, z którym płynie, choć niewinny, ma jednak jakiś związek z rozbójniczą bandą na Dunaju.

Zresztą spokój panował na pobrzeżu rzeki, a porządek w jakim spełniono ostatnie zbrodnie, naprowadzał na domysł, że rozbójnicy także popłynęli w dół rzeki, przynajmniej od Zemlina. Zapewne, kiedy Ili siedział w więzieniu, oni płynęli wciąż w tamtą stronę.

I co do tego Dragosz nie mylił się. Iwan Striga rzeczywiście płynął ku morzu Czarnemu, wyprzedzając o szesnaście dni łódź Ilii w chwili, gdy wypływała z Zemlina. Lecz ta odległość zmniejszała się ciągle, Codzień, co godzina, łódź zbliżała się do statku, gnana niezmordowanie wiosłem Sergjusza Ladki.

Ladko jeden miał cel przed sobą: Ruszczuk, jedną myśl tylko: Naczę. Jeżeli zaniechał wszelkich ostrożności dla utrzymania swego «incognito», to dlatego, że o tem nie myślał.

Bo i na co mogło mu się to przydać teraz? Po uwięzieniu i ucieczce, nazwisko Ilii Brusza stało się równie niebezpieczne, jak nazwisko Sergjusza Ladki. Pod tem nazwiskiem, czy pod tamtem, nie mógł pokazać się jawnie w Ruszczuku, pod groźbą natychmiastowego aresztowania.

Pochłonięty tą jedną myślą, nie patrzył na wybrzeża. Gdy minął Białogród i wpłynął w granice Serbji, wiedział, że już skończyła się władza sędziego Izara Roszy. To mu wystarczało, na nic więcej nie zważał.

Minęli bez przypadku Żelazne Wrota, gdzie Dunaj wciśnięty między dwie prostopadłe, skaliste ściany, ze trzysta metrów wysokie pędzi z hukiem i rozbija się na wielkich głazach skalistych, któremi jego łóżysko jest zawalone. Minęli Widdyń, pierwsze wielkie miasto bułgarskie, minęli Nikopoli i Sistówę.

Ladko trzymał się ciągle blisko serbskiego brzegu, gdzie czuł się bezpieczniejszy; i rzeczywiście do samych Wrót Żelaznych nie zaczepiała go policja.

Tylko w Orsowie, łódź z flotylli rzecznej podpłynęła do jego łodzi i kazała się zatrzymać. Ladko przerażony stanął, zastanawiając się, co odpowie na pytania, jakie mu pewnie zadadzą.

Ale nikt go o nic nie pytał. Na jedno słowo Dragosza, oficer policji rzecznej skłonił się i odpłynął o nic nie pytając.

Ladko nie zastanowił się nad osobliwym wpływem, jaki wywiera wszędzie pan Jeger, skromny obywatel wiedeński. Uszczęśliwiony, że ominęło go niebezpieczeństwo, czekał tylko niecierpliwie na koniec rozmowy z oficerem, ażeby coby prędzej odpłynąć.

Policja rzeczna posłuszna rozkazom wydanym dawniej przez Dragosza, a teraz przez sędziego Roszę, rozniewanego ucieczką więźnia, zdwoiła ściśle nadzór nad rzeką. Żaden statek, żadna łódź nie mogłaby przepłynąć niezauważone i niezrewidowane.

Dragosz rozmówiwszy się ze swym podwładnym, dowiedział się z najwyższym niezadowoleniem, że policja nie wpadła dotąd na ślad zbrodniarzy – i że przed dwoma dniami, na terytorjum rumuńskim, prawie naprost bułgarskiego miasta Rakowa spełniono nowy napad rozbójniczy.

A więc banda prześlizgnęła się przez oczka zastawionej sieci! Że rabowała nietylko złoto i srebro, ale i różne przedmioty, mające większą wartość, zatem łupy jej musiały mieć znaczną objętość i wagę. Niepodobna było istotnie zrozumieć że dotąd nie znaleziono tych łupów, mimo że każdy statek na Dunaju podlegał rewizji.

Jednakże tak było rzeczywiście. Dragosza zdumiewała poprostu genialna zręczność bandy; niepodlegało już wątpliwości, że się przemknęła, bo znowu dała znak życia nowym napadem.

Dragosz wyprowadził z tego jeden wniosek: że trzeba się śpieszyć. Miejsce i czas spełnienia zbrodni wskazywały, że złoczyńcy wyprzedzają łódź o trzysta zaledwie kilometrów. Odliczywszy czas więzienia Ilii, podczas którego rozbójnicy płynęli, wypadało, że ich statek płynie o połowę wolniej niż łódź Ilii; można więc ich dogonić.

Łódź popłynęła szparko, nie tracąc czasu, i szóstego października, wczesnym rankiem, przebyła granicę bułgarską. Od tej chwili Ladko, który trzymał się wciąż prawego brzegu, przysunął się teraz do brzegu rumuńskiego, do którego dostęp od Łom-Palanki utrudniają szeroko rozlane trzęsawiska.

Ale Ladko choć zamyślony, zauważył, że odkąd wpłynęli w granice Bułgarji, rzeka przybrała wygląd podejrzany. Roilo się na jej wodach od rozmaitych statków pod flagą turecką. Przewidywano tu już wojnę, która istotnie w rok potem wybuchnęła. Turcja zawczasu rozciągnęła pilny nadzór nad Dunajem.

Ladko wolał trzymać się zdaleka od statków tureckich, gdyby zaś miał wpaść przez to w szpony władz rumuńskich, liczył, że go od nich obroni pan Jeger, tak jak go obronił pod Orsową od Austrjaków.

Ale nie zaszła żadna potrzeba interwencji Jegera i nie zdarzył się żaden wypadek w tej ostatniej części podróży. Dziewiątego października, około czwartej popołudniu, łódź dopłynęła do Ruszczuku, który wznosił się na przeciwległym brzegu.

Ladko skierował się na środek rzeki i odkładając wiosło, pierwszy raz od wypłynięcia z Zemlina zarzucił kotwicę.

– Co to? – zapytał Dragosz, zdziwiony.

– Stałem u celu podróży – odrzekł Ilija krótko.

– U celu podróży? Nie dopłynęliśmy jeszcze do morza Czarnego!

– Wprowadziłem pana w błąd – wyznał szczerze Ladko. – Nie miałem nigdy zamiaru płynąć do morza Czarnego.

– Co to znaczy? – zawołał Dragosz zaciekawiony.

– Tak jest, wyruszyłem z zamiarem zatrzymania się w Ruszczuku. Jesteśmy już na miejscu.

– A gdzie Ruszczuk?

– Tam! – objaśnił rybak, wskazując na rozłożone w oddali miasto.

– A dlaczego nie dopłynęliśmy do samego miasta?

– Bo muszę czekać tu, aż noc nadejdzie. Jestem śledzony, ścigany! Gdybym się ukazał w dzień, mógłbym się narazić na uwięzienie...

Coraz to lepiej! – myślał Dragosz. – Czyżby jego pierwotne podejrzenia były uzasadnione?

– Jak w Zemlinie? – szepnął Dragosz półgłosem.

– Jak w Zemlinie – potwierdził Ladko. Ale nie z tych samych powodów. Bo ja jestem uczciwy człowiek, panie Jeger.

– Nie wątpię o tym, panie Brusz, choć rzadko kiedy uczciwy człowiek obawia się więzienia.

– A jednak w tym wypadku tak jest istotnie, panie Jeger – odrzekł zimno Sergjusz Ladko. Daruj mi pan, że nie wyjawię tajemnicy, ale poprzysiągłem, że jej dochowam i dochowam!

Dragosz zrobił ruch oznaczający zupełną obojętność a rybak mówił dalej:

– Rozumiem dobrze, że pan nie chciałbyś mieszać się do moich spraw. Jeżeli sobie życzysz, mogę pana dowieść do rumuńskiego brzegu. Tam unikniesz pan niebezpieczeństwa, które mogą mnie zagrażać.

– Czy długo zamierzasz pan zatrzymać się w Ruszczuku? – zagadnął Dragosz, nie odpowiadając na pytanie Ladki.

– Nie wiem. Jeżeli wszystko pójdzie pomyślnie, wrócę na łódź przededniem, a w takim razie wrócę nie sam. Jeżeli stanie się inaczej – nie wiem jeszcze, co uczynię.

– Ale ja z panem pozostanę do końca, panie Brusz – oznajmił stanowczo Dragosz.

– Jak się panu podoba! – odrzekł Ladko.

Gdy się zaczęło ściemniać, Ladko pochwycił wiosło i podpłynął do bułgarskiego brzegu. Było już zupełnie ciemno, kiedy wysiadł na ląd, poniżej ostatnich domów w mieście.

Ladko poruszał się jak we śnie. Ruchy miał pewne i stanowcze, ale nie widział nic naokoło siebie, nie widział nawet, że jego towarzysz wszedł do kajuty, zaraz po podniesieniu kotwicy. Świat zewnętrzny, przestał istnieć dla Ladki, miał jedną tylko myśl, jeden cel: dom i Nacę. Po za tem nic dla niego nie istniało.

Zaledwie łódź przybiła do brzegu, wyskoczył, przywiązał ją mocno i odszedł spieszenie.

Dragosz wyszedł też zaraz z kajuty. Nie tracił on czasu. Nie poznałby nikt ajenta policyjnego, człowieka energicznego i zwinnego w tym wieśniaku węgierskim, ociężałym i niezgrabnym.

Wyskoczył też na ląd i podążył na łowy, trop w trop za Ilią Bruszem.

??

ROZDZIAŁ XVI

Dom opustoszony.

W pięć minut Ladko i Dragosz doszli do pierwszych domostw miejskich.

W Ruszczuku wówczas nie istniało oświetlenie uliczne, co utrudniało kierowanie się w mieście ruchliwym i handlowym. Ale ponieważ Ladko zapatrzony przed siebie szedł prosto pewnym krokiem i śmiało, Dragosz podążał za nim bez trudności, nie spuszczać go z oka. Lecz ani jeden ani drugi nie widzieli dwóch ludzi, którzy wychodząc z poprzecznej uliczki, skrzyżowali się z nimi.

Doszedłszy do wybrzeża, ludzie ci rozeszli się natychmiast. Jeden poszedł w dół rzeki.

– Bywaj zdrów – przemówił jeden po bułgarsku, odchodząc.

– Bywaj zdrów – odrzekł drugi i zwracając na lewo, dogonił Dragosza.

– Na dźwięk tego głosu Dragosz drgnął, zawahał się na jedno okamgnienie, zwalniając mimowoli kroku, a potem porzucając dalsze ściganie Ladki, zawrócił na miejscu.

Jedną z najpotrzebniejszych i najcenniejszych zalet agenta policyjnego, który chce wyróżnić się i zdobyć sławę, jest doskonała pamięć, nie tylko wzrokowa, lecz i słuchowa.

Dragosz posiadał tę zaletę w stopniu bardzo wysokim. Raz widząc człowieka, raz usłyszawszy jego głos, nie zapominał go już nigdy, choćby po długim przeciągu czasu. Po miesiącach, po latach, poznawał twarz choćby raz tylko widzianą, głos, który niegdyś słuch jego uderzył.

To właśnie zdarzyło się i tym razem. Ten głos słyszał on niedawno; nie wątpił, że się nie myli. Ten sam głos, na polance, u podnóża góry Pilis, obił się o jego ucho. To była ta nić, której napróżno dotąd szukał. Wszystkie domysły, odnoszące się do towarzysza podróży, były tylko na przypuszczeniach oparte, a tymczasem ten głos – to było na koniec coś pewnego – jakiś dowód. Nie mógł się wahać między domysłem a pewnością, i dlatego, porzucając Ladkę, poszedł za nowym tropem.

– Dobry wieczór, Ticza – odezwał się Dragosz po niemiecku, kiedy człowiek zbliżał się do niego.

Zagadnięty przystanął, usiłując przebić wzrokiem ciemności.

– Kto do mnie mówi? – zapytał.

– Ja! – odrzekł Dragosz.

– Co za ja?

– Maks Reynold.

– Nie znam cię,

– Ale ja ciebie znam; najlepszy dowód, że wymieniałem twoje nazwisko.

– Prawda! – przyznał Ticza. – Musisz nawet mieć dobre oczy, bracie!

– Doskonale istotnie.

Umilkli obaj. Po chwili Ticza zapytał:

– Czego chcesz odemnie?

– Rozmówić się z tobą – oznajmił Dragosz. – Z tobą i jeszcze z drugim. Po to przyjechałem do Ruszczuku.

– Nie jesteś tutejszy?
– Nie, dziś przyjechałem.
– Ładną chwilę wybrałeś na przyjazd! – zauważył drwiąco Ticza, mając zapewne na myśli rozruchy panujące w Bułgarii.
Dragosz wzruszył obojętnie ramionami i dodał:
– Mieszkam w Granie.
Ticza milczał.
– Czy nie znasz Granu? – nalegał Dragosz.
– Nie.
– To dziwne. Byliście przecież tak blisko Granu.
– Tak blisko? – powtórzył Ticza. – Skądże to wiesz, że byłem blisko Granu?
Dragosz roześmiał się i odrzekł:
– Ba! Wiadomo że willa hrabiego Hagenau niedaleko stamtąd...
Teraz z kolei drgnął Ticza. Ale próbował nadrobić miną.
– Willa hrabiego Hagenau? – wybełkotał, siląc się na ton żartobliwy. – Nie znam tego miejsca, tak jak nie znam ciebie bracie...
– Doprawdy? – zaśmiał się drwiąco Dragosz. – A polankę pod górą Pilis znasz?
Ticza zbliżył się szybko i schwycił za rękę Dragosza.
– Ciszej! – szepnął nie kryjąc przestachu. – Szalony jesteś chyba, że tak krzyczysz!
– Niema tu blisko nikogo – tłumaczył się Dragosz.
– Nie można nigdy wiedzieć napewno – szepnął Ticza, a po namyśle dodał:
– Czego chcesz odemnie, bracie?
– Pomówić z Ladką – odpowiedział Dragosz, nie zniżając głosu.
Ticza ścisnął jeszcze mocniej jego rękę.
– Pst! – syknął, oglądając się z trwogą. – Czyś się zawziął na to, żebyśmy się dostali na szubienicę?
Dragosz zaczął się śmiać i również szepnął:
– Jakże mogę się czego dowiedzieć od ciebie, jeżeli będziemy grać w milczka?
– Ale, bo co to za zwyczaj zatrzymywać ludzi na środku drogi, bez ostrzeżenia! – burknął gniewnie Ticza. O takich sprawach lepiej nie mówić na ulicy...
– Ja też się nie upieram rozmawiać na ulicy – powiedział Dragosz. – Chodźmy gdzie-indziej.
– A dokąd?
– Gdziekolwiek, Musi tu być blisko jakaś gospoda?
– Jest o kilka kroków stąd.
– Więc chodźmy tam.
– Zgoda! – odrzekł Ticza. – Chodź za mną.
O sto kroków od miejsca gdzie rozmawiali, zobaczyli na niewielkim placu oświetlone okna gospody.
– Wstąpmy tu – powiedział Ticza, zwracając ku oświetlonym oknom.
Weszli do bardzo skromnej szynkowni; w głównej sali, pustej w tej chwili, stało kilkanaście stolików pod ścianami.
– Tu nam będzie dobrze! – zauważył Dragosz.
Gospodarz przybiegł witać pożądanego gościa.
– Co będziemy pili? Ja płacę! – oznajmił Dragosz uderzając ręką po kieszeni.

- Może raki? – zaproponował Ticza.
- Zgoda! Niech będzie raki – odrzekł Dragosz. – A co byś powiedział na jałowcówkę?
- Dobra i jałowcówka – pochwalił Ticza. Dragosz zwrócił się do gospodarza.
- Słyszeliście, przyjacielu? Podajcie a zwawo!

Gospodarz pobiegł po trunki a Dragosz jednym rzutem oka obejrzał i osądził swego przeciwnika. Barczyste ramiona, kark jak u wołu, wązkie czoło, zarośnięte szpakowatemi włosami: pyszny typ siłacza, występującego w jarmarcznych budach! Istne zwierzę ludzkie, bez żdźbła inteligencji.

Gdy gospodarz podał dwie butelki i szklaneczki, Ticza zagaił rozmowę.

- Mówisz tedy, że mnie znasz?
- Czy jeszcze wątpisz o tem?
- I że wiesz coś o sprawie w Granie?
- Oczywiście. Pracowaliśmy tam razem.
- Nie może być!
- A jednak tak jest.

– Nie rozumiem! – mruknął Ticza, usiłując zebrać wspomnienia. – Było nas tam tylko ośmiu...

- Przepraszam – przerwał Dragosz. – Dziewięciu, nie ośmiu, bo i ja tam byłem.
- I przykładałeś rękę do roboty? – pytał z niedowierzaniem Ticza.
- A jakże! I w willi, i na polance. Ja nawet prowadziłem wóz.
- Z Voglem?
- Z Voglem.

Ticza zastanowił się.

- To nieprawda! – zaprzeczył. – Kaiserlick był z Voglem,.
- Nie, ja byłem – dowodził Dragosz, z całą pewnością. – Kaiserlick został z wami.
- Pewny jesteś tego?
- Jak najpewniejszy! – upierał się Dragosz.

Ticza wahał się. Nie odznaczał się on wielkim sprytem. Nie spostrzegł też, że sam wymieniał nazwiska towarzyszków mniemanemu Maksowi Raynoldowi i przyjął to jako dowód, że ten znał ich imiona.

- Szklaneczkę jałowcówki na zmianę? – zaproponował Dragosz.
- Tego się nigdy nie odmawia. – powiedział uprzejmie Ticza.

Wychylił duszkiem lampkę i szepnął, napół już przekonany:

- To dziwne! Nigdy nie bierzemy do spółki nieznajomych.

– Każda rzecz musi kiedyś mieć początek – przekonywał Dragosz. – Nie jestem już obcy, skoro mnie przyjęto do bandy.

- Do jakiej bandy?
- Nie masz co kręcić, bracie! Mówię ci, że to już postanowione.
- Co?
- Że do was przystałem.
- Z kimże to ułożyłeś?
- Z Ladką...

– Cicho! – przerwał szorstko Ticza. – Mówiłem ci już, żebyś to nazwisko schował dla siebie!

- Mówiłeś to na ulicy – zauważył Dragosz, ale tu?

– Tu i tam, i w całym mieście, wszystko jedno!

– Dlaczego? – nastawał Dragosz.

Ale Ticza nie pozbył się jeszcze resztek nieufności.

– Jeśli się ciebie kto zapyta, bracie, możesz powiedzieć, że nic nie wiesz – odrzekł. – Bo i naprawdę, choć wiesz dużo, miarkuję, że nie wiesz wszystkiego, ale nie wyciągniesz na słowa starego lisa jak ja!

Ticza mylił się sądząc, że może mierzyć się z takim mistrzem jak Dragosz. Stary lis trafił na przebieglejszego od siebie.

Wstrzemięźliwość nie należała do jego cnót i Dragosz pomiarkowawszy to odrazu, postanowił skorzystać ze słabego miejsca w pancerzu rozbójnika.

Proponowany poczęstunek zniweczył słaby zresztą opór Ticzy, szklaneczki jałowcówki znikwały w gardle bandyty, naprzemian ze szklaneczkami «raki». Alkohol zrobił swoje, oczy Ticzy zamglily się, język ścięzał, senność osłabiła go, i jak zwykle bywa, im więcej pił, tem większe czuł pragnienie.

– Mówiliśmy tedy – zaczął Ticza, ale już trochę bełkotliwie, bo język prawie zupełnie mu ocięzał – mówiliśmy tedy, że to już postanowione i ułożone z dowódcą?

– Ułożone – potwierdził Dragosz.

– Dobrze zrobił... dowódca... – mruknął już dobrze podpiły Ticza. – Tęgi towarzysz będzie z ciebie, zuchu!

– Powiedz że mu to, bracie!

– Ale! Wtem bieda, że go nie zobaczę..,

– Dlaczego?

Ticza nalał sobie szklaneczkę «raki», dla zmiany i wychylił, a potem wyrzekł chrypliwie:

– Bo wyjechał...

– Niema go w Ruszczuku? – zapytał, żywo zaniepokojony Dragosz.

– A niema już.

– Już? Więc tu był?

– Był, cztery dni temu.

– A teraz?

– Teraz płynie na statku do morza Czarnego.

– Kiedyż tu wróci?

– Za dwa tygodnie.

– Czekać dwa tygodnie! A to los! – wykrzyknął Dragosz.

– Tak ci pilno dostać się do nas? – zapytał Ticza, śmiejąc się chrapliwie.

– Ba! – odrzekł Dragosz. – Dla prostego chłopca jak ja, dobra gratka trafiła się w Granie! W jedną noc zarobiłem więcej, niż przez cały rok na uprawie roli.

– Nabrałeś smaku! – zaśmiał się Ticza.

Dragosz nalał mu skwapliwie nową szklaneczkę i zawołał:

– Ale nie pijesz, bracie? Za twoje zdrowie!

– I za twoje! – powtórzył Ticza i jednym łykiem opróżnił szklaneczkę.

Obfite żniwo zebrał Dragosz. Dowiedział się z ilu członków składała się banda krążąca po Dunaju. Dowiedział się trzech nazwisk, z ogólnej liczby ośmiu i nazwiska dowódcy. Dowiedział się, że celem podróży jest morze Czarne, gdzie pewnie bandyci przeladują swoje łupy na okręt. Dowiedział się wreszcie, że podstawą ich jest Ruszczuk.

Za dwa tygodnie, kiedy Ladko tu wróci, wszystko już będzie przygotowane do jego ujęcia, jeżeli jeszcze przedtem nie uda się go schwytać przy samem ujściu Dunaju.

Ale nie wszystko jeszcze Dragosz wiedział. Postanowił uzupełnić braki, korzystając z oszołomienia trunkiem towarzysza.

Po dłuższym milczeniu, zapytał go od niechcienia:

– Dlaczegoż to nie pozwoliłeś mi wspominać nazwiska Ladki?

Ticza już zupełnie pijany, spojrzawszy błędnie oczami na towarzysza i w nagłym przystępie czułości, wyciągnął do niego rękę.

– Powiem ci! – wybełkotał. – Powiem! boś ty mój przyjaciel!

Dragosz uściskał dłoń rozbójnika i odrzekł:

– Wierny przyjaciel!

– I zuch! – wybełkotał Ticza.

Spojrzał na butelkę i bąknął:

– Jeszcze kroplę jałowcówki?

– Niema już w butelce – odpowiedział Dragosz.

Widział, że Ticza ma już dosyć, i obawiał się, by nie runął na ziemię, zupełnie pijany. Dragosz niby przypadkiem rozlał jałowcówkę. Nie podobało się to Ticzy. Skrzywił się i rzekł błagalnie:

– To dawaj «raki!»

– Weź resztę – powiedział Dragosz, podsuwając butelkę, z odrobiną wódki na dnie. – Ale strzeż się bracie, żebyś się nie upił.

– Ja miałbym się upić? – oburzył się Ticza. – Choćbym chciał, nie potrafię.

– Mówiliśmy tedy o Ladce – zaczął Dragosz, zdążając cierpliwie do celu. – Dlaczego nie można wymówić jego nazwiska?

Ticza zaśmiał się chrapliwie.

– Ciekawy jesteś, synku! A więc ci powiem dlaczego... Bo tu – Ladko – wymawia się... Striga!

– Striga! Dlaczego Striga? – powtórzył Dragosz nic nie rozumiejąc.

– Bo to jego prawdziwe nazwisko, tego chłopca... Tak jak ty się nazywasz... Jak że ci tam? Zapomniałem...

– Raynold.

– Otóż to. Raynold. Ty się nazywasz Raynold... No! a on... nazywa się Striga... To przecie wyraźne...

– A w Granie... zaczął Dragosz.

– Ba! – przerwał mu Ticza. – W Granie nazywał się Ladko, a w Ruszczuku nazywa się Striga.

Mrugnął filuternie i dodał:

– Tym sposobem ani słyhać o nim! Nikt nie widział, nikt nie wie! Rozumiesz?

Nie było to już nowiną dla Dragosza, że złoczyńca zasłania się cudzem nazwiskiem, ale dlaczego właśnie nazwiskiem Ladki, tem samem, które było podpisane na fotografii?

– Przecie ten Ladko naprawdę istnieje? – zawołał Dragosz gorączkowo.

– Wtem właśnie rzecz! – zaśmiał się Ticza.

– Cóż to za jeden, ten Ladko?

– Gałgan! – objaśnił krótko Ticza.

– A co ci zrobił?

– Mnie? Nic, ale Stridze...

– No cóż? – Co zrobił Stridze?

– Zabrał mu z przed nosa żonę... piękną Naczę...

Nacza! To samo imię co na fotografii. Dragosz widząc już, że nareszcie wpadł na właściwy trop, słuchał chciwie Ticzy, który bełkotał już nieproszone.

– Nie przyjaźnią się od tej pory, rozumiesz? I dlatego Striga przybrał jego nazwisko, żeby mu zrobić figla... On ma spryt, Striga.

– Ale jeszcze nie mogę zrozumieć, dlaczego niewolno wymówić nazwiska Ladki? – nastawał Dragosz.

– Bo to niezdrowo dla tego, kto je wymówi – objaśnił Ticza. – W Granie i w innych miejscach, wiesz już co ono znaczy... A tu, to jest imię pilota, słynnego buntownika... Spiskuje przeciw Turkom... głupiec! A w Ruszczuku na ulicach pełno Turków.

– Cóż się z nim dzieje? – dopytywał się Dragosz.

Ticza wzruszył ramionami i odrzekł:

– Przepadł. Striga mówi, że nie żyje.

– Nie żyje?!

– I to może być prawda. Bo Striga zabrał jego żonę. Niebardzo temu rada gołą-beczka! Ale Striga trzyma ją pod kluczem, na swoim statku.

Teraz Dragosz już wszystko zrozumiał. A więc te długie dni podróży przepędził na łodzi nie z pospolitym rozbójnikiem, lecz z ukrywającym się spiskowcem. Jakaż rozpacz musiała ogarnąć nieszczęśliwego, gdy przybywszy do domu, zastał w nim pustkę. Trzeba iść mu na pomoc... Bandę rozbójników, o której teraz zdobył dokładne wskazówki, da się pochwycić z łatwością i później...

– Ależ tu gorąco! – westchnął, udając że go trunek rozmarza.

– Bardzo gorąco – potwierdził Ticza.

– To te «raki» – wyjąkał Dragosz.

Ticza uderzył pięścią w stół.

– Nie tęgą masz głowę, chłopcze! – wybełkotał drwiąco. – Ja... co innego... Sam widzisz... Gotów jestem zacząć nanowo...

– Nie mnie z tobą się mierzyć... – bąknął skromnie Dragosz.

– Niedołęga! – zadrwił Ticza.– Ale możemy wyjść, jeżeli chcesz.

Dragosz zapłacił gospodarzowi i wyszedł z towarzyszem na plac. Ale ta zmiana miejsca nie posłużyła Ticzy. Wyszędłszy na świeże powietrze, stracił do reszty przytomność. Dragosz przestraszył się widząc, że przeciągnął strunę.

– Powiedz no – zagadnął wskazując w dół rzeki. – Czy tam mieszka Ladko?

– Który Ladko?

– Ten pilot, czy on tam mieszka?

– Nie!

Dragosz wskazał w stronę miasta.

– A więc tam?

– Nie!

– Więc chyba tam? – nastawał Dragosz, zwracając się w górę rzeki.

– Tam..., tam... – bełkotał pijany.

Dragosz ciągnął go, podtrzymując. Ticza szedł bez oporu, zataczając się, potykając i bełkotał coś ciągle niezrozumiale. Szli tak z pięć minut, gdy nagle Ticza stanął, usiłując utrzymać równowagę.

– Co on gadał, Striga, że Ladko nie żyje?

– Albo co?

– Żyje, bo jest ktoś u niego w domu.

Ticza wskazał światło padające przez szpary okienic na drogę. Dragosz pociągnął go pod okno. Przez szparę zajrzeli obaj do wnętrza domu.

Zobaczyli niewielki pokój, urządzony skromnie, lecz wygodnie. Porozrzucane w nieładzie meble i gruba warstwa kurzu wskazywały, że od czasu jakiejś gwałtownej sceny pokój ten stał pustką. Przy stole, na środku pokoju, siedział oparty łokciem człowiek głęboko zamyślony, W gęstych włosach zanurzył palce, zaciśnięte rozpaczliwym ruchem, z oczu jego płynęły łzy.

Dragosz poznał w nim swego towarzysza podróży, Ilię Brusza; ale nie on jeden go poznał.

– To on! – wyjąkał Ticza, nagle wytrzeźwiony.

– On, naprawdę?

– On sam, Ladko...

Ticza przetarł oczy, otrząsnął się i mruknął:

– Żyje gałgan... Ale na nic mu się to nie zda... Turcy zapłacą mi dobrze za jego skórę... Więcej niż warta... To się Striga ucieszy! A ty, bracie, nie ruszaj się stąd! –zwrócił się nagle do Dragosza. – Gdyby chciał wyjść, zaraz go w łeb! albo wołaj o pomoc... Ja pójdę po policję...

Nie czekając odpowiedzi, Ticza odszedł z pośpiechem, potaczając się tylko lekko. Wzruszenie wytrzeźwiło go prawie zupełnie i wróciło mu równowagę.

Dragosz wpadł z pośpiechem do domu.

Ladko siedział wciąż nieruchomy, Dragosz położył mu rękę na ramieniu.

Nieszczęśliwy dopiero wtedy podniósł głowę i spojrzał błędnym wzrokiem, nie poznając swego pasażera. Dragosz rzucił mu jedno tylko słowo:

– Ladko, Nacza!

Ladko wyprostował się, oczy mu błysnęły.

– Chodź ze mną! – naglił Dragosz. – Prędko! Nie traćmy czasu!

ROZDZIAŁ XVII

Wpław.

Łódź sunęła po wodzie jak ptak. Ladko podniecony, rozgorączkowany, ogarnięty istnym szałem, wiosłował jeszcze gwałtowniej niż zwykle, opierając się mocno na wiosła. Podtrzymywany rozpaczą, krótko tylko odpoczywał nocą i to dopiero wtedy, gdy już padał bez sił na posłanie. Zasypiał też w jednej chwili snem kamiennym, a po dwóch godzinach budził się jakby na dane hasło i zabierał się napowrót do ciężkiej pracy wiosłowania.

Dragosz, patrząc na niego, podziwiał jego siłę i wytrwałość; zdumiewał go ten człowiek, który ze swej okropnej rozpaczyczerpał nadludzkie siły.

Chcąc nieszczęśliwemu oszczędzić wszystkiego, coby mu mogło przeszkadzać, Dragosz milczał wytrwale. To co konieczne, powiedział mu przed wyjazdem z Ruszczuku. Gdy łódź odepchnięta na środek rzeki, popłynęła żwawo, uniesiona wartkim prądem, Dragosz udzielił Ladce obszernych wyjaśnień, wyznał mu, kim jest rzeczywiście, objaśnił, że wyruszył w tę podróż, ścigając bandę zbójczą na Dunaju, której dowódcą jak mówiono, jest jakiś Ladko z Ruszczuka.

Pilot słuchał jego opowiadania z roztargnieniem, niecierpliwym i rozgorączkowanym. Co go to wszystko obchodziło? On miał jedną tylko myśl, jeden cel, jedno pragnienie: ocalić Naczę!

Dopiero wtedy zaczął słuchać uważnie, gdy Dragosz opowiedział mu czego się dowiedział od Ticzy o porwaniu Naczy, która uwięziona na statku Strigi, płynie teraz ku morzu Czarnemu.

Usłyszawszy nazwisko Strigi, Ladko syknął z wściekłości.

– Więc to Striga!

Ręka jego zacisnęła się na chwilę kurczowo. Nie pytał już o nic więcej. Tylko od tej chwili pędził z największym pośpiechem; nie spał – nie odpoczywał – nie przerywał wiosłowania, stojąc wyprostowany ze zmarszczonymi brwiami, z błędnymi oczami, całą duszą wpatrzony w cel podróży.

Nie wątpił, że dokona tego co zamierzył. Co mu dawało tę pewność, nie mógłby tego wytłomaczyć, dość że był pewny, czuł, że od pierwszego wejrzenia pozna statek, na którym jest uwięziona Nacza – pozna go wśród tysiąca innych statków!...

Teraz zrozumiał, dlaczego ten strażnik, który przynosił pożywienie, wydawał mu się nieobcy; dlaczego i te głosy dochodzące niewyraźnie, budziły w nim echa jakichś wspomnień. Ten strażnik, to był Ticza. Te głosy, to głos Strigi i Naczy. A ten krzyk usłyszany w nocy, to był krzyk Naczy, wzywający nadaremnie pomocy...

Czemuż się wtedy nie zatrzymał! Ileż nieszczęść, ile niepokojów byłby sobie oszczędził.

Nadzieja Ladki, że dopędzi statek Strigi nie była tak bezpodstawna, jakby się mogło zdawać. Statków tego typu, co statek Strigi, niewiele pływało po Dunaju. Liczba ich, poczawszy od Orsowy zmniejszała się szybko, a ostatnie zostały w Sylistriji. W dole rzeki, od tego miasta, które łódź Ladki minęła we dwadzieścia cztery godziny po wyruszeniu, spotkali tylko dwa takie statki na rzece, na której zapanowały już wyłącznie parowce.

Pod Ruszczukiem Dunaj jest już potężną rzeką, na lewym brzegu rozlewa się szerokimi bagniskami, a łożysko jego ma wspaniałą szerokość. Poniżej, między Sylistrją a Braiłą,

szerokość Dunaju dochodzi miejscami do dwudziestu pięciu kilometrów. Ta wodna przestrzeń czyni wrażenie morza, na którym nie brak ani burz, ani spienionych bałwanów. Łatwo więc pojąć, że płaskie statki, nieprzystosowane do gwałtownej fali, lękają się zapuszczać tak daleko.

Szczęściem dla Ladki pogoda stale dopisywała. Płynąc na łodzi nieodpowiedniej do żeglugi po takich wodach, przy każdym silniejszym wietrze musiałyby chronić się do brzegu i zarzucać kotwicę w zakrętach rzeki.

Dragosz, który obok współczucia dla towarzysza podróży, miał jeszcze inne cele, zaniepokoił się widokiem pustyni, przez jaką płynęli. Może Ticza dał mu fałszywe wskazówki? Widząc, że wszystkie mniejsze statki zatrzymują się i pozostają, zaczynał obawiać się, że i Ladko będzie musiał uczynić to samo. Niepokój Dragosza rósł z każdą chwilą aż nareszcie postanowił zwierzyć się z nim Ladce.

– Czy statek taki, jak Strigi, może dopłynąć po Dunaju do samego morza? – zapytał.

– Może – odrzekł pilot. – Rzadko się to zdarza, ale jest możliwe.

– Czyś prowadził kiedy sam takie statki w tamtą stronę?

– Czasami prowadziłem.

– W jakież sposób wyładowują one swój ładunek?

– Zanurzają kotwicę w jednej z zatok, poniżej ujść rzeki, a tam dopływają do nich parowce.

– Mówisz ujść... Czy jest więcej niż jedno?

– Są dwa główne – objaśnił Ladko. – Jedno północne pod Kilią, drugie południowe pod Suliną. To drugie jest większe.

– Czy nie grozi nam pomyłka? – nalegał Dragosz.

– Nie – odparł stanowczo pilot. – Ludzie którzy się kryją, nie płyną nigdy do Suliny. Popłyniemy więc odnogą północną do Kili i tam ich spotkamy.

Ta odpowiedź niezupełnie uspokoiła Dragosza. Bo może, gdy oni skręcą na jedną z odnóg, zbójcka banda przemknie się drugą. Ale czy można temu zapobiedz, bez rozciągnięcia nadzoru nad wszystkimi ujściami rzeki? Trzeba liczyć na traf szczęśliwy.

Ladko jak gdyby odgadł myśl Dragosza, dodał jeszcze uspokajające szczegóły.

– Zresztą, za odnogą Dunaju pod Kilią jest wygodna zatoka, w której statek może wyładować swoje towary. Popłynąwszy odnogą do Suliny, musiałyby wyładować ładunek w samym porcie, położonym na brzegu morza. Odnoga zaś Świętego Jerzego, która jest dalej, więcej na południe, choć najszersza, najmniej się nadaje do żeglugi. Dlatego nie obawiam się żadnej pomyłki w tym razie.

Rankiem czternastego października, czwartego dnia od wyjazdu z Ruszczuku, łódź Ladki wpłynęła na koniec w deltę Dunaju. Pozostawiwszy na prawo odnogę Suliny, zawróciła na północ i skierowała się prosto w odnogę Kili.

W południe żeglarze minęli Izmailię, ostatnie znaczniejsze miasto na tej drodze, nazajutrz rano powinni już płynąć na wody morza Czarnego.

Czy jednak dopędzą przedtem statek Strigi? Można już było zwątpić. Odkąd opuścili główne łóżyisko rzeki, otoczyła ich zupełna pustka, Jak okiem sięgnąć, ani żagla, ani słupów dymu z parowca...

Niepokój ogarnął Dragosza,

Ladko, jeżeli nawet odczuwał niepokój, nie okazywał tego wcale. Pochylony, z wiosłem w dłoni, popychał niezmordowanie łódź, pilnując się najgłębszych miejsc odnogi, które dzięki tylko długiemu doświadczeniu, umiał odnaleźć między płaskimi i bagnistymi brzegami.

Tego samego dnia, około piątej popołudniu, ukazał się nareszcie jakiś statek stojący na kotwicy, o dwanaście kilometrów poniżej ufortyfikowanego miasta Kilii. Ladko rzucił wiosło, pochwycił lunetę i przyjrzał się bacznie statkowi.

– Ten sam! – zawołał stłumionym ze wzruszenia głosem, opuszczając lunetę.

– Napewno?

– Napewno! – potwierdził Ladko.– Poznałem Jankła Semo, doskonałego pilota z Ruszczuku, współnika zaprzędanego Stridze, który prowadzi jego statek.

– Cóż teraz uczynimy? – zapytał Dragosz.

Ladko nie zaraz odpowiedział. Zamyślił się, Dragosz po chwili dodał:

– Musimy cofnąć się do Kilii, a w razie potrzeby do Izmaili. Tam znajdziemy pomoc.

Pilot potrząsnął głową.

– Wracać aż do Izmaili, pod wodę, a nawet choćby tylko do Kilii? Zabrałoby nam to zbyt wiele czasu! Statek oddaliłby się znacznie, a na morzu już go nie dogonimy. Nie! Zostańmy tu i zaczekajmy aż noc nadejdzie. Przyszła mi jedna myśl! Jeżeli się nie uda, popłyniemy za statkiem, a gdy stanie na kotwicy, zbadamy całe położenie i pojedziemy po pomoc do Suliny.

O ósmej zrobiło się już zupełnie ciemno. Ladko zdawszy łódź na siłę prądu, dopłynął na dwieście metrów do statku i cichutko zarzucił kotwicę. Nie mówiąc nic Dragoszowi, który przyglądał się ze zdziwieniem, rozebrał się i wskoczył do wody.

Prując silnym ramieniem fale, skierował się wprost do statku, który można było dojrzeć mimo nocy. Minąwszy go na taką odległość ażeby nie być spostrzeżonym, Ladko zawrócił i płynąc w przeciwnym kierunku, dopłynął do statku, uchwycił za ster na przodzie i nadsłuchiwał bacznie; mimo pluskania wody, usłyszał wyraźnie śpiew; nad jego głową, ktoś nucił półgłosem. Trzymając się rękami, a opierając nogami na oślizgłej ścianie statku, Ladko dźwignął się w górę i poznał Jankła Semo przy sterze.

Na pokładzie panował spokój. W kajucie też było cicho. Zapewne spoczywał tam Iwan Striga. Pięciu ludzi z załogi leżało wyciągniętych na pokładzie. Rozmawiali. Głosy ich przyciszone zlewały się w jeden szmer niewyraźny; koło steru był sam tylko Jankiel Semo. Górząc nad kajutą, siedział wysoko na sztabie steru i ukołysany ciszą nocy, nucił wesołą piosenkę.

Nagle śpiew ucichł, żelazne dłonie ścisnęły gardło śpiewaka, który padł w poprzek na rudel. Czy żył jeszcze? Ręce jego i nogi zwisły bezwładnie z obu stron, jak miękkie szmaty, rozwieszona na żelaznej sztabie rudla. Ladko zwolnił uścisk na gardle, pochwycił pilota za pas i zsunął się z nim po sterze cichutko w wodę.

Nikt na statku nie spostrzegł napadu. Iwan Striga spał w kajucie. Na przednim pokładzie pięciu leżących ludzi rozmawiało spokojnie.

Ladko płynął ku łodzi. Powrót był trudniejszy niż napad, bo musiał nietylko płynąć pod wodę, lecz jeszcze dźwigać bezwładnego Jankła Semo. Jankiel wyglądał bardziej na martwego, niż na żywego; chłód wody nie otrzeźwił go, wciąż leżał bez ruchu.

Ladkę ogarnął strach, czy nie nadużył swej siły.

Pięć minut wystarczyło mu na przepłynięcie do statku, powrót trwał przeszło półgodziny, na szczęście nie zabłądził mimo ciemności.

– Pomóż mi! – zawołał do Dragosza, gdy nareszcie zdołał uchwycić się burtu łodzi. – Mamy już jednego...

Z pomocą ajenta, Jankiel Semo dostał się do łodzi i spoczął na jej dnie.

– Nie żyje? – zapytał Ladko zatrwożony.

Dragosz pochylił się nad jeńcem.

– Żyje – odpowiedział – oddycha.

Ladko odetchnął z uczuciem ulgi i ujawszy wiosło, zaczął płynąć pod wodę.

– Skrępuj go pan i przywiąż mocno, jeżeli nie chcesz, żeby ci splatał figła, kiedy cię wysadzę na ląd – powiedział Dragoszowi, nie przestając wiosłować.

– Więc się rozłączymy? – zapytał Dragosz.

– Tak – odparł Ladko. – Pan wysiądziesz na ląd, a ja popłynę z powrotem i stanę niedaleko statku. Jutro, postaram się wejść na pokład.

– W biały dzień?

– W biały dzień. Znalazłem sposób. I bądź pan spokojny, bo przez pewien czas przynajmniej, nie będzie mi groziło żadne niebezpieczeństwo. Później, blisko morza Czarnego, może być, że się położenie popsuje, ale wtedy liczę na pana i postaram się tak ociągać tę chwilę, ażeby ci zostawić czas do przyjścia mi z pomocą.

– A cóż ja mogę uczynić?

– Przyprować tę pomoc.

– Bądź pewny, że się wezmę gorliwie do tego – odrzekł z zapalem Dragosz. – Tylko czy mi się uda?

– Nie wątpię, ale przewiduję, że to nie pójdzie bez trudności. Wiem, że w każdym razie zrobisz pan co będzie można. Nie zapominaj o tem, że jutro w południe statek podniesie kotwicę i jeżeli nic go nie zatrzyma w drodze – około czwartej wypłynie na pełne morze, obliczaj pan swoje czynności stosownie do tego.

– Ale czemu rozłączasz się ze mną? – zapytał Dragosz bardzo zaniepokojony o towarzysza.

Bo pan możesz się spóźnić, w takim razie Striga wygrałby na czasie i mógłby uciec. Nie można mu pozwolić wydostać się na morze. I nie wydostanie się nawet, choćbyś pan przybył zapóźno z pomocą... Ale w takim razie, być może, że... ja zginę...

Mówił to tonem stanowczym, który nie dopuszcza oporu. Dragosz zrozumiał, że nic nie zdoła skłonić Ladki do zmiany postanowienia i nie nastawał już wcale.

Łódź przybiła do brzegu, na którym złożono Jankła Semo, ciągle nieprzytomnego.

Sergjusz Ladko wrócił do łodzi, wziął wiosło i odbiwszy od brzegu, wypłynął na środek rzeki.

Łódź znikła w cieniach nocy.

ROZDZIAŁ XVIII

Pilot.

Kiedy Dragosz stracił już z oczu łódź z Ladką, zawahał się, co dalej czynić?

Sam jeden, na początku nocy, na samej granicy Bessarabji, w dodatku obciążony ciałem nieprzytomnego jeńca, którego nie mógł opuścić, znalazł się w położeniu bardzo trudnem. Ale wiedząc, że pomoc nie nadejdzie znikąd, jeżeli sam po nią się nie wyprawi, musiał się na coś zdecydować. Nie było czasu do stracenia; ocalenie Ladki zawisło od jego pośpiechu.

Dragosz postanowił na razie porzucić Jankła, który był tak skrępowany, że nie mógłby uciec, choćby nawet powrócił do przytomności – a sam ruszył jak mógł najprędzej w górę rzeki.

Po półgodzinnym pochodzie, przez zupełnie pustą okolicę, zaczął się lękać, że może będzie musiał tak iść do samej Kilii, kiedy nareszcie zobaczył dom stojący na wybrzeżu.

Niełatwo doprosił się otwarcia drzwi domostwa. O tej godzinie, w takim pustkowiu nieufność była zupełnie usprawiedliwiona i nie mogło nikogo dziwić, że mieszkańcy nie kwapili się z wpuszczeniem obcego do domu.

Druga trudność wynikała z niemożności porozumienia się z mieszkańcami. Mówili oni jakimś miejscowem narzeczem, którego Dragosz – choć wielojęzyczny, nie znał wcale. Dopiero po długich usiłowaniach, z pomocą mieszaniny wyrazów rumuńskich, węgierskich, słowackich i niemieckich, udało mu się wzbudzić w nich zaufanie i w ślad zatem otwarcie drzwi.

Raz dostawszy się do wnętrza domu, Dragosz tak zręcznie zabrał się do rzeczy, że zanim upłynęły dwie godziny, dojeżdżał już wózkiem do miejsca, gdzie zostawił Jankła Semo.

Jeniec leżał ciągle nieprzytomny i nie ocknął się nawet, kiedy go przenoszono na wózek, który zaraz ruszył do Kilii. Z początku, wózek, dla złej drogi, musiał jechać stępa, ale wjechawszy dalej na równiejszy gościniec, mógł przyśpieszyć biegu.

Dragosz dobrze już po północy, wjechał do Kilii. Wszyscy w mieście spali i miał dużo trudności zanim znalazł naczelnika policji. Dotarł wreszcie do tego dostojnika, obudził go i zażądał pomocy.

Nasamprzód postarał się umieścić w bezpiecznym miejscu Jankła Semo, któremu stopniowo wracała przytomność, i dopiero pozbywszy się kłopotu z jeńcem, zabrał się do dalszej roboty. Spieszno mu było urządzić pościg za zbójcką bandą i przyprowadzić pomoc Sergjuszowi Ladce.

Ale na pierwszym zaraz kroku natrafił na nieprzewyciężone przeszkody. W Kilii nie stał w owej chwili żaden parowiec, a naczelnik policji odmówił stanowczo wysłania swoich podwładnych na rzekę. Ta odnoga Dunaju stanowiła granicę między Rumunją a Turcją. Turcja mogła wdać się w tę sprawę, co byłoby bardzo niepożądane w chwili, kiedy już rozlegały się pierwsze pogroźki wojenne. Gdyby rumuński dygnitarz przewidział był przyszłość, byłby mniej lękliwy, ale że jej nie znał, drżał na samą myśl wywołania jakichś zatargów z Turcją i wolał unikać wszelkich niebezpiecznych kroków.

Zdobył się tylko na jedno: poradził Dragoszowi, by udał się do Suliny i w tym celu da mu przewodnika, który potrafi go przeprowadzić przez deltę Dunaju, na przestrzeni pięćdziesięciu kilometrów.

Zanim obudzono przewodnika, zanim ten dał się nakłonić do podróży, zanim zaprzężono wózek i przeprowadzono go na prawy brzeg rzeki, zeszło dużo czasu. Była już trzecia rano, kiedy Dragosz ruszył wózką zaprzężoną w niewielkiego, lecz na szczęście szparkiego konika.

Naczelnik policji w Kili słusznie ostrzegał o trudnościach tej podróży przez dunajową deltę. Wózek musiał przebierać się przez drogi błotniste, pokryte miejscami wodą, na kilkanaście centymetrów głęboką. Gdyby nie przewodnik znający doskonale miejscowość, można było łatwo zabłądzić na tej rozległej równinie, bez żadnych drogowskazów. Jazda odbywała się powoli i często trzeba było przystawać dla wytchnienia zmęczonemu konikowi.

Dragosz przyjechał do Suliny dopiero w południe. Za kilka godzin upłył termin naznaczony mu przez Ladkę.

Nie tracąc chwili, Dragosz pobiegł do przedstawicieli miejscowej policji.

Sulina, na kongresie berlińskim przysądzona później Rumunii, należała jeszcze wtedy do Turcji, której stosunki z mocarstwami zachodnimi były mocno nieprzyjazne. Dragosz, poddany i urzędnik austriacki, nie mógł spodziewać się życzliwego przyjęcia, pomimo że działał w interesie wspólnym obu krajów. Władze tureckie nie okazały mu wprawdzie złej woli, ale pomagały ociężale i niechętnie.

Przytem dowiedział się, że policja tamtejsza nie posiada statku na swoje usługi; mógł liczyć jedynie na statki celników, których pomoc należała mu się w tym wypadku, gdyż zbójcka banda uprawiała zarazem przemytnictwo. Na nieszczęście, statek straży pogranicznej, dość szybki parowiec, nie stał na tę chwilę w porcie. Krążył po morzu, prawdopodobnie niedaleko brzegu.

Dragoszowi pozostawało tylko jedno: nająć rybacką barkę i pogonić za statkiem, który niezawodnie spotka gdzieś niedaleko.

Ajent doprowadzony do rozpaczy ciągłymi przeszkodami, zdecydował się na ten sposób ratunku. Pozostawało mu już tylko półtrzeciej godziny do terminu, naznaczonego przez Sergiusza Ladko...

Dragosz borykał się z całym szeregiem przeszkód, a Ladko przez ten czas zdążył krok za krokiem, po wytkniętej drodze do celu.

Cały ranek spędził na czatach; ukrywając łódź w nadbrzeżnym sitowiu, śledził, czy statek Strigi nie czyni przygotowań do odpłynięcia mimo zniknięcia Jankła Semo. Ladko był jednak prawie pewny, że Striga bez przewodnika nie odważy się puścić w drogę bardzo trudną, gdzie obfitość ławic piaskowych uniemożliwia żegluga każdemu, kto nie zna tej części Dunaju.

Przypuszczał nie bez podstawy – że rozbójnicy, nie mogąc pojąć, gdzie znikł ich pilot, skorzystają z pierwszej sposobności, by go zastąpić innym. Ale niełatwo o pilotów na tej odnodze Dunaju. Do jedenastej rano, oprócz statku Strigi, stojącego na kotwicy, na wodach rzeki nie pojawił się żaden inny.

Dopiero o jedenastej ukazały się od strony morza dwa statki. Striga może wezwać je na pomoc, której musiał niecierpliwie upatrywać. Nadeszła więc dla Ladki stanowcza chwila.

Wyplął z pośród trzciny i zbliżył się do statku.

– Hej! hej! – zawołał z całej siły.

– Hej! hej! – odpowiedziały głosy z pokładu,

Człowiek jakiś ukazał się na pokładzie, był to Iwan Striga...

Wściekłość ogarnęła Ladkę na widok sprawcy tyłu zbrodni nieubłaganego wroga, który zburzył jego szczęście i trzymał Naczę w swej mocy.

Ale przygotowany był na to spotkanie. Zapanował więc nad swym wzruszeniem i zadając sobie gwałt, zapytał spokojnie:

– Czy nie potrzeba wam pilota?

Striga zamiast odpowiedzieć, przysłonił oczy rękami i przyglądał się długo pytającemu. Prawdę mówiąc, poznał go od razu po głosie, ale czy to rzeczywiście był Sergjusz Ladko? Byłoby to coś tak nieprawdopodobnego – tak niespodziewanego, że Striga sam nie wiedział, co myśleć.

– Czy to Sergjusz Ladko, z Ruszczuku? – zapytał w końcu.

– Ja sam – odrzekł pilot.

– Czy mnie nie poznajesz?

– Musiałbym chyba być ślepy – odparł Ladko. Poznałem cię od razu. Jesteś Iwan Striga.

– I chcesz mi dopomóc?

– Czemu nie? Jestem przecie pilotem – odpowiedział zimno Sergjusz Ladko. – To moje rzemiosło.

Striga wahał się chwilę. Byłby to już nadmiar szczęścia, ażeby ten, którego tak nienawidził, oddawał się w jego moc dobrowolnie... Czy nie kryła się pod tem jaka zasadzka?

Ale jakież niebezpieczeństwo mógł przedstawiać jeden człowiek, wobec silnej i odważnej załogi? Niech wyprowadzi statek na morze, kiedy jest tak głupi, że sam to proponuje... A gdy już raz dostanie się na pełne morze – zobaczymy wtedy!

– Wejź! – zawołał krótko dowódca bandy.

Usta jego skrzywiły się srogim uśmiechem, który Ladko dojrzał chociaż zdała, mimo tego nie wahał się dłużej. Przybił do statku i wszedł na pokład. Striga wyszedł do niego.

– Czy wolno mi wyrazić zadziwienie, skąd wziąłeś się tu, przy ujściu Dunaju?

Pilot nie odpowiedział.

– Mówili ludzie, że nie żyjesz – mówił dalej Striga. – Odkąd zniknąłeś z Ruszczuku...

Ale i na to pytanie nie usłyszał odpowiedzi.

– Co się z tobą działo? – nalegał Striga, niezniechęcony milczeniem Ladki.

– Byłem ciągle w pobliżu morza – odrzekł nakoniec Ladko.

– Tak daleko od Ruszczuku? – zauważył Striga.

Sergjusz Ladko zmarszczył brwi. Badanie zaczynało go niecierpliwić, lecz wierny postanowieniu, pohamował zniecierpliwienie i odpowiedział spokojnie:

– W czasach burzliwych trudno o zarobek.

Striga przyglądał mu się szyderczo.

– Mówili, że przystałeś do spiskowców? – wyrzekł drwiąco.

– Nie zajmuję się już polityką – odparł oschle Ladko.

Striga spojrział na łódź pilota, uczeptioną z tyłu berlinki. Zadrzał. Nie! Nie myli się... To ta sama łódź, którą się posługiwał przez cały tydzień, którą potem widział uwiązaną do bulwarku w Zemlinie.

Czy Sergjusz Ladko okłamywał go, mówiąc że od czasu swego zniknięcia przebywał na delcie Dunaju, w pobliżu morza?

– Więc od wyjazdu z Ruszczuku, byłeś ciągle w tych stronach? – dopytywał się natarczywie Striga, wpatrując się badawczo w twarz.

– Tak – odpowiedział Ladko.

– To mnie bardzo dziwi – zauważył Striga.

– Dlaczego? Czy mnie widziałeś gdzieindziej?

– Ciebie nie, ale tę łódź... Przysięgłbym, że widziałem ją w górze rzeki.

– Być może – odrzekł obojętnie Ladko. – Kupiłem ją przed trzema dniami od jakiegoś człowieka, który mówił, że płynie, z Wiednia

– Jak wyglądał ten człowiek? – zagadnął żywo Striga.

Podejrzenia jego ciągle zwracały się w stronę Karola Dragosza.

– Brunet, w ciemnych, wielkich okularach – objaśnił Ladko.

– A! – szepnął Striga i zamyślił się.

Objaśnienia pilota mieszały go widocznie, nie wiedział już, co myśleć, ale wkrótce otrząsnął się z niepewności. Cóż mu wreszcie na tem zależy? Czy Sergjusz Ladko mówi prawdę, czy kłamie – w każdym razie jest w jego mocy. Głupiec, sam rzucił się w paszczę wilka! Raz wszedłszy na pokład statku, nie wyjdzie z niego żywy... Od tyłu miesiące Striga wmawiał w Naczę, że jest wdową... A gdy wypłyną na pełne morze, jego kłamstwo zamieni się w prawdę.

– Płynimy! – wyrzekł, skończywszy rozmyślania.

– Wypłyniemy w południe – odpowiedział spokojnie Ladko.

Wyjął z torby zapasy żywności i zabrał się do jedzenia.

Striga rzucił się niecierpliwie. Ladko udał, że tego nie widzi.

– Muszę cię uprzedzić – wyrzekł po chwili Striga – że chcę koniecznie wypłynąć na pełne morze, zanim nadejdzie wieczór.

– Wypłyniemy przed wieczorem – odpowiedział pilot spokojnie, nie przerywając jedzenia.

Striga poszedł na przedni pomost statku, na twarzy jego odbiła się troska. Jednak było to coś dziwnego, że właśnie mąż więzionej tu kobiety zaoferował się przewodniczyć jego statkowi... Ale Striga, zważywszy, że Sergjusz Ladko nic nie mógł poradzić sam jeden przeciw sześciu uzbrojonym ludziom załogi, postanowił nie badać go dłużej. Lecz napróżno powtarzał sobie te niezbite argumenty. Pragnął koniecznie dowiedzieć się, czy zniknięcie Naczy wiadome było mężowi? Ciekawość tak go dręczyła, że musiał ją zaspokoić.

– Czy od wyjazdu z Ruszczuku miewałeś z domu częste wiadomości? – zagadnął pilota, który posilał się spokojnie.

– Nie miałem żadnych wiadomości – odrzekł zapytany.

– I nie dziwi cię to milczenie?

– Dlaczego miałoby mnie dziwić? – zapytał Ladko, wpatrując się badawczo w pytającego.

Iwan Striga, choć bezczelny, zmieszał się pod tem spojrzeniem.

– Myślałem... sądziłem że... że tam została twoja żona – wyjąkał.

– A ja sądzę, że między nami lepiej mówić o czym innym – odpowiedział Ladko bardzo zimno.

Striga umilkł.

W kilka minut po dwunastej pilot rozkazał podnieść kotwicę, rozciągnąć i rozpiąć żagle i wziął ster do ręki.

Striga podszedł wtedy do niego.

– Muszę cię przestrzedz – rzekł spokojnie – że nasz statek potrzebuje głębokiej wody.

– Woda tu jest dostatecznie głęboka. Statki zanurzają się na dwie stopy, nie więcej.

– Nasz potrzebuje siedmiu stóp – objaśnił Striga.

– Siedmiu?!... – zawołał pilot zdumiony.

Te słowa wyjaśniły mu wszystko.

Więc dlatego banda rozbójników na Dunaju wymykała się dotąd, mimo rewizji! Statek był zręcznie zbudowany. To, co ukazywało się ponad linią wodną, było obliczone na wprowadzenie w błąd szukających. Statek miał pod swoim dnem drugi statek podwodny i

tam spoczywały pewnie zrabowane łupy. Ta kryjówka, jak wiedział z własnego doświadczenia Ladko, mogła w każdej chwili zamienić się na więzienie.

– Siedem – powtórzył Striga na okrzyk pilota.

– Dobrze – odparł Ladko, powstrzymując się od uwag.

Przez pewien czas po wyruszeniu, Striga, który nie mógł mimo usiłowań, pozbyć się resztek niepokoju, czuwał bacznie nad pilotem. Ale zachowanie się Sergjusza Ladki uspokoiło go zupełnie. Bardzo uważny i pilny przy robocie, nie zdradzał żadnych podstępnych zamiarów; każdy ruch jego świadczył, że pilot zasługuje na sławę, jaką się cieszy. Pod jego ręką statek szedł posłusznie, wymijając niewidzialne mielizny i z dokładnością matematyczną przesuwiał się przez prąd rzeki, wijący się wężykowato.

Stopniowo uspokajały się obawy bandyty. Statek płynął spokojnie i równo, niedługo dopłynie do morza...

O czwartej ukazało się morze... Na zakręcie Dunaju woda złączyła się z niebem na krańcach widnokregu...

Striga zagadnął pilota.

– Dopłynęliśmy do celu, jak ci się zdaje? Sternik może już wrócić do steru?

– Jeszcze nie – odpowiedział spokojnie Ladko. – Pozostała najtrudniejsza część przeprawy.

W miarę zbliżania się do ujścia Dunaju, Striga wpatrywał się uporczywie w morze. Nagle pochwycił lunetę i skierował ją tam, gdzie ukazał się niewielki parowiec, okrążający wybrzeże od północy.

Popatrzył chwilę, a potem rozkazał wywiesić na maszcie flagę. Parowiec odpowiedział na ten sygnał takim samym sygnałem i przyśpieszył biegu.

W tej samej chwili Ladko skręcił na miejscu, i sterując w kierunku południowo-wschodnim, popłynął ku prawemu brzegowi Dunaju.

Striga spojrział zadziwiony na pilota, lecz uspokoił się widząc jego obojętność. Zapewne nowa ławica piasku zmusza statek do zбочenia w przeciwnym kierunku...

Striga nie mylił się. Tak, szeroka piaszczysta ławica rozkładała się w samym środku łożyska rzeki, ale nie od strony morza. Statek płynął prosto na tę ławicę, prowadzony pewną dłonią Sergjusza Ladko.

Rozległ się potężny trzask. Statek zadrżał od samego dna; skutkiem silnego wstrząśnienia, maszt złamany u podstawy, upadł na pokład, a żagiel nakrył szerokimi płacami ludzi, stojących na przednim pomoście.

Statek mocno uszkodzony ugrzązł na piasku. Na pokładzie wszyscy upadli, nawet Striga, który zerwał się natychmiast rozgniewany.

Spojrzał na Ladkę. Pilot nie wzruszył się wcale tym wypadkiem. Puścił ster i włożywszy ręce do kieszeni kurtki, wpatrywał się w swego wroga, śledząc czujnie jego poruszenia.

– Łotrze! – ryknął Striga, wyjmując rewolwer i skoczył na przedni pomost.

Z odległości trzech kroków wystrzelił.

Ladko schylił się. Kula przeleciała górą i nie tknęła go. Ale w tej samej chwili zerwał się z błyskawiczną szybkością i jednym skokiem dopadłszy przeciwnika, ugodził go nożem w serce.

Iwan Striga padł jak bezwładna masa.

Stało się to tak szybko, że pięciu ludzi załogi, opłatanych zwojami żagla, nie zdążyło temu przeszkodzić. Widząc że wódz ich pada ugodzony, podnieśli wrzask straszliwy. Sergjusz Ladko rzucił się ku nim. Stanąwszy na wzniesieniu; górował nad pomostem, ku któremu biegli przerażeni ludzie.

– Stójcie! – krzyknął, celując do nich z dwóch rewolwerów, trzymany w obu rękach.

Jeden z tych rewolwerów odebrał był Stridze.

Ludzie stanęli, nie mieli przy sobie broni, którą zostawili w kajucie, a chcąc się do niej dostać, musieliby przejść pod ogniem rewolwerów Ladki.

– Słuchajcie, towarzysze! – przemówił Ladko, nie zmieniając postawy. – Mam tu jedenaście kul. Więcej niż potrzeba do położenia was wszystkich, co do jednego. Ostrzegam, że zacznę strzelać, jeżeli nie cofniecie się natychmiast na przedni pomost!

Ludzie zawahali się niezdecydowani. Ladko jednak wiedział, że gdyby wszyscy razem rzucili się na niego, zdążyłby położyć kilku, ale ostatecznie padłby pod ciosami reszty.

– Bacność! Rachuję do trzech, zanim zacznę strzelać – oznajmił, nie dając im czasu do porozumienia. – Raz!

Ludzie nie poruszyli się.

– Dwa! – wymówił Ladko.

– Trzy! – zawołał jeszcze głośniej.

I nacisnął cyngiel.

Jeden z ludzi padł, zraniony w ramię. Reszta przerażona, cofnęła się szybko na przedni pomost.

Nie opuszczając swego stanowiska, Ladko spojrzał na parowiec, który zdążył wezwany sygnałem Strigi. Był już niedaleko. Gdyby dopłynął do statku, gdyby jego załoga połączyła się z rozbójnikami, położenie Ladki stałoby się rozpaczliwe.

Parowiec podążył szparko. Nagle zakręcił na miejscu, zakreślił wielkie koło i... odpłynął na pełne morze.

Co się stało? Czy spłoszyło go coś, czego Ladko nie mógł dojrzeć?

Pilot stał i czekał z biciem serca. Minęło parę minut... Wtem ukazał się na widnokręgu duży parowiec, płynący od południa. Z komina jego buchały kłęby dymu. Płynął z niesłychanym pośpiechem...

I wkrótce Ladko ujrzał na przednim pomoście, znajomą postać swego pasażera, Jegera, a właściwie Karola Dragosza... Odetchnął z głębi piersi... Ocalał!

W parę minut pokład zapełnił się policją, a rozbójnicza załoga poddała się, nie próbując nawet oporu.

Ladko pobiegł do kajut. Były puste... Jednej tylko drzwi zamknięte zastał na klucz. Wysadził je silnym pchnięciem i stanął na progu, napół nieprzytomny.

Nacza wyciągnęła do niego ręce...

ROZDZIAŁ XIX

Zakończenie.

Proces bandy rozbójników na Dunaju minął bez wrażenia, wśród zamętu wojny rosyjsko tureckiej. Rozbójnicy, z Ticzą pojmanym bez trudności w Ruszczuku, zostali skazani na śmierć i powieszani co do jednego.

Podczas procesu wyjaśniło się wszystko, co było niezrozumiałe dla zainteresowanych w tej sprawie. Ladko dowiedział się, jaka pomyłka wywołała jego porwanie i uwięzienie na berlinie zamiast Dragosza i jakim sposobem Striga przeczytał w dziennikach o wysłaniu komisji sądowej do Szalki, zajął dom Ilii Brusza i w jego imieniu odpowiadał na pytania komisarza policji z Granu.

Dowiedział się i tego, że Nacza, porwana przez Strigę, oparła się jego namowom, pomimo, że upewniał ją o śmierci męża i usiłował nakłonić, by się zgodziła zostać jego żoną.

Jednego wieczora Striga pokazał fotografię, z własnoręcznym jej podpisem, ofiarowaną dawniej mężowi jako dowód, że Ladko już nie żyje. Wynikła przytem między niemi gwałtowna kłótnia; Striga zaczął grozić Naczy, a wrzawę tej kłótni i krzyk Naczy usłyszał był wtedy Ladko ukryty na własnej łodzi.

Ale wszystko to już należało do przeszłości. Odzyskawszy Naczę, Ladko, który nie mógł pokazać się w Bułgarji, dostał się pod opieką Dragosza, do Giurgiewa, miasta w Rumunji. Tam doczekał się wybuchu wojny rosyjsko tureckiej. W maju następnego roku, wstąpił do oddziału ochotników, i dzięki doskonałej znajomości kraju, oddał niemałe usługi armji sprzymierzonej.

Po skończonej wojnie i wyzwoleniu Bułgarji, powrócił z Naczą do swego domu w Ruszczuku i do dawnego zajęcia pilota. Oboje żyją tam jeszcze szczęśliwi i ogólnie szanowani.

Dragosz utrzymuje z nimi przyjazne stosunki. Ile razy dawniej płynął po Dunaju, wstępował do Ruszczuku co najmniej raz na rok, ale teraz, przy coraz liczniejszych linjach drogi żelaznej, skróciła się ta podróż, więc bywa u nich częściej. Ladko zaś odwiedza go w Budapeszcie znowu, ilekroć prowadzi statek w górę rzeki.

Trzej synowie Naczy i Ladki, dziś już dorośli, najmłodszy, oddany pod opiekę Dragosza w Budapeszcie jest sądowym urzędnikiem, na drodze do wysokiego stanowiska w Bułgarji.

Średni syn, godny potomek zwycięzcy rybackiego konkursu w Sigmaringen, wstąpił w ślady ojca i zajmuje się rybołówstwem, ale wprowadził do niego nowe metody i ulepszenia. Dzięki pomyślnym połowom jesiotrów, zdobył już sobie sławę i znaczne mienie.

Najstarszy, został jak ojciec, pilotem. A gdy wiek zmusi Sergjusza Ladkę do porzucenia zajęć pilota, syn jego będzie wiódł po wodach Dunaju parowce i ładowne statki, od Wiednia do morza Czarnego, przeprowadzając je przez niebezpieczne ławice i groźne rafy zdradzieckiej rzeki. Nie skończy się na nim ród śmiałych «Żeglarzy na Dunaju».

Ale pomimo odrębnych zawodów, serca wszystkich trzech synów Sergjusza Ladki, żywią jednakie uczucia i głębokiego przywiązania i czci dla rodziców – oraz gorącej miłości dla ojczystej Bułgarji.

KONIEC

PRZYPISY

¹Państwka te zamienione zostały później w królestwa: Rumunja w 1881 r. Serbja w 1882 r.